

AGATHA CHRISTIE

ZBRODNIA NA FESTYNIE

TLUMACZYŁ ANDRZEJ MILCARZ
TYTUŁ ORYGINAŁU: DEAD MANS FOLLY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

To panna Lemon, wytrawna sekretarka Poirota, odebrała telefon.

Odłożyła na bok notatnik do stenografowania, sięgnęła po słuchawkę i powiedziała cicho;
— Trafalgar 8137.

Herkules Poirot odchylił się do tyłu na krześle i zamknął oczy. Zadumany, bębnił cicho palcami po stole. W myśli układały mu się gładko kolejne akapity listu, który właśnie dyktował.

Palma Lemon przysłoniła ręką słuchawkę i spytała ściszym głosem:

— Ktoś z Nasscombe w hrabstwie Devon, podejdzie pan?

Poirot zmarszczył czoło. Ta nazwa nic mu nie mówiła.

— Kto dzwoni? Chciałbym znać nazwisko.

Panna Lemon zagadała do słuchawki.

— Aria? — nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

— Aha, tak. A nazwisko? Proszę powtórzyć.

Zwróciła się do Poirota.

— Pani Ariadne Oliver.

Brwi Herkulesa Poirot uniosły się w górę. Pamięć podsunęła mu orli profil... siwe włosy na wietrze...

Wstał i wziął słuchawkę z rąk panny Lemon.

— Herkules Poirot przy telefonie — obwieścił.

— Czy to osobiście Mister Herkules Poirot? — usłyszał podejrzliwą panienkę z centrali i zapewnił ją, że tak jest.

— Łączę z panem Poirot.

Wreszcie wspaniale buczący kontralt zastąpił piskliwy głosik telefonistki. Poirot czym prędzej odsunął słuchawkę o parę cali od ucha.

— Panie Poirot, czy to naprawdę pan? — dudniła pani Oliver.

— We własnej osobie, *madame*.

— Mówi Ariadne Oliver. Nie wiem, czy pan mnie pamięta...

— Ależ oczywiście, pamiętam panią, *madame*. Któż mógłby panią zapomnieć?

— Czasem jednak ludzie zapominają. Dość często w gruncie rzeczy. Nie sądzę, bym była bardzo charakterystyczną postacią. A może nie mogą mnie poznać, bo ciągle zmieniam fryzurę. Ale nie o to chodzi. Mam nadzieję, że nie odrywam pana od jakiegoś okropnie ważnego zajęcia.

— Nie, nie, nic mi pani nie przeszkadza.

— To całe szczęście. Nie chcę panu zawracać głowy.

Rzecz w tym, że potrzebuję pana.

— Potrzebuje mnie pani?

— Tak, natychmiast. Może pan przylecieć samolotem!

— Nie latam. W samolocie mam nudności.

— Ja również. Zresztą samolotem nie byłoby chyba szybciej niż koleją, bo najbliższe stąd lotnisko jest w Exeter, a to kawał drogi. Niech więc pan przyjedzie pociągiem. O dwunastej z dworca Paddington, bezpośrednio do Nassecombe. Zdaży pan bez trudu. Jest jeszcze czterdzieści pięć minut, jeżeli mój zegarek dobrze chodzi, co niestety nie jest regułą.

— Gdzie pani jest, *madame*! Co się dzieje!

— Posiadłość nazywa się Nasse House. w Nassecombe. Samochód będzie na pana czekać przed stacją w Nassecombe.

— Ale do czego pani mnie potrzebuje? O co chodzi? — dopytywał się niecierpliwie Poirot.

— Telefony są w tak nieodpowiednich miejscach...

Ten tutaj w holu... Ludzie chodzą i rozmawiają... Nic nie mogę usłyszeć. Ale czekam na pana. Wszyscy będą pod wrażeniem. Do widzenia.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki, a potem już tylko ciche buczenie na linii.

Zdezorientowany Poirot, czując zamęt w głowie mruczał coś pod nosem. Panna Lemon trwała w gotowości z uniesionym ołówkiem, nie wykazując zainteresowania. Półgłosem powtórzyła ostatnie zdanie dyktowanego tekstu:

„...proszę przyjąć zapewnienie, że hipoteza, którą pan przedstawił...”

Poirot machnięciem ręki zawiesił sprawę hipotezy.

— To była pani Oliver. Ariadne Oliver, autorka kryminałów. Może pani czytała... — urwał, przypomniał sobie, że panna Lemon sięga jedynie po lektury duchowo wzbogacające, a kryminały traktuje z pogardą.

— Pani Oliver chce, żebym pojechał do hrabstwa Devon dzisiaj, natychmiast, za — spojrzął na zegarek — trzydzieści pięć minut.

Panna Lemon uniosła z dezaprobatą brwi.

— Ledwie pan zdąży. A jaki jest powód?

— Też bym chciał wiedzieć. Nie powiedziała mi.

— Bardzo osobliwe. Dlaczego nie powiedziała?

— Ponieważ bała się — odrzekł zamyślony — że ktoś podsłucha. Tak, wyraźnie dała to do zrozumienia. — No rzeczywiście — panna Lemon zjeżyła się w o bonie szefa. — Czego ci ludzie oczekują! Też pomysły! Żeby pan miał nagle zrywać się i pędzić na zawołanie. Taka ważna osoba jak pan! Zawsze uważałam, że artyści i pisarze są bardzo nie zrównoważeni. Żadnego poczucia miary. Może zadzwonić; i nadam telegram: „Żałuję, ale muszę; pozostać w Londynie”?

Wyciągnęła rękę po telefon, ale powstrzymała ją słowa Poirota.

— *Du tout!*¹ — powiedział. — Przeciwnie. Będzie pani uprzejma wezwać natychmiast taksówkę. Gorges! krzyknął głośniej. — Spakuj mi przybory toaletowe do małej walizki. Ale prędko, bardzo prędko. Muszę zdążyć na pociąg.

¹ fr. tu: O nic

II

Pociąg po przebyciu stu osiemdziesięciu paru mil z pełną prędkością ostatnie trzydzieści pokonywał sapiąc cichutko i pokornie. Tak też wsunął się na stację Nassecombe. Jediną osobą, która tam wysiadła, był Herkules Poirot. Ostrożnie postawił nogę na peronie, a następnie rozejrzał się dookoła. Odebrał walizkę z wagonu bagażowego na drugim końcu pociągu i wrócił peronem do wyjścia. Oddał bilet, minął kasę i przed budynkiem stacyjnym ujrzał wielką limuzynę; humber. Szofer w mundurze zbliżył się ku niemu.

— Pan Herkules Poirot? — spytał tonem pełnym szacunku.

Wziął walizkę z ręki Poirota i otworzył drzwi samochodu. Przemknęli wiaduktem ponad torami kolejowymi i wjechali w krętą wiejską drogę z wysokimi żywopłotami po obu stronach. Po chwili na prawo odsłonił się piękny widok na dolinę i wzgórza w oddali, zasłane niebieskawą mgłą. Szofer zatrzymał limuzynę.

— Rzeka Helm, sir — objaśnił — a tam dalej park narodowy Dartmoor.

Nie ulegało wątpliwości, że należy wyrazić zachwyt. Poirot wydał z siebie stosowne westchnienia i mruknął kilkakrotnie *magnifique*²! Prawdę mówiąc, natura nic robiła na nim wielkiego wrażenia. Dobrze uprawiany, schludny ogród warzywny dużo prędzej przywołałby słowa entuzjazmu na usta Poirota. Dwie dziewczyny minęły samochód, mozolnie drepząc pod górę, objuczone ciężkimi plecakami. Były w szortach, a na głowach miały przepaski w jaskrawych kolorach.

— Po sąsiedzku jest schronisko młodzieżowe, sir — poinformował szofer, który najwyraźniej mianował się przewodnikiem Poirota po hrabstwie Devon. — Hoodown Park. To dawna posiadłość pana Fletchera, kupiona przez Youth Hostel Association. Latem jest tu zwykle tłok. Mieści się tam z górą setka osób i nie wolno zatrzymywać się dłużej niż na dwie noce pod rząd. Przyjeżdżają przede wszystkim cudzoziemcy, chłopcy i dziewczęta.

Poirot nie słuchał uważnie. Patrząc z tyłu na dziewczyny, pomyślał, nie po raz pierwszy, że tak niewiele kobiet wygląda dobrze w szortach. Zdegustowany, aż zacisnął powieki. Dlaczego, och dlaczego one się oszpecają? Te czerwone uda, tak niepociągające!

— Chyba mają ciężkie plecaki — mruknął.

— Tak, sir. A to kawał drogi od stacji albo przystanku autobusowego do Hoodown Park, prawie dwie mile. Jeżeli pan nie miałby nic przeciw temu, sir — szofer zawahał się — moglibyśmy je podwieźć.

— Ależ proszę bardzo, bardzo proszę — zachęcał Poirot. On w luksusowym i prawie pustym samochodzie, a tu te dwie młode kobiety, zaspane i spocone, pochylone pod ciężarem plecaków i bez żadnego pojęcia, jak się ubrać, by podobać się płci przeciwnej.

Szofer zapalił silnik i z cichym warkotem podjechał do dziewczyn. Z nadzieją uniosły czerwone i mokre od potu twarze.

Poirot otworzył drzwi, dziewczęta wsiadły.

— To ogromnie uprzejmie, proszę — powiedziała z cudzoziemskim akcentem blondynka. — To dłuższa droga niż myślę, tak.

Druga dziewczyna o opalonej i mocno zarumienionej twarzy oraz kasztanowych włosach ledwie skinęła parę razy głową, błysnęła zębami i wymruczała *grazie*³. Blondynka zaś ciągnęła z ożywieniem:

— Ja przyjechać do Anglii na dwa tygodnie wakacji.

Jestem z Holandii. Bardzo podoba mi się Anglia. Ja byłam Stratford nad Avon, Teatr Szekspirowski i zamek Warwick. Potem ja byłam Clovelly, teraz ja widziałam katedrę w

² *fr.* wspaniale

³ *wł.:* oj, dziękuję

Exeter i Torquay. Bardzo ładne. Przybywam do sławnego, pięknego miejsca tutaj, a jutro przekraczam rzekę i jadę do Plymouth, gdzie zrobiono odkrycie Nowego Świata z Plymouth Hoe.

— A pani, *signorina!* — Poirot zwrócił się do drugiej dziewczyny, ona jednak uśmiechała się tylko i potrząsała czupryną.

— Ona nie mówić dużo po angielsku — wyjaśniła uprzejmie Holenderka. — My obie trochę mówić po francusku, więc rozmawiać w pociągu. Ona jest spod Mediolanu i ma krewną w Anglii, która wyszła za pana, który ma sklep spożywczy. Ona przyjechała wczoraj z przyjaciółką do Exeter, ale przyjaciółka zjadła cielęcą szynkę pasztetową niedobłą ze sklepu w Exeter i musiała zostać tam chora. W taką pogodę to nie jest dobre, cielęca szynka pasztetowa.

W tym momencie kierowca przystanął na rozstaju dróg. Dziewczęta wysiadły, wygłosiły podziękowania w dwóch językach i ruszyły drogą w lewo. Szofer odstąpił na chwilę od swej olimpijskiej powściągliwości i rzekł z przejęciem do Poirota:

— Nie tylko pasztecików z szynką i cielęciną trzeba się wystrzegać. także pasztetów kornwalijskich. Teraz, w sezonie urlopowym, wrzucają do pasztetu, co chcą!

Pojechali na lewo drogą, która prawie natychmiast wchodziła między gęsto rosnące drzewa. Szofer wygłaszał tymczasem zasadniczy sąd o mieszkańcach schroniska młodzieżowego Hoodown Park.

— Bardzo ładne młode kobiety. niektóre z nich, w tym schronisku, ale tak trudno je nauczyć, co to jest teren prywatny. No nie mogą pojąć, że nie wolno chodzić na przełaj po prywatnych gruntach. A jak się do nich o tym mówi, to udają, że nie rozumieją języka — ponuro potrząsnął głową.

Sunęli stromo w dół, wciąż przez las, wjechali w wielką, żelazną bramę i podążali aleją, która w końcu podbiegła łukiem przed biały fronton dużego budynku w stylu georgiańskim. Spod domu rozpościerał się widok na rzekę.

Szofer otworzył drzwi samochodu, a na schodkach rezydencji pojawił się lokaj.

— Pan Herkules Poirot? — spytał.

— Tak.

— Pani Oliver oczekuje pana, sir. Znajdzie pan ją koło reduty. Pozwoli pan, że wskażę drogę.

Skierował Poirota na krętą ścieżkę biegnącą wzdłuż lasku, za którym raz po raz pokazywała się w dole rzeka. Dróżka obniżała się stopniowo, aż wyszła na otwartą przestrzeń z wieńcem szańców i niewysokich murów obronnych pośrodku. Na blankach siedziała pani Oliver.

Podniosła się, aby go powitać, a kilka jabłek sturlało jej się z kolan i potoczyło we wszystkie strony. Jabłka zdawały się nieodłącznym motywem spotkań z panią Oliver.

— Dlaczego zawsze wszystko leci mi z rąk — pani Oliver mówiła trochę niewyraźnie, bo właśnie gryzła jabłko. — Jak się pan miewa, panie Poirot?

— *Très bien, chère madame*⁴ — odpowiedział uprzejmie Poirot. — A pani?

Pani Oliver wyglądała jakoś inaczej niż podczas ostatniego spotkania i — sama napomknęła o tym przez telefon — było to za sprawą eksperymentów z fryzurą. Kiedy Poirot widział ją poprzednio, była to fryzura typu „czeszał mnie wiatr”. Teraz włosy, mocno ufarbowane, spletały się ku górze w mnóstwo wymyślnych, cieniutkich loczków; styl *à la* Markizy. Inspiracja z wysp tropikalnych słabła jednak gdzieś pod szyją, bo w niższych partiach rządziła już tylko zasada „praktycznie, na modłę wiejską”. Był to więc jadowicie żółty kostium z grubego tweedu i raczej szpetny sweter koloru musztardy.

— Wiedziałam, że pan przyjedzie — zawołała pani Oliver radośnie.

⁴ *fr.* Bardzo dobrze, droga pani

— Nie mogła pani być tego pewna — powiedział surowo Poirot.
— Oj mogłam.
— Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego tu jestem.
— Znam odpowiedź. Z ciekawości.
— Przynajmniej raz ta słynna kobieca intuicja być może pani nic zwiodła — Poirot nieznacznie mrugnął okiem.
— No, no. proszę się nic naśmiewać z mojej kobiecej intuicji. Czyż każdorazowo nie odgaduję natychmiast, kto jest mordercą?
„Za piątą próbą, być może. a i to nic zawsze” — taka byłaby właściwa odpowiedź na tę przechwałkę. Poirot jednak zmienił wielkodusznie temat.
— Ma tu pani naprawdę piękną posiadłość.
— To? To nie należy do mnie, panie Poirot. Tak pan myślał? Właścicielami są ludzie o nazwisku Stubbs.
— Któż to taki?
— Och. nikt właściwie — odpowiedziała wymijająco pani Oliver. — Po prostu bogaci. Ja tu jestem zawodowo. Wykonuję pewną pracę.
— Poznaje pani koloryt lokalny do jednego ze swoich *chefs-d'oeuvre*?⁵
— Nie, nie. Tak jak powiedziałam. Wykonuję pewną pracę. Zostałam wynajęta do zaaranżowania morderstwa.
Poirot spojrzał zdumiony.
— Och, nic tak naprawdę — uspokajała pani Oliver. — Jutro tu będzie wielki festyn, a jedną z atrakcji ma być Polowanie na Mordercę. Ja urządzam tę zabawę. To trochę podobne do Poszukiwania Skarbu, wie pan. ale oni tak często szukają skarbu, że chcieli mieć coś nowego. Zaproponowali mi więc niezłą gratyfikację za przybycie tutaj i obmyślenie wszystkiego. Właściwie to całkiem zabawne, okazja do oderwania się od codziennych, monotonnych zajęć.
— Jak to się odbywa?
— Będzie oczywiście Ofiara. Tropy. I Podejrzani. Takie klasyczne typy, wie pan: Wamp, Szantażysta, Młodzi Kochankowie, Posepny Lokaj i tak dalej. Po zapłaceniu pół korony za wstęp ogląda się pierwszy Trop, a potem trzeba znaleźć Ofiarę, Narzędzie Zbrodni oraz powiedzieć, kto jest Sprawcą i wskazać Motyw.
— Znakomicie! — stwierdził Herkules Poirot.
— Tak naprawdę — powiedziała smutnawo pani Oliver — trudniej to wszystko urządzić, niż się wydaje. Prawdziwi ludzie są przecież całkiem inteligentni i nie można im tego odebrać, a w książkach ja dawkuje inteligencję bohaterom.
— Zostałem więc wezwany po to, by pomóc pani w zorganizowaniu tego wszystkiego?
Poirot nie wysiłał się, by ukryć złość i oburzenie w głosie.
— Och. nie. Oczywiście, że nie! Wszystko zrobiłam sama. Wszystko jest już gotowe na jutro. Potrzebuję pana z całkiem innego powodu.
— Z jakiego powodu?
Pani Oliver bezwiednie zbliżyła dłonie ku głowie. Już — tym swoim charakterystycznym gestem — miała palcami przeczesać energicznie włosy, gdy przypomniała sobie o kunsztownej fryzurze. Chwyła się więc tylko rękami za płatki uszu, co też przyniosło jej ulgę.
— Może wyjdę na idiotkę, ale mam wrażenie, że tu jest coś nie w porządku.

⁵ fr. arcydzieła

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez moment Poirot wpatrywał się w nią, a potem zapytał ostro:

— Nic w porządku? Co?

— Nic wiem... Chciałabym, żeby pan to właśnie wyjaśnił. Czuję się coraz bardziej i bardziej... och!... znoszona... jestem przedmiotem manipulacji... Może mnie pan uznać za wariatkę, ale powiem, że wcale nie zdziwiłabym się, gdyby jutro zamiast odgrywanego zdarzyło się tu najprawdziwsze morderstwo!

Poirot patrzył na nią uważnie. Nie spuszczała wzroku.

— Bardzo interesujące — powiedział.

— Przypuszczam, że ma pan mnie za zupełną idiotkę.

— Nigdy nie uważałem pani za idiotkę.

— A ja wiem, co pan zawsze mówi i myśli o intuicji.

— To kwestia nazwy. Jestem w pełni golów uwierzyć, że zauważyła pani albo usłyszała coś, co panią zaalarmowało. Możliwe nawet, tak myślę, iż nie wie pani, co zobaczyła lub usłyszała. Pani jest świadoma tylko rezultatu. Jeżeli mogę to tak ująć, nie wie pani, co jest pani wiadome. Jak ktoś chce, może to nazwać intuicją.

— Ta niemożność sprecyzowania rzeczy powoduje, że czuję się jak durna — wyznała ze smutkiem pani Oliver.

— Dojdziemy do tego — pocieszał Poirot. — Powiedziała pani, że ma uczucie, iż jest... jak to pani określiła... znoszona. Mógłbym prosić o nieco ściślejsze sformułowanie, co pani przez to rozumie?

— Hm, to raczej trudne... Widzi pan, to jest moje morderstwo, że tak powiem. Wszystko przemyślałam i zaplanowałam, wszystkie elementy pasują do siebie jak deski łączone na pióro i wpust. Jeżeli w ogóle wie pan cokolwiek o pisarzach, musi pan zdawać sobie sprawę, że nie cierpią oni, kiedy cokolwiek im się sugeruje. Ludzie mówią: „Wspaniale, ale czy nie byłoby lepiej, gdyby ten a ten zrobił to a to?” Albo: „Czy nie jest to cudowny pomysł, żeby ofiarą został A zamiast B?” Lub: „A gdyby tak morderczynią okazała się D zamiast E?” W porządku, piszcie sobie sami, jak chcecie to tak pozmienić!

Poirot skinął głową.

— I takie rzeczy tu się zdarzały?

— Niezupełnie... Tego typu głupie pomysły zostały zgłoszone, ale ja się rozżłościłam i zrezygnowałam z nich. Zaraz jednak potem pojawiły się sugestie dotyczące pewnych drobniaków. Ponieważ byłam nieustępliwa w sprawach poważniejszych, na te drobne zmiany się zgodziłam i nawet nie bardzo zwróciłam na nie uwagę.

— Rozumiem — powiedział Poirot — to jest metoda, żeby... Występuje się z pomysłem gruntownej zmiany —nie przemyślanym, a nawet niedorzecznym — ale proponujący nawet nie próbuje go bronić, bo naprawdę nie o to chodzi. Rzeczywistym celem są pewne drobniejsze korekty. To pani ma na myśli?

— To jest dokładnie to, o czym mówię. Idzie o rzeczy, o których się zwykle powiada: „To i tak nic ma większego znaczenia”. Mnie to jednak martwi, podobnie jak szczegółna... atmosfera.

— Kto przychodził do pani z propozycjami tych zmian?

— Różni ludzie. Gdyby to był jeden pomysłodawca, miałabym pewniejszy grunt pod nogami. Jest ich jednak więcej, choć myślę, że tak naprawdę stoi za tym jedna osoba. To znaczy jedna osoba, która działa poprzez innych, nieświadomych niczego ludzi.

— Ma pani jakieś przypuszczenia, kim może być ta osoba?

Pani Oliver pokręciła przecząco głową.

— To ktoś bardzo sprytny i bardzo ostrożny. To może być każdy.

— Kto wchodzi w grę? — spytał Poirot. — Lista postaci musi być przecież raczej krótka.

— Jest więc Sir George Stubbs — zaczęła pani Oliver — właściciel tej posiadłości. Bogacz i prostak przerażająco głupi w sprawach, które nic należą do biznesu, ale podobno w biznesie niezmiernie tęgi łeb. Żona pana Stubbsa. Hattie, młodsza od niego o około dwadzieścia lat, można ją uznać za piękną kobietę, ale na pewno nie bystrą. Szczerze mówiąc, myślę, że ona jest niedorozwinięta. Wyszła za niego dla pieniędzy oczywiście : i myśli tylko o strojach i biżuterii. Następnie mamy i Michaela Weymana, całkiem młodego architekta. Przystojny, choć nosi się z właściwą wielu artystom niedbałością. Dla Sir George'a projektuje pawilon do tenisa i naprawia glorię.

— Glorię? Czy to strój na maskaradę?

— Nie, to budowla. Rodzaj altany albo małej świątyni i parkowej. Często biała z kolumnami. Pewnie widział pan takie w ogrodach Kew w Londynie.

— Z kolei panna Brewis, sekretarka, która również ; zarządza domem, wszystkiego dogląda, prowadzi korespondencję. Bardzo sprawna i surowa.

— A teraz ludzie z okolicy, którzy tu przychodzą i pomagają. Młode małżeństwo wynajmujące chatę, tam niżej w dolinie rzeki: Alec i Sally Legge. Kapitan Warburton, pełnomocnik Mastertonów. Mastertonowie, oczywiście, i leciwa pani Folliat, która mieszka w dawnym domku ogrodnika. Nasse było własnością rodziny jej męża, ale potomkowie rodu wymarli, wyginęli na wojnach, podatki spadkowe urosły do wielkich sum i ostatni dziedzic sprzedał majątek.

Poirot zamyślił się nad zestawem postaci, ale w tym momencie były to dla niego właściwie jedynie nazwiska. Powrócił do głównego tematu.

— Czyj to był pomysł, to Polowanie na Mordercę?

— Pani Masterton, wydaje mi się. To żona posła do parlamentu z tutejszego okręgu, bardzo dobra w organizowaniu wszelkich imprez. To ona przekonała Sir George'a, by urządzić festyn tutaj. Widzi pan, to miejsce było niedostępne przez tyle lat, że — jak sądzi pani Masterton — ludzie chętnie zapłacą, by je znowu zobaczyć.

— To wszystko wydaje się zupełnie normalne — zauważył Poirot.

— To wszystko wydaje się normalne, ale nie jest normalne — upierała się pani Oliver. — Mówię panu, panie Poirot, coś tu jest nie w porządku.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu.

— Co pani powiedziała o moim przyjeździe? Oficjalnie, po co zostałem wezwany?

— To prosta sprawa. Jest pan tu po to, by wręczyć nagrody zwycięzcom Polowania na Mordercę. Wszyscy są bardzo podekscytowani. Powiedziałam, iż znam pana i mogę, prawdopodobnie, namówić pana na przyjazd, a pańska osoba, jestem pewna, będzie prawdziwym magnesem dla publiki. I co do tego nie ma oczywiście wątpliwości — zakończyła taktownie pani Oliver.

— I nikt się nie sprzeciwił?

— Mówię panu, wszyscy byli bardzo podekscytowani. Pani Oliver nie uznała za konieczne wspomnieć o tym, że jedna lub dwie młodsze osoby wystąpiły z pytaniem: „A kto to jest Herkules Poirot?”

— Wszyscy? Nikt nie krytykował tego pomysłu?

Pani Oliver pokręciła przecząco głową.

— Szkoda — ubolewał Herkules Poirot.

— Chce pan powiedzieć, że to mogłaby być dla nas wskazówka?

— Ktoś, kto planuje przestępstwo, raczej nie pragnąłby mojej obecności tutaj.

— Pan chyba myśli, że ja uroiłam sobie to wszystko — powiedziała zasmucona pani Oliver. — Do rozmowy z panem nie zdawałam sobie sprawy, muszę przyznać, jak wątle mam podstawy do wszczynania alarmu.

— Proszę się nie martwić — powiedział łagodnie Poirot. — Jestem tą interesującą sytuacją zaintrygowany. Gdzie zaczynamy?

Pani Oliver spojrzała na zegarek.

— Jest właśnie pora podwieczorku. Wrócimy do domu i będzie pan mógł poznać się z wszystkimi.

Ruszyła zupełnie inną dróżką niż ta, którą przyszedł Poirot. Ścieżka zdawała się prowadzić w przeciwną stronę.

— Przejdziemy koło szopy żeglarskiej — wyjaśniła pani Oliver.

Malownicza, kryta strzechą szopa do przechowywania łodzi wysuwała się znacznie w rzekę.

— Tutaj mają leżeć zwłoki ofiary — poinformowała pani Oliver. — Ofiary z Polowania na Mordercę.

— A kto zostanie zabity?

— Jugosłowiańska dziewczyna wędrująca z plecakiem, pierwsza żona młodego atomisty — informowała pani Oliver bez zająknięcia.

Poirot mrugnął okiem.

— Oczywiście wydaje się, że zabił ją atomista, ale naturalnie to nie jest takie proste.

— Pewnie że nie, skoro pani układała fabułę... Pani Oliver gestem ręki zaakceptowała komplement.

— Naprawdę została zabita przez ziemianina i motyw jest bardzo zmyślnie wybrany. Nic sędzę, by wiele osób na to wpadło, choć piąty trop zawiera absolutnie jasną wskazówkę.

Poirot nie pytał o inne subtelnosci intrygi pani Oliver, lecz interesował się kwestią praktyczną:

— A odpowiednie ciało, jak pani to rozwiązała?

— W trupa wcieli się harcerka. Pierwotnie miała to zrobić Sally Legge, ale oni chcą teraz zasłonić jej twarz kwefem i uczynić z niej wróżkę. Zwłoki zagra więc harcerka Marlene Tucker. Raczej tępa i z polipami w nosie. Ale poradzi sobie, bo to żadna sztuka. Potrzebna jest jej tylko wiejska chustka i plecak, a kiedy usłyszy, że ktoś nadchodzi, ma się położyć na podłodze i owinać sobie szyję sznurem. Raczej nudne zajęcie dla biednego dzieciaka — tkwić w tej szopie i czekać, aż ją ktoś odnajdzie — ale skombinowałam dla niej całą stertę komiksów. Zresztą w jednym z nich parę nagryzmołonych słów to kolejny trop mordercy.

— Pani pomysłowość mnie oszałamia! Pamięta pani o takich szczegółach!

— To nic trudnego pamiętać o szczegółach. Kłopot w tym, że kiedy myśli się o zbyt wielu detalach, rzecz staje się nadmiernie skomplikowana, trzeba zrobić selekcję i to jest dopiero męczarnia. Teraz pójdziemy tędy.

Zaczęli się wspinać zygzakowatą ścieżką, która prowadziła z powrotem wzdłuż rzeki, ale coraz wyżej. Skręcili pomiędzy drzewami i wyszli na małą polanę z białą, ozdobioną pilastrami glorieta pośrodku. Stał tam i marszczył czoło młody mężczyzna w znoszonych flanelowych spodniach i jadowniczej zielonej koszuli. Odwrócił się, gdy podeszli.

— Pan Michael Weyman, pan Herkules Poirot — przedstawiła pani Oliver, a młody człowiek skwitował tę prezentację niedbałym ukłonem.

— To zdumiewające — powiedział z irytacją — w jakich miejscach ludzie lokują różne rzeczy. Ten budynek na przykład. Wzniesiony zaledwie rok temu, lub niewiele wcześniej, stanowi niezły przykład architektury parkowej, a przy tym jest dopasowany do stylu epoki, w której powstała rezydencja. Ale dlaczego tutaj? Przecież to jest obiekt, który powinien być widoczny, zwykle mówi się o gloriacie „usytuowana na wyniosłości”. Na przykład ponad trawiastym zboczem złączonym się zonkilami. A ta nieszczęśnica tutaj, wciśnięta w gąszcz, trudno ją w ogóle dostrzec, trzeba by wyciąć ze dwadzieścia drzew, żeby była widoczna od strony rzeki.

— Może nie było innego miejsca — powiedziała pani Oliver.

Michael Weyman prychnął.

— A ponad tą łąką na stoku obok domu? Idealne miejsce, stworzone przez naturę. Ale nie, ci nuworysze są wszędzie tacy sami — żadnego wycucia artystycznego. Zachciało mu się akurat gloriety, więc każe ją postawić. Rozgląda się za miejscem. I wtedy, tak sobie wyobrażam, wichura powala wielki dąb. Tworzy się paskudna wyrwa w drzewostanie. „Och, postawimy w tej dziurze gloriety i nie będzie śladu po wiatrołomie” — mówi taki osioł. O tym i tylko o tym myślą ci bogacze z miasta: zakłajstrować dziurę! Dziwię się, że nie porobił rabatek z pelargoniami i pantofelnikiem dookoła domu! Tego typu ludziom powinno się zakazać posiadania takich miejsc!

Wyglądał na bardzo podnieconego. Ten młody człowiek — pomyślał Poirot — z pewnością nie lubi Sir George’a Stubbsa.

— Glorieta stoi na betonowym fundamencie — powiedział Weyman — pod którym jest niestabilny grunt. Przez to budynek się zapada. Wszystko już popękało — wkrótce będzie tu niebezpiecznie... Lepiej byłoby rozebrać całość i wznieść na nowo ponad łąką na stoku obok domu. To moja rada, ale ten uparty stary dureń nie chce mnie słuchać.

— A co z pawilonem do tenisa? — spytała pani Oliver. Młody człowiek spochmurniał jeszcze bardziej.

— On chce mieć coś w rodzaju chińskiej pagody — jęknął. — Życzy sobie smoki! Po prostu dlatego, że pani Stubbs preferuje nakrycia głowy w formie kapeluszy chińskich kulisów. Co ma począć architekt? Ludzie, którzy chcieliby zbudować coś porządnego, nie mają pieniędzy, a ci, którym pieniędzy nie brakuje, zamawiają jakieś obrzydliwe cholerstwo!

— Bardzo panu współczuję — powiedział poważnie Poirot.

— George Stubbs — ciągnął z pogardą architekt — wyobraża sobie, że jest nie wiadomo kim! Zadekował się na czas wojny w jakimś biurze marynarki, podłapawszy intratną posadkę na bezpiecznym śródlądziu Walii. I zapuścił brodę, by wyglądać jak weteran bitew morskich i konwojów — tak przynajmniej mówią. Strasznie jest nadziany, forsę ma jak lodu!

— Wy architekci potrzebujecie kogoś, kto ma pieniądze do wydania, inaczej nie będziecie mieli pracy — stwierdziła całkiem rozsądnie pani Oliver. Ruszyła w stronę rezydencji, a Poirot i rozgoryczony architekt udali się za nią.

— Te nababy — młody człowiek formułował końcowy zarzut w sprawie pochylonej gloriety — nie mogą zrozumieć podstawowych zasad: jeżeli kruszą się fundamenty, wali się wszystko.

— To głębokie, co pan mówi — skomplementował Poirot. — Tak, to głębokie.

Ścieżka wyszła na otwartą przestrzeń i ukazał się piękny, biały dom w ciemnej oprawie wyniosłych drzew.

— To prawdziwy klejnot, tak — wymruczał Poirot.

— A on chce dobudować tu salę bilardową — powiedział ze zgorzaniem Weyman.

Poniżej — na pochyłości — drobna, starsza kobieta obcinała sekatorem suche gałązki krzewów. Podeszła w górę, by ich przywitać. Zasapała się co nieco.

— Wszystko zaniedbane przez całe lata — narzekała. — A teraz tak trudno znaleźć kogoś, kto naprawę zna się na krzewach. Ten cały stok powinien bić w oczy kolorami w marcu i kwietniu, a w tym roku zupełnie zszarzał. Suche krzaki i pędy należało wyciąć już jesienią...

— Pan Herkules Poirot, pani Folliat — przedstawiła pani Oliver.

Staruszka rozpromieniła się.

— Więc to jest wspaniały pan Poirot! Bardzo to uprzejmie, że zechciał pan przyjechać, by wspomóc nas jutro. Ta bystra dama opracowała wielce skomplikowaną zagadkę — będzie to naprawdę coś nowego.

Poirot był trochę zdziwiony sposobem wygłaszania tych grzeczności. Ta kobieta robi to tak, jakby była tu panią domu — pomyślał.

— Pani Oliver jest moją dobrą znajomą od lat — powiedział z rewerencją. — Ogromnie się cieszę, że byłem w stanie spełnić jej życzenie. To naprawdę piękne miejsce i cóż za wspaniała, szacowna rezydencja.

Pani Folliat skinęła głową i dodała rzeczowo:

— Tak. Została wzniesiona przez pradziada mojego męża w roku 1790. Wcześniej stał tu dom z epoki elżbietańskiej. Podupadł i spłonął około roku tysiąc siedemsetnego. Nasza rodzina żyła tu od roku 1598.

Mówiła rzeczowo cichym głosem. Poirot patrzył z wielką uwagą na tę drobniutką, ale krzepką kobietę, ubraną w wyświechtane tweedy. W całej postaci najbardziej zwracały uwagę jasne oczy — jakby z błękitnej porcelany. Siwe włosy opięte miała siateczką. Choć najwyraźniej niezbyt dbała o powierzchowność, było w jej postawie coś nic do określenia, świadczącego, że jest kimś.

Gdy szli wszyscy w stronę domu, Poirot odezwał się ostrożnie:

— To chyba nie jest łatwe dla pani... dom rodzinny zajmują obcy ludzie...

Była chwila ciszy, nim pani Folliat odpowiedziała. Mówiła wyraźnie czystym, pozbawionym emocji głosem.

— Tyle rzeczy w życiu nie jest łatwych, panie Poirot.

ROZDZIAŁ TRZECI

Poirot, postępując za panią Folliat, wszedł do rezydencji. Był to piękny budynek o doskonałych proporcjach. Najpierw znaleźli się w lewej części — w małej, gustownie umeblowanej poczekalni, skąd drzwi prowadziły do wielkiego salonu, pełnego ludzi. Wszyscy zdawali się mówić jednocześnie.

— George — zawołała pani Folliat — to pan Poirot, który jest tak łaskawy, że przyjechał, by nam pomóc. Sir George Stubbs.

Sir George, który perorował właśnie donośnym głosem, odwrócił się natychmiast. Był potężnym mężczyzną z mocno rumianym obliczem i brodą — w tej twarzy zaskakującą. Efekt był trochę niepokojący, jak u aktora, który nie może się zdecydować, czy gra rolę posiadacza ziemskiego, czy „nie oszlifowanego diamentu” rodem z peryferyjnych stron imperium. Z pewnością aparycja ta nie kojarzyła się z marynarką — wbrew docinkom Michaela Weymana. Z głosu i gestów wydawał się jowialny, ale ta chytryść przenikliwych, bładniebieskich oczek...

Przywitał Poirota kordialnie.

— Jesteśmy tacy zadowoleni, że pani Oliver zdołała nakłonić pana do przyjazdu — powiedział. — To był znakomity pomysł. Pańska obecność ogromnie uatrakcyjnia imprezę.

Rozejrzał się dookoła trochę niespokojnie.

— Hattie?

Powtórzył imię nieco ostrzejszym tonem:

— Hattie!

Pani Stubbs spoczywała pół leżąc w wielkim fotelu, nieco na uboczu, z dala od wszystkich. Zdawała się nie zwracać uwagi na to, co się wkoło niej dzieje. Z uśmiechem wpatrywała się we własną rękę wyciągniętą, na oparciu fotela. Przekręcała dłoń na prawo i lewo, tak by wielki soliter na trzecim palcu chwycił światło w głębię szmaragdu.

Podniosła nieco oczy jakby po dziecięcemu zdziwione i powiedziała:

— Dzień dobry.

Sir George kontynuował prezentację.

— Pani Masterton.

Panią Masterton można by określić jako kobietę monumentalną.. Poirotowi przypominała nieco ogara bloodhound. Odznaczała się mocno wystającą szczęką dolną i wielkimi, nieco przekrwionymi oczami o ponurym wyrazie.

Skłoniła się i powróciła do rozmowy. Jej tubalny głos ponownie nasunął Poirotowi skojarzenie z ogarem, z ujadającym ogarem.

— Ten głupi spór o namiot na herbaciarnię trzeba wreszcie zakończyć, Jim — basowała. — Muszą zachować się sensownie. Nie możemy dopuścić do fiaska całej imprezy z powodu tych idiotycznych swarów miejscowych bab.

— Jasne, oczywiście — przytaknął mężczyzna, do którego się zwracała.

— Kapitan Warburton — przedstawił go Sir George. Kapitan Warburton, w sportowej kurtce w kratkę, miał w sobie coś końskiego. Uśmiech, w którym odsłonił okazałe białe zęby, był jednak raczej wilczy.

— Proszę się nie martwić, ja to załatwię — zapewniał panią Masterton. — Przemówię do nich po ojcowsku. A namiot wróżki? Postawimy go obok magnolii czy na drugim końcu trawnika, przy rododendronach?

— Państwo Legge — Sir George przedstawiał Poirotowi następnych gości.

Wysoki, młody mężczyzna, któremu z twarzy schodziła skóra od nadmiaru opalenizny, uśmiechnął się uprzejmie. Jego żona, pociągająca rada pieguska, skinęła przyjaźnie głową i

pograżyła się w rozmowie z panią Masterton. Jej miły sopran przeplatał się z głębokim ujadaniem posłowej.

— ...nie koło magnolii, nie będzie przejścia...

— ...chce się rozstawić to luźniej, ale jeżeli jest kolejka...

— ...znacznie chłodniej. Chodzi mi o to, że dom w pełnym słońcu...

— ...a rzutu orzechem kokosowym nie można rozgrywać zbyt blisko domu, chłopcy tak przy tym szaleją...

— A to — wskazał Sir George — jest panna Brewis, która komenderuje nami wszystkimi.

Panna Brewis siedziała nad wielką, srebrną tacą do herbaty. Była to szczupła kobieta po czterdziestce o miłym sposobie bycia, robiła wrażenie osoby energicznej i kompetentnej.

— Witam pana, panie Poirot — powiedziała. — Mam nadzieję, że w pociągu nie było ścisku. O tej porze roku podróż koleją bywa czasem bardzo uciążliwa. Czy mogę poczęstować pana herbatą? Z mlekiem? Słodzi pan?

— Tylko odrobinę mleka, *mademoiselle*, i cztery kostki cukru. Widzę, że wszyscy państwo są w wirze przygotowań.

— Tak, rzeczywiście. Jak zawsze w ostatniej chwili jest mnóstwo rzeczy do dopilnowania. Namioty duże i małe, krzesła, sprzęt kuchenny. O tym wszystkim trzeba pamiętać, wszystko sprawdzać. Całe rano przesiadywałam dziś na telefonie.

— A co z tymi palikami, Amando? — spytał Sir George. — A dodatkowe kije do golfa zegarowego?

— Wszystko jest załatwione, Sir George. Pan Benson z klubu golfowego był bardzo uprzejmy.

Podawał Poirotowi filiżankę 7. herbata.

— Może kanapkę, panie Poirot? Te są z pomidorami, a tamte z pasztetem. Ale pan pewnie — panna Brewis przypomniała sobie o czterech kostkach cukru — wolałby raczej ciastko z kremem?

Poirot wolałby raczej ciastko z kremem i wybrał sobie to, w którym było najwięcej kremu. Następnie, ostrożnie niosąc je na talerzyku, podszedł do pani domu i usiadł obok. Młoda żona pana George'a wciąż podziwiała grę światła załamującego się w głębi jej szmaragdu. Z uśmiechem szczęśliwego dziecka podniosła oczy na Poirota.

— Niech pan popatrzy — powiedziała. — Piękny, prawda? Poirot przyglądał się pani Stubbs z uwagą. Na głowie miała kapelusz w stylu chińskich kulisów, którego jaskrawa, karmazynowa słomka rzuciła żywe refleksy na matową biel twarzy. Mocny makijaż miał również nieangielski, egzotyczny charakter. Biała, matowa skóra, krzykliwy cyklamen warg, tusz obficie kryjący rzęsy, pod kapeluszem włosy czarne i gładkie, przylegające do głowy jak aksamitna czapeczka. Intrygowało jakieś omdlałe, nieangielskie piękno tej twarzy. Była stworem spod tropikalnego słońca, przypadkowo złowionym do angielskiego salonu. Ale uwagę Poirota przykuwały oczy o dziecinnym i niemal bezmyślnym wejrzeniu.

Pytanie, które padło, zadała w dziecinnie sekretny sposób i Poirot odpowiedział tak, jakby zwracał się do dziecka.

— To bardzo piękny pierścionek. Wyglądała na zadowoloną.

— George podarował mi go wczoraj — powiedziała ścisłym głosem, tak jak się mówi zdradzając tajemnicę. — On mi daje dużo rzeczy. Jest bardzo dobry. Poirot spojrział jeszcze raz na pierścień i na wyciągniętą na oparciu fotela dłoń o długich, polakierowanych na fioletowo paznokciach.

Pamięć podsunęła mu cytat: „Nie trzaskają ani nie przęda...”

Pani Stubbs przy ciężkiej pracy, pani Stubbs jako prządka? Nie, nie umiał sobie tego wyobrazić. A jednak Poirot nie nazwałby jej chyba mimozą. Trudno było znaleźć odpowiednie określenie. Wydawała się sztucznym tworem.

— Bardzo piękną mają tu państwo salę, *madame* — powiedział, rozglądając się z uznaniem dookoła.

— Myślę, że jest piękna — zgodziła się raczej obojętnie.

Uwaga pani Stubbs wciąż skupiała się na pierścieniu. Przekrzywiła głowę i poruszając ręką wpatrywała się w zielony ogień w głębi kamienia.

— Czy pan widzi? — spytała konfidencjonalnym szeptem. — On do mnie mruga.

Wybuchnęła śmiechem, który aż wstrząsnął Poirotem. Był głośny i nie kontrolowany.

— Hattie — odezwał się Sir George z drugiego końca salonu. W jego głosie brzmiała uprzejmość, ale i delikatne napomnienie. Śmiech pani Stubbs urwał się.

— Devonshire to urocze hrabstwo — odezwał się stereotypowo Poirot. — Zgadza się pani?

— Tak, za dnia jest tu miło. Kiedy nie pada — zastrzegła i spochmurniała. — Ale nie ma żadnych nocnych klubów.

— A, rozumiem. Pani lubi nocne kluby?

— Och, tak! — potwierdziła z zapalem.

— A co tak bardzo podoba się pani w nocnych klubach?

— Jest muzyka i można tańczyć. Ubieram się w moje najlepsze stroje, bransolety i pierścienie. Wszystkie inne kobiety też mają biżuterię i ładne suknie, ale nie tak piękne jak moje.

Uśmiechnęła się z ogromnym zadowoleniem. W Herkulesie Poirot wzbierała litość.

— I to wszystko bardzo panią cieszy?

— Tak. Podoba mi się również w kasynach. Dlaczego w Anglii w ogóle nie ma kasyn?

— Często się nad tym zastanawiałem — westchnął Poirot. — Myślę, że kasyno gry byłoby trudne do pogodzenia z angielskim charakterem.

Spojrzała na niego nie rozumiejąc. Następnie przysunęła się nieco.

— Kiedyś w Monte Carlo wygrałam sześćdziesiąt tysięcy franków. Postawiłam na dwadzieścia siedem i padł właśnie ten numer.

— To musiało być bardzo ekscytujące, *madame*.

— Och tak, bardzo. George daje mi pieniądze, żebym zagrała, ale przeważnie przegrywam.

Wyglądała na strapioną.

— To smutne.

— E, to właściwie nie ma znaczenia. George jest bardzo bogaty. To miło być bogatym, prawda, proszę pana?

— Bardzo miło — powiedział łagodnie Poirot.

— Gdybym nie była bogata, to pewnie wyglądałabym tak jak Amanda — jej wzrok powędrował ku pannie Brewis, siedzącej przy stoliku z herbatą. Przypatrywała się jej obojętnie. — Ona jest bardzo brzydka, prawda?

Panna Brewis również się im przyglądała. Hattie Stubbs nie mówiła głośno, ale Poirot nie był pewien, czy Amanda Brewis nie usłyszała dwóch ostatnich zdań.

Poirot napotkał spojrzenie kapitana Warburtona. Była w nim ironia i rozbawienie.

Poirot spróbował zmienić temat.

— Była pani bardzo zajęta przygotowaniem do festynu?

Hattie Stubbs pokręciła głową.

— O nic, to wszystko wydaje się takie nudne i strasznie głupie. Jest przecież służba, ogrodnicy. To oni muszą wszystko przygotować.

— Ach, kochanie — powiedziała pani Folliat, która usiadła właśnie na sofie tuż obok. — Tak cię wychowano w waszych dobrach, tam gdzieś na dalekiej wyspie. Ale życie w dzisiejszej Anglii jest inne, niestety — westchnęła. — Teraz prawie wszystko trzeba robić samej.

Pani Stubbs wzruszyła ramionami.

— Uważam, że to głupie. Jaki pożytek z tego, że się jest bogatym, jeśli trzeba robić tyle rzeczy?

— Niektórzy to lubią — uśmiechnęła się pani Folliat. — Na przykład ja. Nie wszystko, ale niektóre rzeczy. Lubię pracować w ogrodzie i lubię przygotowania do takiej imprezy jak nasz jutrzejszy festyn.

— A czy będzie tak jak na zabawie? — zapytała z nadzieją pani Stubbs.

— Jak na zabawie. I będzie mnóstwo ludzi.

— A czy będzie podobnie jak na wyścigach w Ascot? Wszyscy modnie ubrani, w wielkich kapeluszach?

— No, nie całkiem jak w Ascot — przyznała pani Folliat i dodała łagodnie:

— Musisz poznać i polubić tutejszy lokalny świątek, Hattie. Powinnaś była pomóc nam dziś rano, zamiast leżeć w łóżku. Wstałaś dopiero na podwieczorek.

— Bolała mnie głowa — powiedziała nadąsana Hattie. Zaraz potem nastrój jej się zmienił i uśmiechnęła się czule do pani Folliat.

— Ale jutro będę w formie. Zrobię wszystko, co pani każe.

— Jaka jesteś milutka, kochanie.

— Mam nową sukienkę. Przystali dziś rano. Niech pani pójdzie ze mną. na górę i obejrzy.

Pani Folliat wahała się. Hattie podniosła się z fotela i zażądała:

— Musi pani zobaczyć. Proszę. To śliczna sukienka. Idziemy, już!

— No dobrze — pani Folliat uśmiechnęła się bez przekonania i wstała.

Gdy wychodziły z salonu, mała Folliat za wysoką Hattie, Poirot zdumiał się zmianą., jaka nastąpiła na twarzy starszej pani. Nic było uśmiechu ani opanowania — małoowało się na niej jedynie zmęczenie. Uznała chyba, że nie musi już w tym momencie się kontrolować i zrzuciła maskę, w której pokazywała się w towarzystwie. A może wiązało się z tym coś jeszcze? Może cierpiała na jakąś chorobę, o której — jak wiele kobiet — nigdy nie mówiła? Pomyślał, że nie należała do osób oczekujących na wyrazy litości czy współczucia.

Kapitan Warburton usiadł w fotelu opuszczonym przed chwilą przez Hattie Stubbs. On również patrzył w stronę drzwi, którymi właśnie wyszły te dwie kobiety. w odróżnieniu od Poirota myślał jednak o młodszej.

— Piękne stworzenie — cedził słowa z lekkim uśmieszkiem — prawda?

Kątem oka obserwował Sir George'a, wychodzącego z salonu przez przeszklone drzwi. Za nim podążała pani Masterton i pani Oliver.

— Zawojowała drogiego George'a Stubbsa bez reszty. Nic nie jest dla niej zbyt kosztowne! Ani klejnoty, ani norki, nic. Nigdy nie udało mi się rozeznaczyć, czy George zdaje sobie sprawę, że ona ma nie całkiem dobrze pod sufitem. Pewnie myśli, że to nie jest ważne. W końcu taki ktoś od rozmnażania forsy nie potrzebuje towarzyszkę do intelektualnych rozmów.

— Jakiej ona jest narodowości? — spytał z zaciekawieniem Poirot.

— Wygląda, jakby pochodziła z Ameryki Południowej. Myślę, że ona jest z Karaibów. Z wyspy — takiej co to trzcina cukrowa, mm i właściwie nic więcej. Wywodzi się pewnie z jakiejś starej rodziny kreolskiej, nie metyskiej, zaznaczam. Oni tam żenią się w obrębie jednego rodu na takich wysepkach. Bywa to przyczyną chorób umysłowych.

Dołączyła do nich młoda pani Legge.

— Słuchaj, Jim — powiedziała — musisz mnie poprzeć. Ten namiot powinien stanąć tak, jak wszyscy zdecydowaliśmy: na drugim końcu trawnika, tuż przed rododendronami. To jedyne możliwe miejsce.

— Mateczka Masterton ma inne zdanie.

— No więc przekonaj ją.

Jim uśmiechnął się jak stary lis.

— Pani Masterton jest moim szefem.

— Wilfred Masterton jest twoim szefem. Pan poseł do parlamentu.

— Ale w gruncie rzeczy, ośmielę się powiedzieć, ona jest szefem. To ona nosi spodnie w tym stadle, przecież widać.

Sir George powrócił do salonu.

— A, to ty tu, Sally. Potrzebujemy cię. Nie myślałem, że o wszystko będą się kłócić: kto ma smarować bułki masłem, a kto sprzedawać tort na loterii, i jakim prawem zieloniak pojawił się na miejscu zaklepanym na stoisko z przyborami do dziergania i robótek ręcznych. Gdzie jest Amy Folliat? Ona sobie poradzi z tymi wszystkimi ludźmi, chyba tylko ona to potrafi.

— Poszła na górę, razem z Hattie.

— Ach tak...?

Sir George patrzył wokół z dziwnie bezradną miną, a panna Brewis porzuciła bilety, które właśnie wypisywała, i podbiegła do niego.

— Sprowadzę ją do pana, Sir George.

— Dziękuję ci, Amando. Panna Brewis wyszła z salonu.

— Muszę zdobyć więcej siatki ogrodzeniowej — zamruczał Sir George.

— Na festyn?

— Nie, nie. Muszę poprawić płot od strony Hoodown Park, tam w lesie. Stary się już rozleciał i to właśnie tamtędy wąż.

— Kto włązi?

— A kto chce! — wyrzucił z siebie Sir George.

— Trochę pan podobny do Betsy Trotwood, organizującej kampanię przeciw osłom.

— Betsy Trotwood? Kto to taki? — spytał z prostotą Sir George.

— To z Dickensa.

— A, Dickens. Czytałem kiedyś Klub Pickwicka. Niezłe. Zupełnie niezłe, zainteresowało mnie. Ale poważnie, te łaziki to prawdziwa zbrodnia od czasu, kiedy zaczęło działać to idiotyczne schronisko młodzieżowe. Gdziekolwiek się człowiek skieruje, zaraz na takiego wejdzie. A poubierani, aż trudno uwierzyć — jeden miał dzisiaj rano koszulę całą w żółwie. Poczuję się, jakbym był pod dobrą datą. Połowa z nich nie mówi po angielsku, tylko coś mamrocą... — zaczął przedrzeźniać: „Och, proszę... tak, pofiedziała mi pan... jak idę do prom?” — Mówię, że to nie tędy, tu nie ma przejścia, wrzeszczę na nich, odsyłam ich tam, skąd przyszli, ale przeważnie gapią się na mnie, mrugają oczami i nie rozumieją. A dziewczyny chichoczą. Wszelkie tu występują narodowości: Włosi, Jugosłowianie, Holendrzy, Finowie. Nie zdziwiłbym się, gdyby zdarzył się nawet Eskimos. Co drugi to pewnie komunista. — zakończył ponuro.

— Posłuchaj, George, nie wyjeżdżaj teraz z komunistami — powiedziała pani Legge. — Pójdę i pomogę ci uspokoić te swarliwe baby.

Poprowadziła go ku przeszklonym drzwiom i krzyknęła za siebie przez ramię:

— Rusz się, Jim. Wyjdz i daj się posiekać w kawałki w słusznej sprawie.

— Dobra, ale chcę przedstawić obraz Polowania na Mordercę panu Poirot, ponieważ będzie on wręczał nagrody.

— Możesz to zrobić za chwilę.

— Zaczekam tu na pana — zaproponował zgodnie Poirot.

W ciszy, która nastąpiła, Alec Legge wyciągnął się w fotelu i westchnął.

— Kobiety! Jak rój pszczół. Odwrócił głowę i spojrzał za okno.

— I o co to wszystko? Jakiś głupi festyn parkowy, na którym nikomu nie zależy.

— Ale jednak — sprzeciwił się Poirot — są tacy, którym zależy na festynie.

— Dlaczego ludzie nie mogą nabrać rozsądku? Dlaczego nie myślą? Cały świat zamienia się w chaos. Czy nikt nie zdaje sobie sprawy, że mieszkańcy globu popełniają zbiorowe samobójstwo?

Poirot trafnie ocenił, że pytanie nie zostało zadane po to, by musiał on na nie odpowiadać. Pokręcił więc jedynie głową z powątpiewaniem.

— Jeśli nie zrobimy czegoś, zanim będzie za późno... — podjął Alec Legge, na którego twarzy pojawiła się złość. — O tak, wiem, co pan myśli. Że jestem nerwowy, neurotyczny i tak dalej. To samo mówią ci cholerni lekarze. Zalecają odpoczynek, odmianę, morskie powietrze. W porządku, Sally i ja przyjechaliliśmy tutaj, wynajęliśmy Mili Collage na trzy miesiące i robilem lo. co przepisali lekarze. Wędkowałem, kąpałem się, chodziłem na długie spacery, opalałem się...

— Zauważyłem pańską opaleniznę — powiedział uprzejmie Poirot.

— A, to? — ręka Aleca powędrowała ku jego pięknej twarzy. — To rezultat pięknego angielskiego lata, jakie zdarza się od czasu do czasu. Ale co to daje? Prawdzie trzeba spojrzeć w oczy, nie ucieknie się od niej.

— Ucieczka nigdy nie przynosi nic dobrego.

— I tu, w tym wiejskim środowisku, ostrzej widzi się rzeczy, także niewiarygodną apatię ludzi mieszkających w tym kraju. Nawet Sally, której nie brakuje przecież inteligencji, jest taka sama. Po co się martwić? To są jej słowa. Dostają szału, jak to słyszę. Po co się martwić?

— No właśnie, dlaczego pan się martwi?

— Dobry Boże, pan też z tym samym?

— Nie, to nie jest rada. Po prostu chciałbym znać pańską odpowiedź.

— Nie widzi pan, że ktoś musi coś zrobić?

— I pan jest tym kimś?

— Nie, nie, nie ja osobiście. Nie ma miejsca na indywidualizm w takich czasach.

— Nie rozumiem, dlaczego nie ma. Nawet w „takich czasach”, jak pan to ujmuje, jednostka zachowuje swoją indywidualność.

— Ale nie powinna! W czasach napięć, w okresie śmiertelnego zagrożenia, nie można myśleć o własnych, trywialnych dolegliwościach i kłopotach.

— Zapewniam, że myli się pan całkowicie. Podczas ostatniej wojny, w dniach najcięższego bombardowania, o wiele mniej dokuczala mi myśl o śmierci niż bolesny odcisk na małym palcu u nogi. Nawet mnie to wówczas dziwiło. Pomyśl, mówiłem sobie, w każdej chwili możesz zginąć. A jednak nie mogłem zapomnieć o tym nagniotku. Uważałem się za pokrzywdzonego, że muszę cierpieć i z powodu bolącej nogi, i ze strachu przed śmiercią. Właśnie dlatego, że śmierć była możliwa lada chwila, każdy drobiazg z mojego własnego życia nabierał większego znaczenia. Widziałem kobietę ze złamaną nogą, raną w wypadku, która rozplakała się, bo poszło jej oczko w pończosze.

— Co pokazuje, jakie głupie są kobiety!

— Co pokazuje, jacy są ludzie. Być może to skupienie jednostek na własnym życiu umożliwiło rodzajowi ludzkiemu przetrwanie.

Alec Legge roześmiał się pogardliwie.

— Czasami myślę, że lepiej byłoby, gdyby nie przetrwał.

— Jest to, wie pan — Poirot uparcie wracał do swojej myśli — rodzaj pokory. Pamiętam, że tutaj u was podczas wojny na ścianach metra wypisywano hasło: „Wszystko zależy od ciebie”. Wymyślił je, przypuszczam, jakiś wybitny duchowny, ale według mnie jest to szkodliwy i niebezpieczny slogan. Dlatego że głosi nieprawdę. Wszystko nie zależy od — powiedzmy — pani Blank zamieszkałej w Little-Blank-in-the-Marsh. A jeśli jej się w mówi, iż zależy, skutki będą oplakane. Zajęta myśleniem, jak pokierować sprawami świata, nie zauważy, że jej własne dziecko ściąga na siebie garnek z wrzątkiem.

— Ma pan dość staroświeckie poglądy. Jakie hasło pan by ułożył?

— Nie muszę nic układać. Jest w tym kraju siara dobra zasada, która mnie w pełni zadowala.

— Co to takiego?

— „Bogu ufaj, a strzelbę trzymaj w pogotowiu”.

— No, no... — Alec Legge wydawał się zaskoczony.

— To zupełnie nieoczekiwane z pana strony. Chciałbym, żeby zrobiono coś w tym kraju, wie pan, co?

— Bez wątpienia coś gwałtownego i nieprzyjemnego — uśmiechnął się Poirot.

Alec Legge patrzył z powagą.

— Chciałbym zobaczyć, jak robią porządek z niedorozwiniętymi umysłowo. Wszystkich wyeliminować i nic dopuścić, by się rozmnażali. Gdyby przez jedno pokolenie tylko inteligentni mogli mieć potomstwo, niech pan pomyśli, jaki byłby rezultat.

— Być może wielki wzrost liczby pacjentów w szpitalach psychiatrycznych — odpowiedział ozięble Poirot.

— Korzenie są zawsze potrzebne, nie tylko kwiatom, panie Legge. Choćby kwiaty były największe i najpiękniejsze, jeśli zniszczy się korzenie roślin, zginą i kwiaty.

I najzwyczajszym tonem dodał jeszcze pytanie:

— Czy panią Stubbs również uważa pan za kandydatkę do komory śmierci?

— Tak, uważam. Co za pożytek z takiej kobiety? Jaki wkład wniosła w życie społeczeństwa? Czy kiedykolwiek w jej głowie powstała jakaś myśl o czymś innym niż suknie, futra, biżuteria? Powtarzam: jaki z niej pożytek?

— Pan i ja — powiedział najuprzejmiej Poirot — jesteśmy z pewnością o wiele inteligentniejsi niż pani Stubbs. Ale — pokręcił smutno głową — to jest prawda, obawiam się, nawet w połowie nie jesteśmy tak nadobni jak ona.

— Nadobni... — zaczął Alec, prychając wściekle, lecz przerwał na widok powracającej pani Oliver i kapitana Warburtona.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Musi pan zobaczyć tropy i rekwizyty związane z Polowaniem na Mordercę — powiedziała zdyszana pani Oliver.

Poirot wstał i ruszył za nią posłusznie. We troje przeszli przez hol i znaleźli się w małym, umeblowanym jak biuro pokoju.

— Po lewej ma pan śmiertelny arsenał — kapitan Warburton wskazał ręką niewielki, przykryty rypsem stolik do kart. Leżał na nim mały pistolet, ołowiana rurka popstrzona złowieszczą rdzawymi plamami, niebieska butelka z nalepką „Trucizna”, kawał grubego sznura i strzykawka.

— To są narzędzia — wyjaśniła pani Oliver — a to lista podejrzanych.

Wręczyła Poirotowi kartkę, którą zaczął czytać z zainteresowaniem.

PODEJRZANI

Estelle Glynn	— piękna i tajemnicza młoda kobieta, goszcząca u pułkownika Blunta
Pułkownik Blunt	— posiadacz ziemski.
Joan	— córka pułkownika Blunta
Peter Gaye	— młody fizyk jądrowy, mąż Joan
Panna Willing	— gospodyni
Quiett	— lokaj
Maya Stavisky	— turystka
Esteban Loyola	— nieproszony gość

Poirot mrugał oczami i patrzył na panią Oliver nie rozumiejąc.

— Wspaniała galeria postaci — ocenił uprzejmie. — Czy mógłbym jednak zapytać, co powinien zrobić uczestnik Polowania?

— Proszę odwrócić tę kartkę — powiedział kapitan Warburton.

Na odwrocie Poirot przeczytał:

Imię i nazwisko

Rozwiązanie:

Nazwisko mordercy.

Narzędzie zbrodni

Motyw

Czas i miejsce

Uzasadnienie

.....

— Każdy uczestnik otrzymuje taką kartę — kapitan Warburton pośpieszył z objaśnieniami. — Dostaje także notes i ołówek do opisywania tropów. Tropów będzie sześć. Przechodzi się od jednego do drugiego po kolei, tak jak w Poszukiwaniu Skarbu. Te rzeczy, które mogły być narzędziem zbrodni, zostaną ukryte w podejrzanych miejscach. Oto pierwszy trop. Fotografia. Wszyscy zaczynają od tego zdjęcia.

Poirot wziął do ręki małą odbitkę i studiował ją marszcząc czoło. Odwrócił do góry nogami. Wciąż nie mógł się połapać. Warburton wybuchnął śmiechem.

— Niezła sztuczka fotograficzna, prawda? — powiedział z samozadowoleniem. — Bardzo proste, kiedy już się wie, co to jest.

Poirot, który nie wiedział, co to jest, zaczynał się irytować.

— Jakieś zakratowane okno? — zgadywał.

— Trochę podobne, przyznaję. Nie, to jest fragment siatki tenisowej.

— Ach! — Poirot ponownie spojrzął na zdjęcie. — Tak jak pan powiedział, to całkiem oczywiste, kiedy się usłyszało, co to jest!

— Tak wiele zależy od tego, jak się na coś patrzy — śmiał się Warburton.

— To święta prawda.

— Drugi trop jest do odnalezienia w pudełku pod środkową częścią siatki tenisowej. Wewnątrz pudełka będzie ta pusta butelka po truciznie, o ta, i korek. Osobno.

— Ale widzi pan — pośpiesznie dodała pani Oliver — to jest butelka z nakrętką zamiast korka, więc ten korek jest odrębnym tropem.

— Wiem, *madame*, że pani ma zawsze mnóstwo pomysłów, ale ja nie bardzo widzę...

Pani Oliver przerwała mu.

— Och, oczywiście, do tego jest tekst. Jak w historiach kryminalnych w czasopiśmie, streszczenie.

Spojrzała pytająco na kapitana Warburtona.

— Ma pan te ulotki?

— Nie przyszły jeszcze z drukarni.

— Przecież obiecali!

— Wiem. Wiem. Zawsze wszyscy obiecują. Będą gotowe dziś wieczorem o szóstej. Przywiozę je samochodem.

— Och, to dobrze.

Pani Oliver westchnęła głęboko i zwróciła się do Poirota.

— Tak, muszę więc to panu opowiedzieć. Tylko że ja nie jestem najlepsza w opowiadaniu. To znaczy, kiedy coś piszę, jest to zupełnie jasne, ale kiedy mówię, zawsze staje się okropnie pogmatwane. Dlatego nigdy z nikim nie omawiam fabuły moich książek przed napisaniem. Przekonałam się, że nie warto, bo gdy próbowałam, rozmówcy patrzyli na mnie zakłopotani. Mówili, że owszem, ale prawdę powiedziawszy nie wiedzą, co się właściwie wydarzyło i z pewnością nie jest to raczej materiał na książkę. A więc zniechęcali. Niesłusznie, bo kiedy napisałam, wychodziło dobrze!

Pani Oliver przerwała dla nabrania oddechu, po czym mówiła dalej.

— Więc to idzie tak. Peter Gaye, młody fizyk jądrowy, według podejrzeń na pensji komunistów, jest żonaty z tą dziewczyną, Joan Blunt, a jego pierwsza żona nie żyje, ale naprawdę to żyje, pojawia się, bo jest tajną agentką, a może nie jest, znaczy się, może być naprawdę turystką, a żona ma romans i ten facet Loyola zjawia się albo aby się spotkać z Mayą, albo żeby ją szpiegować, i jest próba szantażu za pomocą listu od gospodyni albo może od lokaja, i ginie pistolet, a ponieważ nie wiadomo do kogo ten list szantażujący, i strzykawka wypada przy obiedzie, a potem znika...

Pani Oliver postawiła kropkę, trafnie odgadując doznania Poirota.

— Wiem — powiedziała ze współczuciem — to wydaje się strasznie pogmatwane, ale tak naprawdę nie jest, nie w mojej głowie, i kiedy pan dostanie ulotkę, okaże się, że wszystko jest zupełnie jasne.

— A poza tym — kończyła — fabuła nie ma w gruncie rzeczy znaczenia, prawda? Dla pana nie ma znaczenia. Wszystko, co pan ma zrobić, to wręczyć nagrody — bardzo atrakcyjne, pierwszą nagrodą jest srebrna papierośnica w kształcie rewolweru — i powiedzieć, jaką niezwykłą bystrością popisał się zwycięzca.

Poirot powiedział sobie w duchu, że zwycięzca musi być naprawdę niezwykle bystry. W gruncie rzeczy wątpił głęboko, że będzie jakiś zwycięzca. Cała intryga oraz reguły Polowania na Mordercę wydawały mu się spowite nieprzeniknioną mgłą.

— Pięknie — powiedział radośnie kapitan Warburton, patrząc na zegarek. — Lepiej pojedę do drukarni po ulotki.

Pani Oliver stęknęła.

— Jeżeli nie zrobili...

— Och, są gotowe. Dzwoniłem tam. Do widzenia. Wyszedł z pokoju.

Pani Oliver natychmiast chwyciła Poirota za ramię i spytała ochryplym szeptem:

— Więc?

— Więc co?

— Coś pan wykrył? Może kogoś namierzył?

— Wszyscy — odpowiedział Poirot z nutą wyrzutu w głosie — wydają mi się całkowicie normalni. Wszystko normalne.

— Normalne?

— No, może nie jest to całkiem odpowiednie słowo. Hattie Stubbs, jak pani mówi, jest stanowczo poniżej normy, a pan Legge wydaje się raczej nienormalny.

— Och, z nim wszystko w porządku — sprzeciwiła się pani Oliver. — On miał tylko załamanie nerwowe,

Poirot pominął milczeniem pewną sprzeczność w odpowiedzi pani Oliver i przyjął wyjaśnienie do wiadomości.

— Wszyscy są w stanie nerwowego niepokoju, ekscytacji, ogólnego zmęczenia i silnego podenerwowania. To typowe dla ostatniej fazy przygotowań do tego rodzaju imprezy. Gdyby tylko mogła pani wskazać...'

— Ciii! — pani Oliver znowu chwyciła go za ramię. — Ktoś idzie.

Jak w lichym melodramacie — pomyślał coraz bardziej poirytowany Poirot.

W drzwiach ukazała się miła twarz panny Brewis.

— Ach, tu pan jest, panie Poirot. Chciałam pokazać pański pokój.

Poprowadziła go schodami na górę i dalej korytarzem do dużego pokoju z widokiem na rzekę.

— Łazienka jest naprzeciwno. Sir George mówi o urządzeniu jeszcze paru łazienek, ale wtedy pokoje nie byłyby już tak obszerne. Mam nadzieję, że będzie tu panu wygodnie.

— Tak, z pewnością — Poirot z uznaniem powiódł wzrokiem po małej biblioteczce, lampie do czytania i pudełku z napisem „Biszkopty” na szafce nocnej. — Widzę, że w tym domu wszystko jest doskonale urządzone. Czy gratulować należy pani, czy też czarującej żonie Sir Stubbsa?

— Pani Stubbs poświęca w całości swój czas na to, by wyglądać czarująco — odpowiedziała trochę kwaśno panna Brewis.

— To bardzo dekoracyjna młoda kobieta — stwierdził zadumany Poirot.

— Ma pan rację.

— Ale co do innych walorów, nie jest ona, być może... — urwał. — Pardon. Jestem niedyskretny. Nie powinienem chyba mówić o takich rzeczach.

Panna Brewis popatrzyła mu prosto w oczy. Powiedziała twardo:

— Pani Stubbs doskonale wie, co robi. Jest nie tylko, jak pan powiedział, bardzo dekoracyjną młodą kobietą, ale również osobą bardzo przebiegłą.

Odwróciła się i wyszła z pokoju, zanim Poirot zdążył unieść brwi ze zdumienia. A więc taka jest opinia tej kompetentnej sekretarki. A może panna Brewis powiedziała to z jakichś osobistych pobudek? I dlaczego wygłosiła ten sąd właśnie jemu — przybyszowi? Może dlatego, że jest przybyszem? A pewnie i dlatego, że jest z zagranicy. Wielu ludzi w Anglii uważa, że nie liczy się to, co się mówi obcokrajowcom. Herkules Poirot wiedział to z doświadczenia.

Zmarszczył czoło, zdezorientowany, i roztargnione spojrzenie utkwiał w drzwiach, za którymi zniknęła panna Brewis. Po chwili zbliżył się do okna. Zobaczył panią Stubbs,

wychodzącą z domu w towarzystwie pani Folliat. Zatrzymały się na moment obok wielkiej magnolii. Rozmawiały, a następnie pani Folliat skłoniła się na pożegnanie, podniosła swój kosz ogrodniczki oraz rękawice i podreptała alejką. Pani Stubbs patrzyła za nią stojąc w miejscu, przyciągnęła ku sobie gałąź magnolii, powąchała kwiaty, potem zaś ruszyła wolno ścieżką wiodącą pomiędzy drzewami ku rzece. Jeden raz obejrzała się do tyłu i zniknęła za zakrętem. Zza magnolii wyłonił się Michael Weyman, chwilę kręcił się niezdecydowany i wreszcie udał się w ślad za tą wysoką, szczupłą postacią kobiecą.

Miody mężczyzna, przystojny i energiczny — pomyślał Poirot. Niewątpliwie z dużo ciekawszą osobowością niż George Stubbs...

A jeżeli nawet, to co z tego? Takie układy tworzą się wiecznie w życiu. Bogaty, nieatrakcyjny mąż w średnim wieku, młoda, piękna żona, dostatecznie albo nie w pełni rozwinięta umysłowo i on: przystojny, czuły młody człowiek. Cóż w tym było szczególnego, co pchnęło panią Oliver do sięgnięcia po telefon i tak natarczywego nalegania na przyjazd? Ma ona, bez wątpienia, żywą wyobraźnię, ale...

— Ale przecież — mruknął do siebie Herkules Poirot — nie jestem konsultantem w zakresie cudzołóstwa.

Czy rzeczywiście mogło coś w tym być, w nadzwyczajnej konstatacji pani Oliver, że coś jest nie w porządku? W głowie pani Oliver zawsze panował szczególny zamęt i Poirot nie umiał sobie wytłumaczyć, jakim sposobem potrafiła ona klecić całkiem sensowne kryminały. Ale przy tym całym nieporządku w głowie często zaskakiwała zdolnością błyskawicznego dostrzegania prawdy.

— Czasu jest mało, bardzo mało — mruczał pod nosem. — Czy jest tu coś nie w porządku, jak twierdzi pani Oliver? Jestem skłonny sądzić, że tak. Ale co? Kto mógłby mnie oświecić? Muszę wiedzieć więcej o ludziach w tym domu, dużo więcej. Kto mógłby mnie poinformować?

Po chwili namysłu chwycił kapelusz (Poirot nigdy nie ryzykował wyjścia na wieczorny chłód bez nakrycia głowy) i pośpieszył schodami na parter. Z daleka słyszał coś takiego jak ujadanie. Były to niskie tony rozkazującego głosu pani Masterton. Znacznie bliżej Sir George osiągał intonację miłosną.

— Do diabła z tym kwefem. Chciałbym mieć cię w moim haremie, Sally. Przyjdę jutro i dowiem się wszystkiego o mojej przyszłości. I co mi powiesz, hę?

Słychać było szamotaninę, a potem głos Sally Legge, z trudem łapiącej oddech.

— George, nie możesz.

Poirot uniósł brwi i wysliznął się bocznym wyjściem, w pobliżu którego akurat się znajdował. Pędził, jak mógł najszybciej, dróżką biegnącą od tych drzwi. Zmysł orientacji mówił mu, że ta ścieżka musi połączyć się z aleją idącą od głównego wejścia rezydencji. Tak się też stało i Poirot, nieco zasapany, przyskoczył do pani Folliat, by z szarmanką galanterią uwolnić ją od ciężaru ogrodniczego kosza.

— Pani pozwoli, *madame*.

— Och, dziękuję, panie Poirot, to bardzo miło z pańskiej strony, ale kosz nie jest ciężki.

— Proszę pozwolić mi zanieść go pod dom pani. Mieszka pani gdzieś niedaleko?

— Obecnie mieszkam w domku przy głównej bramie. Sir George jest łaskawy wynajmować mi.

W domku przy głównej bramie do jej dawnej posiadłości... Jak ona może się czuć — myślał Poirot. Absolutnie opanowana, nic nie da się wyczytać z jej twarzy czy zachowania. Zmienił temat:

— Pani Stubbs jest znacznie młodsza od męża, prawda?

— Dwadzieścia trzy lata młodsza.

— Jeśli chodzi o prezencję, jest bardzo pociągająca.

— Hattie to kochane, dobre dziecko — powiedziała cicho pani Folliat.

To nie była odpowiedź, której oczekiwał.

— Widzi pan, znam ją bardzo dobrze. Przez krótki czas była pod moją opieką.

— Nie wiedziałem o tym.

— Skąd mógł pan wiedzieć. To trochę smutna historia. Jej rodzina miała majątek, plantacje trzciny cukrowej, na Antylach. Trzęsienie ziemi zburzyło ich dom, a rodzice, bracia i siostry — wszyscy zginęli. Hattie była wówczas w klasztorze w Paryżu i nagle została sama, bez kogokolwiek z najbliższej rodziny. Wykonawcy testamentu zalecili, by Hattie przebywała pod dobrą opieką za granicą przez kilka lat i potem weszła w kręgi towarzyskie. Podjęłam się sprawowania pieczy nad nią. Czasem potrafię się koło czegoś zakreślić — uśmiechnęła się nieznacznie — i naturalnie miałam niezbędne koneksje. Ówczesny gubernator był naszym bliskim przyjacielem.

— Rozumiem, *madame*, oczywiście.

— Bardzo mi to odpowiadało, bo przeżywałam wtedy trudny okres. Mój mąż zmarł tuż przed wybuchem wojny. Starszy syn, który służył w marynarce, poszedł na dno wraz ze swoim okrętem. Młodszy syn, przebywający w Kenii, powrócił, wstąpił do komandosów i zginął we Włoszech. To oznaczało trzykrotny podatek spadkowy i w rezultacie tę posiadłość trzeba było wystawić na sprzedaż. Bardzo ciężko to wszystko przeżyłam i dobrze, że mogłam czasem zapomnieć o nieszczęściach opiekując się tą młodą osobą, podróżując z nią. Ogromnie przywiązałam się do Hattie, być może i dlatego, że prędko zdałam sobie sprawę, iż ona sama nie jest w stanie, okreśmy to w ten sposób, troszczyć się o siebie. Proszę mnie zrozumieć, panie Poirot, Hattie nie jest niedorozwinięta, ona jest, jak się mówi tu na wsi, „niezgułowata”. Bardzo uległa, zawsze potulna, niezmiernie podatna na sugestię. Myślę, że to wielkie szczęście, iż praktycznie nie było w tym wszystkim pieniędzy. Gdyby odziedziczyła większy majątek, jej położenie mogłoby okazać się trudniejsze. Jest atrakcyjna dla mężczyzn, z jej uczuciowością łatwo dałaby się zdominować — ona naprawdę potrzebowała opieki. Kiedy po ostatecznej likwidacji majątku rodziców okazało się, że długi obciążające zniszczoną plantację znacznie przewyższają jej wartość, szczęśliwie pojawił się taki mężczyzna jak Sir George Stubbs, zakochał się w Hattie i zaprzagnął ją poślubić.

— Tak, to chyba szczęśliwe zrzędzenie losu.

— Sir George, chociaż wyszedł z nizin i jest, nazwijmy rzecz po imieniu, wzbogaconym prostakiem, odznacza się dobrocią i niezwykłą przyzwoitością, a oprócz tego posiada wielką fortunę. Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek oczekiwał od żony umysłowego partnerstwa. Hattie jest wszystkim, czego on potrzebuje. Pięknie się ubiera i zdobi biżuterią, jest czuła, ochocza i całkowicie z nim szczęśliwa. Wyznam panu, że ogromnie się cieszę, iż tak to się ułożyło, bo przecież ja rozmyślnie nakłoniłam Hattie, by zaakceptowała George'a. Gdyby poszło ku złemu — zająknęła się lekko — byłabym winowajczynią, gdyż namówiłam ją do poślubienia mężczyzny tyle lat od niej starszego. Widzi pan, powtarzam to już, Hattie jest ogromnie podatna na sugestię. Poddaje się woli osoby będącej obok.

— Wydaje mi się — powiedział z aprobatą Poirot — że jak najrozsądniej pokierowała pani jej losem. W odróżnieniu od Anglików nie jestem romantyczny. Żeby stworzyć dobre małżeństwo, trzeba mieć na uwadze coś więcej niż tylko romantyczne uczucia.

I dodał jeszcze:

— A ta posiadłość, Nasse House, jest przepięknym miejscem. Całkiem, jak to się mówi, nie z tego świata.

— Skoro już trzeba było sprzedać Nasse — głos pani Folliat drżał lekko — dobrze, że nabywcą został Sir George. W czasie wojny zabiegała o ten budynek armia, potem groziło mu przekształcenie w hotel lub szkołę. Podzielono by wtedy pokoje i dom straciłby swoją naturalną urodę. Nasi sąsiedzi, Fletcherowie, musieli sprzedać Hoodown i jest tam teraz schronisko młodzieżowe. Można się cieszyć, że młodzi ludzie mają przyjemne miejsce dla siebie i — na szczęście — Hoodown to jest budowla późnowiktoriańska, bez większej

wartości architektonicznej, więc nie trzeba ubolewać nad wprowadzonymi tam zmianami. Niestety część młodzieży zatrzymującej się w schronisku wałęsa się po gruntach Nasse, o co bardzo gniewa się Sir George. Prawdą jest, że zniszczyli rzadkie krzewy — połamali gałęzie, szukając przejścia na skróty do promu, który kursuje na drugi brzeg rzeki.

Stanąłi właśnie obok głównej bramy Nasse. Znajdował się tam nieco odsunięty od alei biały domek otoczony rabatkami za niskim płotem.

Pani Folliat ze słowami podziękowania wzięta kosz z rąk Poirota.

— Zawsze bardzo lubiłam ten domek — patrzyła ciepło na parterowy budynek. — Merdell, nasz główny ogrodnik przez trzydzieści lat, mieszkał tutaj. Zdecydowanie wolę tę chatę niż drugi domek tam na górze, chociaż Sir George powiększył go i zmodernizował. Trzeba było to zrobić. Głównym ogrodnikiem jest obecnie młody człowiek z młodą żoną, a te młode kobiety muszą teraz mieć elektryczne żelazka, nowoczesny sprzęt w kuchni, telewizor i tak dalej. Próbujemy dotrzymywać czasom kroku... — westchnęła. — Nikt już prawie nie pozostał w tym majątku z dawnych lat, wszystko nowe twarze.

— Cieszę się, *madame*, że w końcu znalazła pani swoje zacisze.

— Pamięta pan ten wiersz Spensera? „Sen, sen po znoju, Po burzy portu osłona, Pokój po boju, Po trudach żywota skonać. Niech dozwoli...”

Zamilkła, a potem powiedziała dokładnie tym samym tonem:

— To bardzo nikczemny świat, panie Poirot. I ludzie na świecie są bardzo nikczemni. Wie pan prawdopodobnie o tym tak samo dobrze jak ja. Młodym ludziom tego nie mówię, mogłoby to ich zniechęcać, ale taka jest prawda... Tak, to bardzo nikczemny świat...

Skłoniła się lekko, odwróciła się i poszła do domku. Poirot stał bez ruchu i wpatrywał się w zamknięte drzwi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

Czując się jak odkrywca, Poirot przekroczył frontową bramę i krętą, stromą drogą zszedł na nabrzeże. Obok wielkiego dzwonu z łańcuchem widniała tabliczka „Do wzywania promu”. Różne łodzie cumowały w pobliżu. Bardzo stary mężczyzna z kaprawymi oczami, który siedział na pachołku, podniósł się i powłócząc nogami podszedł do Poirota.

— Potrzebujesz pan promu, sir?

— Dziękuję, nie. Wyszedłem tylko z Nasse House na mały spacer.

— A, mieszkasz pan u góry w Nasse? Pracowałem tam jako chłopak. Pracowałem tam ja i pracował mój syn. Był głównym ogrodnikiem. Ja więcej opiekowałem się tutaj łodziami. Stary dziedzic Folliat, on miał fioła na punkcie żeglugi. Pływał w każdą pogodę, o tak. Majora z kolei, jego syna, żegluga nie obchodziła wcale. On zajmował się tylko końmi. Oj, poszła na nie gruba forsa. To i flaszka — miała z nim za swoje, znaczy się jego żona. Może ją pan widziałeś, mieszka w domku ogrodnika, ano.

— Tak, właśnie ją tam odprowadziłem.

— Ona też z Folliatów, daleka kuzynka, gdzieś zza Tiverton. Wielka z niej ogrodniczka, posadziła te wszystkie kwitnące krzewy. Nawet kiedy majątek był zajęty w czasie wojny, a dwaj młodzi paniczki poszli wojować, ona wciąż pielęgnowała krzewy i pilnowała, żeby ich kto nie stratował.

— Było jej ciężko, obydwaj synowie zginęli.

— Ano, miała ci ona ciężkie życie, oj miała. Kłopoty z mężem i kłopoty z młodszym paniczkiem także. Nie z panem Henrym. Był tak porządnym młodym dżentelmenem, jak tylko można sobie życzyć. Po dziadku miał pociąg do żeglugi i wstąpił do marynarki wojennej, rozumie się. Za to pan James, o ten to dał się matce we znaki. Długi, kobiety, a do tego robił się szalony, kiedy wpadał w złość. Urodzony awanturnik. Ale wojna służyła mu, można powiedzieć, dała mu szansę. Ach! Wielu jest takich, co nie umieją żyć uczciwie w czasie pokoju, a potem giną mężnie na wojnie.

— Więc teraz — stwierdził Poirot — nie ma już Folliatów w Nasse.

Potok słów starca urwał się gwałtownie.

— Tak jak pan powiadasz, sir.

Poirot popatrzył na niego z zainteresowaniem.

— Zamiast Folliatów jest Sir George Stubbs. Co tu o nim mówią w okolicy?

— No, wiadomo — głos starca brzmiał sucho i może była w nim odrobina rozbawienia — że gość jest okropnie bogaty.

— A jego żona?

— Ach! To piękna damulka z Londynu. Żadnego pożytku z niej w ogrodzie, to nie ona. Gadają też, że ona ma tu nie całkiem po kolei.

Znacząco popukał się w skroń.

— Nie można powiedzieć, jest zawsze uprzejma. Minął rok, jak oni się tu pojawili. Kupili majątek i wszystko wyremontowali, żeby wyglądało jak nowe. Pamiętam ich przyjazd, jakby to było wczoraj. Wieczorem, dzień po największej za mojego życia wichurze. Poważone drzewa na prawo i lewo, jedno leżało w poprzek alei dojazdowej. Trzeba je było szybko pociąć, żeby samochód mógł się przecisnąć. A ten ogromny dąb na górze jak runął, to połamał całą masę innych drzew i narobił spustoszenia.

— Aha, tak. To tam, gdzie obecnie stoi glorieta? Staruszek splunął na bok z obrzydzeniem.

— Glorieta, glorieta, nowomodna bzdura. Za Folliatów nie było żadnej gloriety. Pomysł jaśnie pani z tą glorieta. Nie minęły trzy tygodnie od ich przyjazdu, jak glorieta stała. Jestem

pewien, że to ona namówiła Sir George'a. Strasznie głupio wygląda tak wciśnięta między drzewa jak pogańska świątynia. Co innego gdyby była to ładna altanka z kolorowymi oknami, nie miałbym nic przeciw temu.

Poirot uśmiechnął się lekko.

— Te londyńskie damy muszą mieć swoje kaprysy. Szkoda, że czas Folliatów minął.

— Nigdy pan w to nie wierz, sir — staruszek zachichotał dychawicznie. — Zawsze będzie Folliat w Nasse.

— Ale dom należy do Sir George'a Stubbsa.

— To może być, ale tutaj wciąż jest Folliat. Oj, chytry jest Folliat jak rzadko!

— Co pan ma na myśli?

Staruszek obrzucił go przebiegłym spojrzeniem.

— A pani Folliat mieszka w chacie ogrodnika, przecie mieszka?

— Tak — odpowiedział powoli Poirot. — Pani Folliat mieszka w chacie ogrodnika, a świat jest bardzo nikczemny i wszyscy ludzie na świecie są bardzo nikczemni.

Starzec patrzył na niego uważnie.

— Aha, coś pan wie. Może. Oddalił się powłócząc nogami.

— Ale co ja wiem? — pytał Poirot sam siebie ze złością, idąc powoli pod górę, z powrotem w kierunku domu.

II

Herkules Poirot zrobił bardzo staranną toaletę. Na wąsy nałożył aromatyczną pomadę i podkreślił ich zabójczo ostre koniuszki. Cofnął się od lustra i z uznaniem patrzył na własne odbicie.

Dźwięki gongu rozniosły się po domu. Poirot zszedł po schodach na dół.

Przebrzmiało crescendo, forte, diminuendo, rallentando — lokaj zakończył właśnie swój artystyczny popis i wieszał pałkę gongu na haku. Na jego ciemnej, melancholijnej twarzy malowało się zadowolenie.

Poirot przypomniał sobie słowa: „Próba szantażu za pomocą listu od gospodyni albo może od lokaja...” Ten lokaj wyglądał tak, jakby szantaż listowny zdecydowanie należał do jego dziedziny. Poirot zastanawiał się, czy pani Oliver swoją galerię podejrzanych wzięła z życia.

Panna Brewis w nietwarzowej sukni z szyfonu w kwiaty pojawiła się w holu.

— Czy mają tu państwo majordoma? — spytał ją Poirot.

— Och, nie. Obawiam się, że w obecnych czasach na takie luksusy można sobie pozwolić tylko w największych rezydencjach. Och, nie, ja jestem zarządczynią, często bardziej niż sekretarką w tym domu.

Zaśmiała się gorzkawo.

— A więc pani jest tu gospodynią? — Poirot patrzył na nią w zamyśleniu.

Nie mógł sobie wyobrazić panny Brewis piszącej list w celu zaszantażowania kogoś. Natomiast anonim — to zupełnie inna sprawa. Widział anonimy napisane przez kobiety całkiem podobne do panny Brewis — solidne, kobiety, na których można polegać i których nikt z otoczenia by nie podejrzewał.

— Jak się nazywa lokaj?

— Henden — panna Brewis popatrzyła nieco zdziwiona. Poirot zreflektował się i wyjaśnił pośpiesznie:

— Pytam, ponieważ mam wrażenie, że gdzieś go już widziałem.

— Bardzo możliwe. Nie wydaje się, by ktokolwiek z tych ludzi pozostawał w jednym miejscu dłużej niż cztery miesiące. Oni chyba niebawem przewiną się przez całą Anglię. W końcu nie tak wiele jest domów, które stać obecnie na lokajów i kucharzy.

Weszli do salonu, gdzie Sir George, trochę nienaturalnie wyglądający w smokingu, serwował sherry. Pani Oliver w stalowoszarych satynach wyglądała jak złomowany pancernik, a gładka, czarna głowa Hattie Stubbs pochylała się nad pełnymi modnych kreacji stronicami „Vogue”.

— Uprzedzam wszystkich — powiedział Jim Warburton do Aleca i Sally Legge — że czeka nas ciężki wieczór. Żadnego brydża dzisiaj. Wszyscy na pokład! Jest mnóstwo rzeczy do wypisania i trzeba zrobić wielką tablicę dla Wróżki. Jak ją nazwiemy? *Madame Zuleika*? *Esmeralda*? Czy *Romany Leigh*, królowa cygańska?

— Raczej coś orientalnego — zasugerowała Sally. — W rolniczych regionach wszyscy nienawidzą Cyganów. *Zuleika* brzmi dobrze. Przyniosę farby i myślę, że Michael ozdobi nam szyld wróżki obrazkiem zwiniętego węża.

— Może jednak *Kleopatra*, nie *Zuleika*? W drzwiach pojawił się Henden.

— Podano kolację, proszę pani.

Przeszli do jadalni. Na długim stole paliły się świece. Sala pełna była cieni.

Warburton i Alec Legge usiedli po obu stronach pani domu. Poirot znalazł się pomiędzy panią Oliver i panną Brewis. Tylko ta druga żywo uczestniczyła w ogólnej rozmowie o szczegółach przygotowań do imprezy. Pani Oliver tkwiła pogrążona w myślach i prawie się nie odzywała. Przemówiła wreszcie, wygłaszając wyjaśnienie, które samo w sobie budziło wątpliwości.

— Proszę się mną nie kłopotać, panie Poirot, ja tylko przypominam sobie, czy o czymś nie zapomniałam.

Sir George roześmiał się serdecznie.

— Taka fatalna wpadka, co?

— Właśnie. Zawsze coś się przytrafi. Czasem taki blamaż wychodzi na jaw w momencie, gdy książka jest już wydrukowana. To jest prawdziwa udreka — pani Oliver westchnęła i przyoblekła twarz w stosowny grymas. — Ciekawa rzecz, że większość czytelników nigdy tego nie zauważy. Ja sobie powtarzam, że przecież ten kucharz musiałby widzieć dwa nie zjedzone kotlety. Ale to ja jedna, nikt inny o tym w ogóle nie myśli.

— Pani mnie fascynuje — Michael Weyman pochylił się ku niej przez stół. — Tajemnica drugiego kotleta. Proszę, proszę nic nie wyjaśniać. Będę to rozgryzał podczas kąpieli.

Pani Oliver obdarzyła go roztargnionym uśmiechem i znowu zapadła w rozpamiętywanie.

Lady Stubbs milczała również. Od czasu do czasu ziewała. Warburton, Alec Legge i panna Brewis mówili do siebie nad jej głową.

Kiedy wyszli z jadalni, Lady Stubbs zatrzymała się przy schodach.

— Idę do łóżka — obwieściła. — Jestem bardzo śpiąca.

— Och, Lady Stubbs — wykrzyknęła panna Brewis — jest tak wiele do zrobienia. Liczyliśmy na pani pomoc.

— Tak, wiem. Ale idę spać.

Mówiła szczebiotliwie jak małe dziecko. Odwróciła głowę, gdy z jadalni wyszedł Sir George.

— Jestem zmęczona. George. Położę się spać. Mogę? Podszedł i pogładził ją czule po plecach.

— Połóż się i śpij słodko, Hattie. Nabierz sił na jutro. Pocałował ją delikatnie, a ona ruszyła po schodach do góry, machając na pożegnanie ręką.

— Dobranoc wszystkim.

Sir George uśmiechnął się do niej. Panna Brewis ostro wciągnęła powietrze i wykonała gwałtowny w tył zwrot.

— Chodźcie, chodźcie — siliła się na wesołość, ale wyszło to marnie. — Musimy się zabrać do roboty.

Każdy dostał swoje zadanie. Ponieważ jednak panna Brewis nie mogła być wszędzie jednocześnie, rychło znaleźli się bumelanci. Michael Weyman ozdobił plakat wizerunkiem wspaniale potwornego węża oraz napisem „*Madame Zuleika odsłoni przed tobą Przyszłość*” i ulotnił się dyskretnie. Alec Legge wykonał parę bliżej nie określonych robótek, następnie oznajmił, że wychodzi zmierzyć plac do gry w ringo i nie widziano go więcej. Kobiety, jak to kobiety, pracowały energicznie i sumiennie. A Herkules Poirot, za przykładem pani domu, poszedł wcześniej spać.

III

Poirot zszedł na śniadanie następnego ranka o wpół do dziesiątej. Posiłek podawano jak przed wojną. Szereg gorących potraw na elektrycznym podgrzewaczu. Sir George spożywał śniadanie angielskie w pełnym wymiarze — z jajecznicą, bekonem i cynadrami. Pani Oliver i panna Brewis wzięły to samo w mniejszych porcjach. Michael Weyman jadł szynkę na zimno. Tylko Lady Stubbs pozostała obojętna wobec smakowitej zawartości rondli i skubała cienką grzanekę, popijając czarną kawą. Na głowie miała wielki, blad różowy kapelusz, który przy śniadaniowym stole wyglądał dziwnie.

Właśnie przyniesiono pocztę. Panna Brewis pośpiesznie sortowała ogromny stos listów. Koperty z dopiskiem: „Do rąk własnych Sir George’a Stubbsa”, podawała natychmiast adresatowi. Inne po otwarciu układała w kilka plików według kategorii.

Lady Stubbs otrzymała trzy listy. Dwa z nich zawierały tylko rachunki, które cisnęła na bok. Potem rozdarła trzecią kopertę i nagle powiedziała donośnie:

— Och!

Okrzyk był tak zaskakujący, że wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

— To od Etienne’a. Od mojego kuzyna Etienne’a. Płynie tu jachtem.

— Pozwól zerknąć, Hattie — Sir George wyciągnął rękę. Posunęła list po blacie. Rozprostował kartkę i czytał.

— Kto to jest ten Etienne de Sousa? Kuzyn, mówisz?

— Chyba tak. Taki dalszy. Nie pamiętam za dobrze, prawie wcale... On był...

— Tak, kochanie? Wzruszyła ramionami.

— Nieważne. Wszystko to tak dawno. Byłam małą dziewczynką.

— Przypuszczam, że nie możesz wiele pamiętać. Ale musimy go odpowiednio przyjąć, oczywiście — powiedział serdecznie Sir George. — Trochę szkoda, że dziś festyn, zaprosimy go jednak na obiad. Może zostanie u nas na noc albo dwie — pokażemy mu okolicę?

Sir George był szczerym ziemianinem.

Lady Stubbs nie powiedziała nic. Utkwiła wzrok w filiżance z kawą.

Ogólna rozmowa toczyła się, rzecz jasna, na temat festynu. Jedyne Poirot się w nią nie włączał, obserwując szczupłą, egzotyczną postać u szczytu stołu. Właśnie stawiał sobie pytanie, co się dzieje w tej główce, i w tym dokładnie momencie ona podniosła oczy i obrzuciła szybkim spojrzeniem zebranych. Spojrzenie było tak przenikliwe, badawcze, że aż się zdumiał. Gdy ich oczy spotkały się, przenikliwość zniknęła i powróciła pustka. Ale przecież chwilę wcześniej jej wzrok był zimny, kalkulujący, czujny...

A może mu się zdawało? W każdym razie, czyż to nieprawda, że ludzie o lekkim upośledzeniu umysłowym bardzo często odznaczają się pewnego rodzaju wrodzonym sprytem, chytrą, która zaskakuje czasem nawet osoby znające je najlepiej?

Pomyślał, że Lady Stubbs niewątpliwie stanowi zagadkę. Ludzie zdają się mieć o niej diametralnie różne opinie. Panna Brewis jest pewna, że Lady Stubbs wie doskonale, co robi. Natomiast pani Oliver uważa ją — i też jest pewna — za nie w pełni sprawną umysłowo. Pani Folliat, która przecież przez dłuższy czas była z nią najbliższą, mówi, że nie jest całkiem normalna i wymaga opieki oraz nadzoru.

Panna Brewis jest prawdopodobnie uprzedzona. Nie lubi Lady Stubbs za jej próżniactwo i zadzieranie nosa. Poirota ciekawiło, czy panna Brewis była sekretarką Sir George’a, zanim zawarł on małżeństwo. Jeśli tak, łatwo mogła z góry nastawić się negatywnie do nowej zwierzchności.

Poirot całkowicie podzielał opinię pani Folliat i pani Oliver — aż do dzisiejszego ranka. A i po tych spojrzeniach przy śniadaniu nie zmienił zdania. Czyż mógł poważnie sugerować się ulotnym wrażeniem?

Lady Stubbs gwałtownie poderwała się od stołu.
— Boli mnie głowa — powiedziała. — Muszę pójść do pokoju i położyć się.
Sir George wstał zatroskany.
— Kochanie, nic ci nie jest?
— To tylko ból głowy.
— Ale przejdzie ci do popołudnia, prawda?
— Tak. myślę, że tak.
— Proszę wziąć aspirynę. Lady Stubbs — poradziła przytomnie panna Brewis. — Ma pani czy przynieść do pokoju?
— Mam trochę.
Ruszyła ku drzwiom. Po drodze upuściła chusteczkę, którą gniotła w palcach. Poirot zrobił bez pośpiechu parę kroków i dyskretnie podniósł zgubę.
Sir George'a, który chciał pójść za żoną, zatrzymała panna Brewis.
— Słówek o parkingu na popołudnie, Sir George. Właśnie zamierzam wydać Mitchellowi polecenia. Czy sądzi pan, że najlepiej będzie tak, jak...?
Poirot wyszedł z jadalni i więcej nie słyszał. Dogonił panią domu na schodach.
— *Madame*, upuściła to pani. Z ukłonem podał chusteczkę. Wzięła ją nie patrząc.
— Upuściłam? Dziękuję.
— Ogromnie mnie to smuci, *madame*, że pani cierpi. Zwłaszcza że przybywa pani kuzyn.
Odpowiedziała pośpiesznie, niemal gwałtownie.
— Nie chcę widzieć Etienne'a. Nie lubię go. On jest zły. Zawsze był zły. Boję się go. On robi złe rzeczy.
Drzwi od jadalni otworzyły się — Sir George przeszedł przez hol i zbliżył się do schodów.
— Hattie, moje biedne kochanie. Pozwól, że zaprowadzę cię na górę.
Objął ją czule ramieniem, twarz miał zatroskaną i przejętą. Poirot patrzył za nimi, a kiedy odwrócił się, napotkał pannę Brewis, niosącą gdzieś w pośpiechu plik papierów.
— Ból głowy Lady Stubbs... — zaczął.
— Jaki tam ból, udaje — powiedziała rozsierdzona panna Brewis i zniknęła w gabinecie, zamykając za sobą drzwi.
Poirot westchnął i wyszedł frontowymi drzwiami na taras. Pani Masterton podjechała właśnie małym samochodem. Wysiadłszy kroczyła w stronę wypiętrzonego namiotu herbaciarni, wyszczekując donośnie polecenia.
Odwróciła się, by pozdrowić Poirotą.
— Co za utrapienie — sieknęła. — I zawsze położą wszystko nie tam, gdzie trzeba. Nie, Rogers! Bardziej na lewo, na lewo, nie na prawo! Co pan myśli o pogodzie, panie Poirot? Niepewna, według mnie. Deszcz oczywiście wszystko by popsuł. A takie piękne lato mieliśmy tego roku dla odmiany. Gdzie Sir George? Chcę z nim porozmawiać o parkingu.
— Jego żonę rozboleła głowa i poszła się położyć.
— Po południu będzie już dobrze — zapewniła pani Masterton. — Lubi duże imprezy, rozumie pan. Zrobi sobie szalową kreację i będzie szczęśliwa jak dziecko. Mógłby pan przynieść mi wiązkę tych palików, stamtąd, dobrze? Chcę oznaczyć sektory w golfie zegarowym.
Poirot, chcąc nie chcąc, pracował jak terminator pod srogim kierownictwem pani Masterton. W przerwach posłowa raczyła do niego przemawiać.
— No tak, widzę, że trzeba wszystko zrobić samej. Jedyne sposoby... Przy okazji, pan jest chyba przyjacielem Eliotów?
Poirot po długim pobycie w Anglii rozumiał, że pytanie, a raczej stwierdzenie tego typu jest sygnałem towarzyskiej akceptacji. Pani Masterton mówiła w gruncie rzeczy: „Chociaż jesteś cudzoziemcem, uważam cię za Jednego z Nas”.

— Jak to miło, że Nasse znowu żyje — ciągnęła poufałym tonem. — Tak się wszyscy baliśmy, że zrobią tu hotel. Wie pan, jak to jest teraz: jedzie się po kraju i raz po raz mija te tablice „Guest House” albo „Private Hotel” lub „Hotel A.A. Fully Licensed”. W tych domach kiedyś spędzało się dziewczęce lata, chodziło się tam na tańce. Bardzo smutne. Bardzo się cieszę z Nasse, tak jak i biedna kochana Amy Folliat oczywiście. Miała takie ciężkie życie, ale nigdy się nie skarży, muszę powiedzieć. Sir George dokazał cudów w Nasse i miejsce nie zatraciło swojego charakteru. Nie wiem, czy to wpływ Amy Folliat, czy świadectwo dobrego smaku samego George’a. Wie pan, on ma wyrobiony gust. Bardzo zaskakujące u człowieka tego typu.

— Więc rozumiem, że nie pochodzi on z tutejszej szlachty ziemskiej — powiedział ostrożnie Poirot.

— Po prawdzie jemu nie przysługuje nawet tytuł „Sir”. On tylko otrzymał przydomek „Sir George”, wzięty z Lord George Sanger’s Circus. Naprawdę bardzo zabawne. Oczywiście nigdy się nie zdradzamy, że o tym wiemy. Bogatym ludziom trzeba wybaczać drobne snobizmy, zgodzi się pan chyba. Godne uwagi, że na przekór pochodzeniu George Stubbs wszędzie sobie doskonale poradzi. Myślę, że to taki szlachetny atawizm. Przecież on reprezentuje czysty typ posiadacza ziemskiego z XVIII wieku. Twierdzę, że w nim jednak płynie szlachetna krew. Moja hipoteza to ojciec szlachcic, a matka szynkarka.

Tu pani Masterton przerwała wywód, by ryknąć na ogrodnika.

— Nie koło tego rododendronu. Po prawej stronie musi pozostać miejsce na kręgle. Po prawej — nie po lewej!

— To nadzwyczajne — powróciła do rozmowy z Poirotem — jak oni nie umieją odróżnić prawej strony od lewej. Ta kobieta Brewis jest bardzo sprawna. Ale nie lubi biednej Hattie. Czasem tak patrzy, jakby chciała ją zamordować. Tyle tych dobrych sekretarek kocha się w swoich szefach. Jak pan myśli, gdzie się podział Jim Warburton? Idiotyczne, że każe tytułować się kapitanem. Nie jest wojskowym i nigdy nie podszedł do żadnego Niemca bliżej niż na parę mil. Oczywiście w naszych czasach trzeba zadowalać się tym, co jest. takimi ludźmi, jakimi są. a on jest pracowity, ale czuję w nim coś podejrzanego. Ach! Są państwo Legge.

Sally Legge, ubrana w szerokie spodnie i żółty pulower, powiedziała ochotczo:

— Przychodzimy pomóc.

— Kupa roboty — dudniła pani Masterton. — Niech no się rozejrzę...

Poirot skorzystał z jej nieuwagi i czmychnął. Kiedy wyszedł za narożnik domu na frontowy taras, stał się świadkiem kolejnej sceny.

Dwie młode kobiety w szortach i jaskrawych bluzach wyszły spomiędzy drzew i rozglądały się zdezorientowane. Jedna z nich to Włoszka, którą podwozili poprzedniego dnia samochodem — pomyślał Poirot.

Z okna sypialni Lady Stubbs wychylił się rozzłoszczony Sir George.

— Tędy nie wolno. Teren prywatny — krzyczał.

— Proszę? — odpowiedziała dziewczyna w zielonej chustce na głowie.

— Tu nie ma przejścia. To jest teren prywatny. Tym razem odezwała się z promiennym uśmiechem druga dziewczyna, w granatowej chustce.

— Proszę? Przystań Nassecombe — bardzo starała się poprawnie wymówić nazwę. — Czy to tędy? Proszę.

— To prywatny teren — ryczał Sir George.

— Proszę?

— Prywatny teren! Nie ma przejścia. Musicie wrócić. Z powrotem! Tak jak przyszłyście.

Obserwowały jego gestykulację. Potem naradzały się, popłynął potok słów w obcym języku. Wreszcie, nie dowierzając, „granatowa chusta” spytała:

— Z powrotem? Do schroniska?

— Tak jest. I dalej drogą, tamtędy biegnie droga. Wycofały się niechętnie. Sir George wytarł czoło i popatrzył w dół na Poirota.

— Ciągłe muszę kogoś zawracać — utyskiwał. — Kiedyś chodzili przez górną bramę. Zamknąłem na kłódkę. Teraz idą laskiem, przez płot. Myślą, że tędy jest lepsze dojście na przystań. No pewnie, że jest bliżej, ale tu nie ma drogi, nigdy nie było. Praktycznie wszyscy są cudzoziemcami, nie rozumieją, co się do nich mówi, szwargoczą coś po holendersku lub czort wie jak.

— Z tych dwu jedna jest Niemką, a druga chyba Włoszką. Widziałem tę Włoszkę wczoraj w drodze ze stacji.

— Tu słyhać wszystkie języki... Prawda, Hattie? Co mówisz? — Sir George odszedł od okna.

Poirot odwrócił się i zobaczył panią Oliver w towarzystwie wyrosniętej czternastolatki w mundurku harcerskim.

— To jest Marlana — przedstawiła pani Oliver. Marlana chichotała.

— Ja jestem strasznym Trupem — obwieściła. — Ale w ogóle nie pokrwawionym — w jej głosie wyraźnie brzmiało rozczarowanie.

— Nie?

— Nie. Po prostu uduszona sznurem i to wszystko. Wolałabym być zasztyletowana i żeby mnie wysmarowali wielkimi plamami czerwonej farby.

— Kapitan Warburton uważa, że to mogłoby wyglądać zbyt realistycznie — wyjaśniła pani Oliver.

— Morderstwu powinna towarzyszyć krew — upierała się nadaśana Marlana. Patrzyła na Poirota z zachłannym zaciekawieniem. — Widział pan pełno morderstw, prawda? Ona tak mówi.

— Jedno czy dwa — odpowiedział skromnie Poirot. Z przerażeniem stwierdził, że pani Oliver gdzieś odchodzi.

— A maniaka seksualnego widział pan? — drażyła z nadzieją Marlana.

— Z pewnością nie.

— Lubię maniaków seksualnych — rozmarzyła się Marlana. — Znaczy: lubię o nich czytać.

— Ale spotkać naprawdę, to by ci się mniej podobało.

— Może. Wie pan co? Jestem przekonana, że tu gdzieś kręci się maniak seksualny. Mój dziadek widział kiedyś trupa kobiety w tym lasku. Przestraszył się i uciekł, a kiedy wrócił, trupa już nie było. Ale, oczywiście, on jest stuknięty, więc nikt nie zwraca uwagi na to, co mówi.

Poirot zdołał umknąć i dotarł szczęśliwie do swojego pokoju. Potrzebował wytchnienia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wczesny lunch ograniczony do zimnych przekąsek zjedzono w pośpiechu. O wpół do trzeciej pomniejsza gwiazdka filmowa otworzyła festyn. Pogoda, która z rana zdawała się złowieszczo zapowiadać deszcz, była coraz lepsza. O trzeciej impreza rozkręciła się na całego. Mnóstwo osób kupowało bilety wstępu za pół korony, a samochody stały długim sznurem po jednej stronie alei dojazdowej. Studenteria ze schroniska młodzieżowego nadciągała wielkimi grupami, rozmawiając w obcych językach. Zgodnie z przepowiednią pani Masterton, Lady Stubbs wyłoniła się z sypialni tuż przed wpół do trzeciej, ubrana w cyklamenową suknię i olbrzymi kapelusz z czarnej słomki o kształcie kapeluszy kulisów chińskich. Miała na sobie mnóstwo diamentów.

Panna Brewis mruknęła z przekąsem:

— Wypindrzyła się jak na trybunę królewską w Ascot! Poirot wystąpił jednak poważnie z komplementem:

— Wspaniałą ma pani kreację, *madame*.

— Prawda, że piękna — ucieszyła się Hattie. — Byłam w niej w Ascot.

Właśnie nadjeżdżała pomniejsza gwiazdka filmowa, więc Hattie ruszyła na jej powitanie.

Poirot wycofał się. Kręcił się wokół strapiony —wszystko zdawało się przebiegać najnormalniej, jak na każdym festynie. Sir George prowadził, wkładając w to całe serce, turniej rzutu kokosem, trwały też rozgrywki w kręgle i w ringo. Było wiele kramów pełnych owoców i warzyw z okolicy, dżemów i ciast, a także rozmaitych zabawnych przedmiotów. Loterie dawały szansę na wygraną tortu, kosza owoców, a nawet, jak się zdaje, świnki. Dzieci poszukiwały zabawek w skrzynkach z trocinami.

Zgromadził się już spory tłum i właśnie rozpoczęto konkurs taneczny dla najmłodszych. Poirot nie widział śladu po pani Oliver, natomiast cyklamenowy róż sylwetki Lady Stubbs błyskał raz po raz w różnych miejscach.

Zainteresowanie ogólne skupiało się jednak raczej na pani Folliat. Wyglądała zupełnie inaczej — ubrana w fularową suknię o błękitie hortensji i zgrabny szary kapelusz — to ona zdawała się dyrygować całą zabawą, witała nowo przybyłych, kierowała gości w miejsca różnych festynowych atrakcji.

Poirot przysunął się bliżej, tak że słyszał niektóre rozmowy.

— Amy, kochanie, jak się miewasz?

— Och, Pamelu, jak to miło, że przyjechaliście tu z Edwardem. Taki szmat drogi z Tiverton.

— Pogoda specjalnie dla ciebie została tu dłużej. Pamiętasz, jak to było ostatniego roku przed wojną? Koło czwartej nastąpiło oberwanie chmury. To położyło całą imprezę.

— Ale tego roku było cudowne lato. Dorothy! Całe wieki cię nie widziałam.

— Uznaliśmy, że musimy pojechać i zobaczyć Nasse w całej świetności. Widzę, że przycięłaś berberys tam na stoku.

— Tak, dzięki temu lepiej widać hortensje, nie uważasz?

— Ale one są wspaniałe. Co za błękit! Kochanie, dokonałaś cudów w ciągu ostatniego roku. Nasse naprawdę zaczyna wyglądać jak kiedyś.

— Byłem tu wzywany do dowództwa podczas wojny — mąż Dorothy huczał niskim głosem. — Mało mi serce nie pękło.

Pani Folliat zwróciła się z powitaniem do skromniejszego gościa.

— Pani Knapper, jakże się cieszę, że panią widzę. Czy to Lucy? Ale urosła.

— Za rok kończy szkołę. Wspaniale pani wygląda, naprawdę.

— Dziękuję, trzymam się nieźle. Musisz spróbować szczęścia w ringo, Lucy. Zobaczymy się później w herbaciarni, pani Knapper. Będę tam podawać napoje.

Starszy człowiek, prawdopodobnie mąż pani Knapper, odezwał się nieśmiało:

— Bardzo miło widzieć panią znowu w Nasse. Jakby stare czasy powróciły.

Poirot nie usłyszał odpowiedzi pani Folliat. Podeszły do niej dwie kobiety i wielki, atletyczny mężczyzna.

— Amy, kochanie, całe wieki. To wygląda na wspaniały sukces! Opowiedz mi, co zrobiłaś w rozarium. Muriel wspominała mi, że wymieniasz stare krzewy na róże bengalskie.

— Gdzie jest Mary lin Gale? — wtrącił się muskularny mężczyzna.

— Reggie nie może się doczekać spotkania z nią. Widział jej ostatnie zdjęcie.

— Czy to ona w tym wielkim kapeluszu? No, przyznaję, jakaś kreacja.

— Nie bądź głupi, kochanie. To jest Hattie Stubbs. Wiesz, Amy, naprawdę nie powinnaś pozwalać jej, by robiła z siebie publicznie takiego manekina.

— Amy — inna przyjaciółka domagała się uwagi — to Roger, syn Edwarda. Kochanie, jak to miło mieć cię znowu w Nasse.

Poirot oddał się powoli i w roztargnieniu zainwestował jeden szyling w bilet na loterii, co mogło przynieść mu świnię jako wygraną.

Wciąż słyszał w oddali formułkę: „Jak to miło, że pani przyszła”. Zastanawiał się, czy pani Folliat zdawała sobie sprawę, że tak doskonale weszła w rolę pani domu, czy też było to całkowicie bezwiedne. Tego dnia była w pełni panią Folliat na Nasse House.

Poirot zatrzymał się przed namiotem z tablicą „*Madame Zuleika* odsłoni przed tobą Przyszłość za dwa szylingi i sześć pensów”. Ponieważ zbliżała się pora herbatki, kolejka do wróżki zniknęła. Poirot pochylił głowę, wszedł do namiotu i zapłacił pół korony, zainteresowany najbardziej fotelem, w którym mógł wreszcie się rozsiąść i dać odpoczynek obolałym stopom.

Madame Zuleika miała na sobie czarną, fałdzistą szatę, pobłyskującą złocistymi cekinami chustę na głowie i welon przesłaniający dolną połowę twarzy, przez co jej głos był lekko przytłumiony. Cieniutko rozdzwoniły się wisiorki u złotej bransolety, gdy wróżka ujmowała dłoń Poirota, by momentalnie wyczytać z niej przyszłość. Poirot powinien spodziewać się dużych pieniędzy, powodzenia u pięknej blondynki i cudownego ocalenia w wypadku.

— Przepowiada mi pani same dobre rzeczy, *madame Legge*. Życzyłbym sobie tylko, żeby się spełniły.

— Och! A więc pan mnie rozpoznał, tak?

— Wiedziałem wcześniej; pani Oliver wspominała mi, że pierwotnie obsadzono panią w roli „ofiary”, ale dla Magii zostało to pani oszczędzone.

— Szkoda, że nie zostałam tymi „zwłokami”, miałabym więcej spokoju. To wszystko przez Jima Warburtona. Jest już czwarta? Idę na herbatę. Od czwartej do wpół do piątej mam przerwę.

— Zostało jeszcze dziesięć minut — Poirot spojrzął na swój wielki, staroświecki zegarek.

— Może przyniosę pani tutaj filiżankę herbaty?

— Nie, nie. Potrzebuję chwili przerwy. W tym namiocie jest duszno. Czy dużo jeszcze ludzi czeka do mnie?

— Nie. Myślę, że oni stoją już w ogonku po herbatę.

— To dobrze.

Poirot wyszedł z namiotu i od razu wpadł w ręce jakiejś apodyktycznej baby, która kazała mu zapłacić sześć pensów i zgadywać, ile waży tort.

Inna tłusta matrona zawiadywała rozgrywkami w ringo i również zagoniła Poirota w szranki. Natychmiast dopisało mu zezowate szczęście i wygrał wielką lalkę Kewpie. Tazząc potulnie to trofeum napotkał Michaela Weymana, który stał u wylotu ścieżki wiodącej do przystani.

— Wygląda na to, że się pan świetnie bawi — uśmiechnął się drwiąco architekt.

— To naprawdę okropne — Poirot kontemplował swoją zdobycz.

Tuż obok rozryczał się nagle mały brzdąc. Poirot skoczył szybko i wcisnął lalkę Kewpie dzieciakowi w ramiona.

— *Voilà!*⁶ to dla ciebie.

Łzy zniknęły w ułamku sekundy.

— Violet, widzisz, jaki ten pan dobry? No powiedz śliczniutko „dziękuję...”

— Konkurs przebierańców — obwieścił przez megafon kapitan Warburton. — Pierwsza kategoria: dzieci od trzech do pięciu lat. Proszę się ustawiać.

Poirot ruszył w stronę domu i wpadł na młodzieńca, który cofał się, by dobrze wymierzyć w rzucie kokosem. Chłopak spojrzał spode łba, a Poirot wybąkał jakieś zdawkowe „przepraszam”. Nie mógł oderwać oczu od stworzeń wymalowanych na koszulce młodziana. Skojarzył ją momentalnie — to musiała być koszulka „z żółwiami”, o której mówił Sir George. Pełzały i kotłowały się po niej przeróżne żółwie i wszelkie inne potwory morskie.

Poirot zmrużył oczy i wtedy zaczęła go Holenderka, jedna z tych dwu dziewczyn, które podwozili poprzedniego dnia.

— A więc przyszła pani na festyn. A koleżanka?

— Och, tak, ona też ma tu być dzisiaj. Jeszcze jej nie widziałam, ale jedziemy razem autobusem, który odchodzi piętnaście po piątej sprzed bramy. W Torquay przesiadamy się na autobus do Plymouth. Całkiem wygodne połączenie.

Teraz Poirot wiedział już, czemu Holenderka dźwiga plecak, pod którego ciężarem aż się spociła.

— Rano widziałem tu pani koleżankę.

— Och, tak, Elsa, Niemka, była z nią i opowiadała mi, że próbowały przejść przez ten las do rzeki i na przystań. A właściciel tego domu bardzo się rozzłościł i kazał im wracać do schroniska.

— Ale teraz, po południu, jest bardzo uprzejmy — dodała zwracając głowę ku uczestnikom turnieju rzutu kokosem, których Sir George zagrzewał do współzawodnictwa.

Poirot zastanawiał się, czy zwrócić uwagę, że kiedy dziewczyny wchodzą na teren posiadłości przez dziurę w płocie, to jest to zupełnie co innego, niż gdy płacą dwa szylingi sześć pensów za wstęp i są w pełni uprawnione do zakosztowania uroków rezydencji Nasse House. W tym momencie wpadł jednak na niego kapitan Warburton ze swoją tubą. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

— Czy widział pan Lady Stubbs, panie Poirot? Czy ktoś widział Lady Stubbs? Miała sędziować w konkursie przebierańców, a nigdzie nie mogę jej znaleźć.

— Widziałem ją, niech pomyśle, jakieś pół godziny temu. Ale potem byłem u wróżki.

— Przekłęta baba — pieklił się Warburton. — Gdzie się mogła podziać? Dzieci czekają i już mamy opóźnienie.

Rozejrzał się dookoła.

— Gdzie jest Amanda Brewis? Panny Brewis również nie było.

— To naprawdę za wiele — lamentował Warburton. — Jeżeli ktoś zabiera się do urządzania festynu, musi być trochę solidny. Gdzie może być Hattic? Poszła do domu?

Oddalił się szybkim krokiem.

Poirot wśliznął się do ogrodzonej linami i osłoniętej ogromną markizą herbaciarni, stała tam jednak długa kolejka, więc się wycofał.

Obejrzał kram z osobliwościami, gdzie namolna jejmość już prawie zdołała sprzedać mu plastikową kolię na prezent. W końcu wydostał się na obrzeże i obserwował wielką zabawę z bezpiecznej odległości.

Zastanawiał się, gdzie jest pani Oliver.

⁶ fr. tu: Proszę

Usłyszał kroki i odwrócił głowę. Ścieżką od strony przystani nadchodził młody mężczyzna o bardzo ogorzalej twarzy, ubrany w nieskazitelny strój żeglarski. Zatrzymał się zdziwiony widokiem festynu.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział z wahaniem do Poirota. — Czy to dom Sir George'a Stubbsa?

— Tak, jak najbardziej — Poirot milczał przez moment, a potem zdecydował się na zgadywanke. — Pan jest zapewne kuzynem Lady Stubbs?

— Jestem Etienne de Sousa...

— Moje nazwisko Herkules Poirot.

Wymienili ukłony. Poirot powiedział krótko o festynie. Gdy skończył, na trawniku ukazał się idący ku nim George Stubbs.

— De Sousa? Witam pana z prawdziwą przyjemnością. Hattie dostała list dziś rano. Gdzie jest pański jacht?

— Stoi na kotwicy koło Helmmouth. Motorówką dotarłem w górę rzeki, tu do tej przystani.

— Musimy znaleźć Hattie. Gdzieś się zapodziała... Zje pan z nami obiad dziś wieczorem, mam nadzieję?

— To bardzo uprzejmie z pana strony.

— Czy możemy zaoferować panu pokój?

— To również ogromnie uprzejme, ale będę spał na jachcie. Tak jest wygodniej.

— Czy zatrzyma się pan tu dłużej?

— Dwa albo trzy dni. Zależy.

— Hattie będzie zachwycona, jestem pewien — kontynuował uprzejmości Sir George. — Gdzie ona jest? Widziałem ją niedawno.

Rozglądał się dookoła z zakłopotaniem.

— Powinna sędziować w dziecięcym konkursie przebierańców. Nie rozumiem. Przepraszam na moment. Spytałem pannę Brewis.

Odszedł pośpiesznie. De Sousa patrzył za nim. Poirot spoglądał na de Souse.

— Minęło trochę czasu od chwili, kiedy widział się pan z kuzynką ostatni raz?

— Miała wtedy piętnaście lat — de Sousa wzruszył ramionami. — Zaraz potem została wysłana za granicę, do szkoły zakonnej we Francji. Jako dziecko zapowiadała się na ładną kobietę.

— Jest piękną kobietą — odrzekł Poirot na pytające spojrzenie de Sousey.

— A to był jej mąż? Wygląda na takiego, o którym mówią „porządny facet”, lecz nie jest to chyba nikt wytworny? No, ale Hattie mogła pewnie mieć trochę problemów ze znalezieniem odpowiedniego męża.

Poirot taktownie milczał.

— Och, to żadna tajemnica — roześmiał się de Sousa.

— W wieku piętnastu lat Hattie była niedorozwinięta umysłowo. Ograniczona, tak to się mówi? Czy nadal jest taka?

— Wydaje się, że tak — stwierdził ostrożnie Poirot.

— A, co tam — de Sousa wzruszył ramionami. — Dlaczego oczekiwać od kobiet inteligencji? Nie jest konieczna.

Wrócił Sir George, rozszłoszczony.

— Nie mam pojęcia, gdzie ona jest, Sir George — tłumaczyła z zadyszką towarzysząca mu panna Brewis.

— Ostatni raz widziałam ją przy namiocie wróżki. Ale to było co najmniej dwadzieścia minut albo pół godziny temu. Nie ma jej w domu.

— Czy nie poszła czasem — spytał Poirot — obserwować, jak przebiega zaaranżowane przez panią Oliver Polowanie na Mordercę?

Sir George rozchmurzył czoło.

— To bardzo prawdopodobne. Niestety, nie mogę stąd odejść. Muszę czuwać nad wszystkim. I Amanda ma mnóstwo spraw na głowie. A może pan mógłby rozejrzeć się dookoła, Poirot? Zna pan szlak polowania.

Ale Poirot nie znał szlaku. Panna Brewis z grubsza mu jednak tę trasę opisała, po czym zdecydowanie przejęła de Souse pod swoją opiekę. Poirot ruszył, powtarzając sobie niczym magiczne zaklęcia: kort tenisowy, ogród kameliowy, glorieta, górna szkółka, szopa żeglarska...

Mijając poletka festynowych turniejów, Poirot z rozbawieniem patrzył, jak Sir George z promiennym, zapraszającym uśmiechem podaje drewniane kokosy tej samej Włoszce, którą rano przepędził. Dziewczyna była wyraźnie zdziwiona tym przyływem łaskawości.

Poirot pomaszerował w stronę kortu. Tam jednak nie było nikogo oprócz starszego jegomościa o wyglądzie wojskowego, który spał twardo w ogrodowym fotelu z kapeluszem nasuniętym na oczy. Poirot cofnął się bliżej domu i zszedł do ogrodu kameliowego.

Wśród kamelii znalazł panią Oliver w glorii purpurowych szat, pogrążoną w myślach. Wyglądała jak aktorka tragiczna. Skinęła, by usiadł obok niej na ławce.

— To dopiero drugi trop — syknęła. — Obawiam się, że wybrałam za trudne. Nikt tu jeszcze nie dotarł.

W tym momencie do ogrodu kameliowego wszedł młody człowiek z wydatnym jabłkiem Adama, ubrany w szorty. Z okrzykiem satysfakcji podbiegł do drzewa na uboczu i następnym okrzykiem obwieścił odnalezienie tropu. Czuł potrzebę opowiedzenia o swoim sukcesie.

— Mnóstwo ludzi nie słyszało o dębach korkowych — wyjął poufnie. — Pierwszy trop, ta fotografia, był chytrze pomyślany, ale rozpoznałem fragment siatki do tenisa. A potem pusta butelka po truciznie i korek. Większość skupiła się na tej butelce, a to zmyłka, od razu odgadłem. Bardzo delikatny dąb korkowy, zagrożony przez mrozy w tej strefie klimatycznej. Interesują mnie rzadkie drzewa i krzewy. No a teraz dokąd, jestem ciekawy?

Zmarszczył brwi, zaglądając do notesu.

— Mam tu opisany następny trop, ale to wygląda na nonsens — popatrzył podejrzliwie. — Bieriecie udział w polowaniu?

— Och, nie — uspokoiła go pani Oliver. — Tylko się przyglądamy.

— Bardzo dobrze... „Kapryśna, śliczna kobieta, wzgórek zielony, glorieta...” Wydaje mi się, jakbym to już gdzieś słyszał.

— To znany cytat — wyjaśnił Poirot.

— Wie pan, glorieta — pośpieszyła z podpowiedzią pani Oliver — to taka budowla. Biała, z kolumnami.

— Ach, to jest coś! Ogromne dzięki. Mówią, że pani Ariadnę Oliver jest tu gdzieś osobiście. Chciałbym zdobyć autograf. Nie widzieli jej państwo tutaj?

— Nie — powiedziała pani Oliver bez mrugnięcia okiem.

— Chciałbym ją poznać. Fajne historie wymyśla. Ale podobno — zniżył głos — straszna z niej moczymorda.

Oddalił się pośpiesznie, a pani Oliver jęknęła oburzona:

— Jak tak można! Przecież ja lubię tylko lemoniadę! To niefair!

— A czy było fair podpowiadać temu młodemu człowiekowi, dokąd prowadzi następny trop?

— Ponieważ tylko on dotarł na razie tak daleko, uznałam, że należy go zachęcić.

— Ale nie była pani skłonna dać mu autografu?

— To co innego. Sza! Nadchodzą następni.

Nie byli to jednak uczestnicy polowania, lecz po prostu dwie kobiety, które uznały, że skoro zapłaciły za wstęp, muszą dokładnie obejrzeć posiadłość. Wyglądały na mocno zawiedzione.

— Można by się spodziewać jakichś pięknych klombów — perorowała jedna z dam — a tu tylko drzewa i drzewa. Dla mnie to nie jest żaden ogród.

Pani Oliver trąciła łokciem Poirota i oboje oddalili się cichutko.

— A jeśli — pytała z przerażeniem pani Oliver — nikt nie odnajdzie mojego trupa?

— Cierpliwości, *madame*, czas polowania dopiero się zaczął.

— To prawda — rozjaśniła się pani Oliver. — A od czwartej trzydzieści płaci się za wstęp pół ceny, więc na pewno przybędzie jeszcze mnóstwo ludzi. Chodźmy zobaczyć, jak radzi sobie mała Marlene. Nie mam zaufania do tej dziewczyny, wie pan. Żadnego poczucia odpowiedzialności. Nie zdziwiłabym się, gdyby zamiast udawać trupa, poszła sobie na herbatę. Wie pan, co ludzie robią z powodu filiżanki herbaty.

Kroczyli zgodnie leśną dróżką, a Poirot komentował topografię gruntów Nasse.

— Łatwo się tu zgubić. Tyle ścieżek i nigdy nie można być pewnym, dokąd się dojdzie. A wszędzie drzewa i drzewa.

— Mówi pan jak ta gderliwa baba, co tu szła przed chwilą.

Minęli gloriety i opuszczali się zakosami ku rzece.

Poirot stwierdził, że byłoby rzeczą niefortunną, gdyby ktoś z uczestników Polowania na Mordercę natknął się na szopę żeglarską zupełnie niechcący i odnalazł trupa przypadkowo.

— Ktoś mógłby „pójść na skróty”? Myślałam o tym. Dlatego ostatnim tropem jest klucz. Bez klucza nie otworzy się drzwi. Jest tam zamek yale. Bez klucza można otworzyć tylko od wewnątrz.

Po krótkim, stromym stoku zeszli do drzwi szopy zbudowanej nad rzeką. Pod spodem było miejsce do przechowywania łodzi, a obok małe nabrzeże. Pani Oliver wyjęła klucz z kieszeni ukrytej w fałdach swojej purpury i otworzyła drzwi.

— Przychodzimy zabawić cię trochę, Marleno — wesoło powiedziała wchodząc.

Poczuła lekkie wyrzuty sumienia w związku ze swoimi krytycznymi uwagami o Marlenie, która przecież leżała tu na podłodze pod oknem, artystycznie wręcz upozowana na trupa — znakomicie pełniła powierzoną jej rolę.

Marlene nie odpowiedziała. Leżała nieruchomo. Lekki wiatr wpadający przez otwarte okno szeleścił kartkami komiksów rozrzuconych na stole.

— Jest bardzo dobrze — pani Oliver trochę się zniecierpliwiła. — To tylko ja i pan Poirot. Wszyscy uczestnicy są jeszcze daleko.

Poirot zmarszczył czoło. Bardzo delikatnie odsunął panią Oliver na bok i pochylił się nad dziewczyną. Zduszony okrzyk wyrwał mu się z ust. Podniósł wzrok ku pisarce.

— Tak... Stało się to, czego pani oczekiwała.

— Co pan... — oczy pani Oliver rozszerzyły się z przerażenia. Chwyciła za oparcie jednego z plecionych foteli i usiadła ciężko. — Nie może pan przecież powiedzieć... Czy ona nie żyje?

— Och, tak — Poirot skinął głową. — Nie żyje. To musiało nastąpić niedawno.

— Ale jak...?

Uniósł róg kolorowej chusty, tak by pani Oliver mogła zobaczyć oba końce sznura..

— Całkiem jak w mojej inscenizacji — stwierdziła drżącym głosem. — Ale kto? I dlaczego?

— To jest pytanie — Poirot powstrzymał się od uwagi, że w jej Polowaniu te pytania również miały paść.

Ale odpowiedzi z jej gry nie mogły pasować do rzeczywistości, bo ofiarą nie była pierwsza, jugosłowiańska żona fizyka jądrowego, lecz Marlene Tucker, czternastoletnia dziewczyna ze wsi, która — o ile wiadomo — na całym świecie nie miała żadnych wrogów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Detektyw inspektor Bland siedział za stołem w gabinecie. Sir George powitał go zaraz po przybyciu, zabrał na dół do szopy żeglarskiej, a następnie przyprowadził z powrotem do domu. W szopie uwijała się ekipa fotograficzna, do której dołączyli właśnie specjaliści od zdejmowania odcisków palców i medyk.

— Ten pokój panu wystarczy? — spytał Sir George.

— Jest bardzo odpowiedni, dziękuję, sir.

— Co zrobić z tym rozkręconym festynem, poinformować wszystkich, przerwać czy co? Inspektor Bland zastanawiał się chwilę.

— A co pan zrobił do tej pory, Sir George?

— Nie podawałem żadnej informacji. Rozeszła się jakaś pogłoska o wypadku. I nic ponadto. Nie sądzę, by ktokolwiek podejrzewał, że to jest... no... morderstwo.

— Niech więc pan pozostawi na razie wszystko tak, jak jest — zdecydował Bland. — Wiadomość i tak prędko się rozniesie — dodał cynicznie.

Myślał przez moment i zapytał:

— Jak pan szacuje liczbę uczestników festynu?

— Przypuszczam, że kilkaset osób, a wciąż jeszcze napływają nowi goście. Wygląda na to, że przyjechali ludzie nawet z dalszych stron. Niewątpliwie impreza jest szalonym sukcesem. Cholerny pech.

Inspektor Bland domyślał się trafnie, że mówiąc o pechu Sir George miał na myśli morderstwo, a nie powodzenie festynu.

— Kilkaset — drapał się po głowie — i każda z tych osób, przypuszczam, mogła to zrobić. Westchnął.

— Trudna sprawa — przyznał ze współczuciem Sir George. — Ale nie rozumiem, jaki powód mógłby mieć ktokolwiek z nich. Cała rzecz wydaje się nierzeczywista, nie widzę nikogo zainteresowanego w zamordowaniu takiej dziewczyny.

— Jak wiele może mi pan powiedzieć o dziewczynie? Była tutejsza, zdaje się?

— Tak. Jej rodzina mieszka w jednej z chat w pobliżu przystani. Ojciec pracuje w dużym gospodarstwie, tu w okolicy, chyba u Petersona. Matka — dodał — jest obecna na festynie. Panna Brewis — to moja sekretarka, która może powiedzieć panu o wszystkim dużo więcej niż ja, więc panna Brewis wyłowiła ją w tłumie, poprosiła na bok, podała herbatę.

— Aha — inspektor kiwnął aprobująco głową. — Jeszcze nie orientuję się w pełni w okolicznościach tego wszystkiego, Sir George. Co dziewczyna robiła w tej szopie żeglarskiej? To jakaś zabawa w poszukiwanie mordercy czy skarbu?

— Tak — Sir George skinął głową. — Wszyscy uważaliśmy, że to całkiem dobry pomysł. Teraz już nie wydaje się taki dobry. Myślę, że panna Brewis lepiej panu te rzeczy wyjaśni niż ja. Przyśle ją tutaj, dobrze? Chyba że chciałby pan najpierw dowiedzieć się czegoś jeszcze?

— Nie w tym momencie, Sir George. Będę miał jeszcze parę pytań do pana nieco później. Chcę poprosić też parę innych osób: Lady Stubbs, ludzi, którzy jako pierwsi zobaczyli ciało. Była tam, mówiono mi, pisarka, która obmyśliła to Polowanie na Mordercę, jak je nazywacie.

— Tak jest. Pani Oliver. Pani Ariadne Oliver. Inspektor lekko uniósł brwi.

— Ach, ona. Wzięta pisarka. Sam czytałem sporo jej książek.

— Jest teraz mocno przygnębiona, naturalnie. Powiem jej, żeby przyszła do pana, dobrze? Nie wiem, gdzie jest moja żona. Zupełnie zniknęła z pola widzenia. Przepadła wśród tych dwustu czy trzystu osób, ale ona zbyt wiele panu nie powie. To znaczy na temat tej dziewczyny. Z kim pan chce najpierw rozmawiać?

— Myślę, że najpierw z sekretarką, panną Brewis, a potem z matką dziewczynki.

Sir George kiwnął głową i wyszedł z pokoju. Drzwi otworzył i zamknął za nim miejscowy posterunkowy, Robert Hoskins, który następnie przedstawił inspektorowi informacje uzupełniającą wypowiedzi Sir George'a.

— Lady Stubbs ma tu — policjant popukał się w czoło — nie wszystko w porządku. Dlatego Sir George uprzedził, że ona zbyt wiele panu nie powie. Jest lekko szurnięta.

— Ożenił się z dziewczyną stąd?

— Nie. To cudzoziemka. Niektórzy twierdzą, że kolorowa, ja myślę, że ma tylko śniadą cerę.

Bland pokiwał głową. Milczał chwilę, ołówkiem kreśląc machinalnie jakieś figury na kartce papieru. Następnie zadał pytanie, które najwyraźniej nie miało znaleźć się w protokole.

— Kto to zrobił, Hoskins?

Jeżeli ktoś miał rozeznanie w tym, co się dzieje, rozumował Bland, to chyba tylko posterunkowy Hoskins. Policjant odznaczający się dociekliwym umysłem, ciekawy wszystkiego i wszystkich. Do tego ma żonę plotkarke, więc dysponuje bogatymi zasobami wiadomości natury personalnej.

— Cudzoziemiec, jeśli chce pan znać moje zdanie. To nikt tutejszy. Tuckerowie są w porządku. Przyzwoita, szanowana rodzina. Dziewiątka dzieciaków w sumie. Dwie starsze córki już zamężne, jeden syn w marynarce wojennej, drugi w National Service, trzecia córka przeniósł się do Torquay, gdzie pracuje w zakładzie fryzjerskim. Jest jeszcze najmłodsza trójka w domu: dwóch chłopców i dziewczynka.

Zrobił pauzę i dodał po namyśle:

— O żadnym z tych dzieciaków nie można powiedzieć, że jest szczególnie bystry, ale pani Tucker utrzymuje dom w idealnym porządku. Wszystko aż lśni. Sama też z licznej rodziny: najmłodsza z jedenaściorga. Stary ojciec nadal mieszka przy niej.

Bland słuchał tych informacji w milczeniu. Było to świadectwo pozycji społecznej i reputacji rodziny Tuckerów, wydane przez posterunkowego Hoskinsa.

— Dlatego mówię, że to cudzoziemiec. Któryś z tego schroniska Hoodown, to jasne. Jest tam sporo podejrzanych typów. Oj, zdziwiłby się pan widząc, co oni wyrabiają po krzakach i zaroślach. Zgroza — takie same rzeczy jak w samochodach stojących przy parku miejskim.

Posterunkowy Hoskins był już wówczas absolutnym specjalistą w dziedzinie „zdarzeń o podłożu seksualnym”. Stanowiły jeden z głównych tematów jego rozmów po służbie, przy kuflu piwa w pubie „Pod Bykiem i Niedźwiadkiem”.

— Nie przypuszczam — kręcił głową Bland — by była to zbrodnia na tym tle. Lekarz oceni to oczywiście po zakończeniu ekspertyzy.

— Tak, sir, to rzecz lekarza. Ale chcę powiedzieć, że z cudzoziemcami nigdy nie wiadomo. Może im odbić w, jednym momencie.

Inspektor Bland westchnął, bo nie wydawało mu się to takie proste. Łatwo posterunkowemu Hoskinsowi mówić o cudzoziemcach. Dyżurni winowajcy.

Wszedł lekarz.

— Zrobiłem swoje — oświadczył. — Czy mają ją teraz zabrać? Reszta ekipy już się zwinęła.

— Sierżant Cottrell zajmie się tym. Więc co pan ustalił, doktorze?

— Wszystko zupełnie proste i jednoznaczne. Bez komplikacji. Uduszona sznurem do suszenia bielizny. Żadnych śladów walki. Przypuszczam, że dzieciak do końca nie wiedział, co się dzieje.

— Jakież obrażenia?

— Nic. Żadnych obrażeń, śladów gwałtu, jakichkolwiek uderzeń.

— A więc nie jest to przypuszczalnie zbrodnia na tle seksualnym?

— Nie wydaje mi się.

Po krótkiej chwili lekarz dodał jeszcze:

— Nie powiedziałbym, że to szczególnie atrakcyjna dziewczyna.

— Interesowała się chłopakami? — Bland skierował to pytanie do posterunkowego Hoskinsa.

— Wątpię, żeby miała jakieś powodzenie u chłopców, chociaż ochoty mogło jej nie brakować.

— Pewnie tak — Bland wspomniał komiksy w szopie żeglarskiej z gryzmołami na marginesach w rodzaju „Johnny chodzi z Kate” lub „Georgie Porgie całuje się z turystkami w lesie”. Było w tym pewnie pobożne życzenie. Ogólnie biorąc seksualny motyw morderstwa Marlene Tucker nie wydawał się prawdopodobny. Chociaż oczywiście nigdy nie wiadomo... Zawsze zdarzali się zbrodniarze z utajoną żądzą zabijania, specjalizujący się w młodych ofiarach płci żeńskiej. Taki zboczeniec mógł się znaleźć w tych stronach podczas sezonu wakacyjnego. Bland był prawie pewien, że to właśnie musiało się zdarzyć, bo nie widział jakiegokolwiek innego wyjaśnienia tak nonsensownej zbrodni. Jesteśmy jednak dopiero na początku — pomyślał. Trzeba zobaczyć, co ci wszyscy ludzie mają do powiedzenia.

— Kiedy nastąpił zgon?

Lekarz popatrzył na zegar ścienny, a potem na swój własny zegarek.

— Mamy trochę po wpół do szóstej, oglądałem ją jakieś dwadzieścia po piątej, nie żyła mniej więcej od godziny. Tak z grubsza, naturalnie. Zgon nastąpił gdzieś między czwartą a czwartą czterdzieści. Powiadomię pana, jeśli coś więcej zostanie ustalone w tej kwestii podczas sekcji zwłok. Dostanie pan pełny protokół oględzin, z opisem w uczonej mowie. Muszę teraz iść. Mam jeszcze paru pacjentów do zbadania.

Wyszedł, a inspektor Bland polecił Hoskinsowi poprosić pannę Brewis. Na jej widok inspektor nabrał nieco więcej wiary w rezultat swoich dociekań. Oto — zorientował się od razu — osoba rzeczowa i trzeźwa, ktoś, kto ma dobrze poukładane w głowie. Można liczyć na jasne odpowiedzi na pytania i precyzję w określaniu czasu.

— Pani Tucker jest w moim pokoju — zaczęła panna Brewis siadając. — Powiadomiłam ją, podałam herbatę. Jest bardzo wstrząśnięta, naturalnie. Chciała zobaczyć ciało, ale przekonałam ją, że lepiej nie. Pan Tucker kończy pracę o szóstej i ma przyjść do żony. Poleciłam już, by się nim zająć, gdy tu dotrze. Młodsze dzieci są na festynie, pilnujemy ich.

— Doskonale — wyraził uznanie inspektor Bland. — Przed rozmową z panią Tucker chciałbym usłyszeć to, co pani i Lady Stubbs mogą mi powiedzieć.

— Nie wiem, gdzie jest Lady Stubbs — oświadczyła kwaśno panna Brewis. — Przypuszczam, że zaczęła się nudzić na festynie i gdzieś sobie poszła, ale nie spodziewam się, by mogła powiedzieć panu coś więcej niż ja. Co konkretnie pragnie pan usłyszeć?

— Chciałbym znać wszystkie szczegóły tego Polowania na Mordercę oraz dowiedzieć się, w jaki sposób ta dziewczyna, Marlene Tucker, została włączona w grę.

— To całkiem proste.

Panna Brewis jasno i zwięźle przedstawiła zasady Polowania na Mordercę jako szczególnej atrakcji festynu, zaangażowanie pani Oliver, znanej powieściopisarki, a także streściła wątek kryminalny gry.

— Najpierw planowaliśmy, że żona pana Aleca Legge wystąpi w roli ofiary.

— Żona Aleca Legge?

— Państwo Legge — objaśnił inspektorowi posterunkowy Hoskins — mieszkają w domku Lawderów, tam nad brzegiem Mili Creek. Przyjechali tu przed czterema tygodniami. Wynajęli chatę na dwa albo trzy miesiące.

— Rozumiem. I to pani Legge, jak słyszę, pierwotnie miała być ofiarą? Dlaczego nastąpiła zmiana?

— Pewnego wieczoru pani Legge przepowiadała nam wszystkim przyszłość i robiła to tak znakomicie, że uznaliśmy, iż na festynie trzeba ją posadzić w namiocie wróżki. I

rzeczywiście, w orientalnym stroju jako *Madame Zuleika* za pół korony wróży na naszej imprezie. Ale nie wydaje mi się, by to było sprzeczne z prawem, prawda, inspektorze? To znaczy, na festynach zwykle są wróżki?

Inspektor Bland uśmiechnął się leciutko.

— Wróżbiarstwo, loterie — na ogół nie jest to traktowane zbyt poważnie, panno Brewis. Od czasu do czasu musimy... no... dać przykład.

— Ale przeważnie przymykacie oko? W każdym razie tak to było. Pani Legge zgodziła się wesprzeć nas w taki właśnie sposób i dlatego musieliśmy poszukać kogoś innego do roli ofiary. Tutejsi harcerze pomagali w przygotowaniu festynu i zdaje się ktoś podsunął myśl, że jedna z harcerek byłaby odpowiednia.

— A kto konkretnie te myśl podsunął, panno Brewis?

— Naprawdę nie wiem... Myślę, że mogła to być pani Masterton, żona posła. Nie, to chyba kapitan Warburton... Naprawdę, nie mogę powiedzieć na pewno. Ale w każdym razie padła taka myśl.

— Czy jest jakiś powód, że ta, właśnie dziewczyna została wybrana?

— N...nie, nie sędzę. Jej rodzice dzierzawią dom należący do tego majątku, matka, pani Tucker, czasem przychodzi pomagać w kuchni. Nie wiem właściwie, dlaczego wybraliśmy te dziewczynę. Pewnie ona pierwsza przyszła na myśl. Spytaliśmy ją i wyglądała na ucieszoną.

— Zdecydowanie chciała to robić?

— Och, tak. Myślę, że jej to pochlebiało. Była to dziewczyna niezbyt lotna. Nie umiała wystąpić w żadnej roli wymagającej grania, ale to było bardzo proste i ona poczuła się wybraną spośród innych, została dowartościowana.

— Co dokładnie miała robić?

— Miała być w szopie żeglarskiej. Słyszac kogoś podchodzącego do drzwi, powinna położyć się na podłodze, okręcić sobie sznur wokół szyi i udawać nieżywą.

Panna Brewis referowała spokojnie i rzeczowo. Fakt, że dziewczyna, która miała udawać martwą, okazała się martwą naprawdę, zdawał się w tym momencie nie wywoływać u niej żadnych emocji.

— To raczej nudny sposób spędzania popołudnia. Mogła przecież bawić się na festynie — zauważył inspektor Bland.

— Chyba tak, ale nie można mieć wszystkiego, prawda? I Marlenie podobała się rola martwej ofiary. Dzięki niej mogła czuć się ważna. Miała całą stertę rzeczy do czytania, żeby się nie nudzić.

— I coś do jedzenia? — spytał inspektor. — Zauważyłem tam talerz i szklankę na tacy.

— O tak, miała wielki talerz ciastek tortowych i sok malinowy. Sama jej to zaniósłam.

Bland spojrział na nią przenikliwie.

— Pani zaniosiła? Kiedy?

— W trakcie festynu.

— Kiedy dokładnie? Może pani sobie przypomnieć? Panna Brewis zastanawiała się chwilę.

— Niech pomyślę. Zakończył się dziecięcy konkurs przebierańców, był trochę spóźniony, nie mogliśmy znaleźć Lady Stubbs, ale pani Folliat ją zastąpiła, więc wszystko poszło gładko... Tak, to musiało być, jestem prawie pewna, jakieś pięć po czwartej, kiedy wzięłam te ciastka i sok.

— I zaniosiła pani osobiście do szopy żeglarskiej. o której godzinie pani tam dotarła?

— Och, to jest tylko pięć minut. Myślę, że piętnaście po czwartej musiałam być w szopie.

— I piętnaście po czwartej Marlene Tucker była cała i zdrowa?

— Tak, oczywiście. Bardzo była ciekawa, jak radzą sobie uczestnicy Polowania na Mordercę. Niestety, nie umiałam jej nic powiedzieć. Byłam zbyt zajęta tym wszystkim, co się

działo tu koło domu. Wiedziałam tylko, że mnóstwo ludzi zgłosiło się do tego turnieju detektywistycznego. Dwadzieścia albo trzydzieści osób. Prawdopodobnie nawet dużo więcej.

— W szopie znalazła pani Marlene. Jak ją pani zastała?

— Już powiedziałam.

— Nie, nie, nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, czy leżała na podłodze udając nieżywą, kiedy otworzyła pani drzwi?

— Och, nie. Zawołałam na nią podchodząc do szopy, więc ona otworzyła mi drzwi, a ja wniosłam tacę i postawiłam ją na stole.

— Kwadrans po czwartej — powtarzał Bland zapisując — Marlene Tucker była cała i zdrowa. Pani rozumie, panno Brewis, jestem przekonany, że to bardzo ważny szczegół. Jest pani całkiem pewna co do godziny?

— Nie mogę być absolutnie pewna, bo w tym momencie nie patrzyłam na zegarek, ale sprawdzałam godzinę nieco wcześniej.

Po krótkiej chwili dodała, pojmując nagle, co ma na myśli inspektor:

— Chce pan powiedzieć, że to się stało zaraz po mojej...?

— Nie mogło upłynąć wiele czasu, panno Brewis.

— Och, drogi! — westchnęła panna Brewis.

Nie było to odpowiednie westchnienie, ale jakoś oddawało konsternację i troskę panny Brewis.

— Następną sprawą, panno Brewis. Czy po drodze do szopy lub wracając spotkała pani kogoś, a może widziała kogoś w pobliżu rzeki?

Panna Brewis zastanowiła się.

— Nie. Nie spotkałam nikogo, chociaż na gruntach Nasse jest dzisiaj tyle ludzi. Goście skupiają się jednak w większości na tym wielkim trawniku, gdzie właściwie odbywa się festyn. Trochę ciekawskich zagląda do ogródka warzywnego i szklarni, natomiast mniej osób, niż się spodziewałam, spaceruje po części leśno-parkowej. Uczestnicy takich imprez raczej trzymają się razem, nie sądzi pan, inspektorze?

Inspektor przyznał, że chyba tak na ogół jest.

— Chociaż, zdaje się — przypomniała sobie nagle panna Brewis — ktoś był w gloriecie.

— W gloriecie?

— W małej, białej altanie podobnej do świątyni. To jest na prawo od ścieżki biegnącej ku szopie żeglarskiej. Ktoś był w środku. Chyba jakaś flirtująca para. Usłyszałam śmiech, a potem ktoś powiedział: „Cicho, pst!”

— Nie wie pani, co to za flirtująca para?

— Nie mam pojęcia. Ze ścieżki nie widać wejścia do gloriety, a z boku jest pełna ściana.

Inspektor dumiał i doszedł do wniosku, że para w gloriecie, ktokolwiek by to był, nie jest najważniejsza. Warto jednak do niej dotrzeć. Tych dwoje mogło bowiem widzieć kogoś idącego do szopy lub wracającego stamtąd.

— A na dróżce nie było nikogo? Zupełnie nikogo? — naciskał.

— Wiem oczywiście, do czego pan zmierza. Mogę tylko zapewnić, że nie spotkałam nikogo. Ale to nie jest dziwne. To znaczy, gdyby tamtędy przechodził ktoś, kto nie chciałby być widziany, mógł z łatwością ukryć się za rododendronami, które rosną z obu stron ścieżki. Wystarczy jeden krok, by się dobrze schować.

Inspektor przeszedł do innych spraw.

— Czy pani coś wie o tej dziewczynie, coś, co mogłoby nam pomóc?

— Właściwie nic o niej nie wiem. Nie przypominam sobie, bym rozmawiała z nią kiedykolwiek przed festynem. To jedna z tych dziewczyn, które widuję, znam trochę z widzenia, i to wszystko.

— I nic pani o niej nie wie, nic, co mogłoby okazać się pomocne?

— Nic nie wiem o żadnym powodzie, który mógłby popchnąć kogokolwiek do tego morderstwa. W gruncie rzeczy wydaje mi się, jeśli pan mnie rozumie, wydaje mi się to niemożliwe, by taka rzecz mogła się zdarzyć. Jedyne wyjaśnienie, jakie w tej chwili widzę, to szaleństwo jakiegoś niezrównoważonego umysłu: skoro ona udaje ofiarę mordercy, to niech będzie nią naprawdę. Ale to też wygląda na naciągane i bez sensu. Bland westchnął.

— No dobrze. Chyba muszę teraz porozmawiać z matką.

Pani Tucker była chudą kobietą o pociągłej twarzy z ostrym nosem i jasnych, prostych włosach. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, ale panowała już nad sobą.

— To nie wydaje się sprawiedliwe, że takie coś mogło się zdarzyć — zaszlochła. — Czyta się o tym w gazetach, ale żeby to stało się naszej Marlenie...

— Jest mi bardzo, bardzo przykro z powodu tego nieszczęścia — powiedział łagodnie inspektor Bland. — Chcę, aby się pani bardzo dobrze zastanowiła i powiedziała mi, czy jest ktoś, kto mógłby mieć jakiegokolwiek powody, by zrobić dziewczynie krzywdę.

— Już się nad tym zastanawiałam — pani Tucker pociągnęła nosem. — Myślałam i myślałam, i nic nie wymyśliłam. Marlene odpyskowała parę razy nauczycielowi w szkole, kłóciła się czasem z dziewczynkami i chłopcami, ale to nie było nic poważnego, w żadnym razie. Nikt nie był na nią zawzięty, nikomu nie zależało, by zrobić jej coś złego.

— Nigdy nie mówiła pani, że ma jakiegoś wroga?

— Różne głupstwa wygadywała, ale nic w tym rodzaju. Ciągłe mówiła o makijażu, o fryzurach, jak się umalować, w co się ubrać. Wie pan, jakie są dziewczyny. Była o wiele za młoda, żeby się szminkować i smarować tymi paskudztwami, powtarzał jej to ojciec i ja też. Ale kiedy tylko miała jakiś grosz, kupowała perfumy, szminke. To były jej głęboko ukryte skarby.

Bland skinął głową. Nic z tych rzeczy nie będzie pomocne. Dojrzewająca, dość głupia dziewczyna, w głowie gwiazdy filmowe i ciuchy, takich Marlen są setki.

— Nie wiem, co powie ojciec. Będzie tu lada minuta, przyjeżdża na zabawę. On jest taki dobry w rzutach, naprawdę.

Pani Tucker znowu zaczęła szlochać.

— Jak pan chce znać moje zdanie, to na pewno ktoś z tych cholernych cudzoziemców ze schroniska. Z cudzoziemcami nigdy nie wiadomo. Niby uprzejmie się odzywają, a jakie koszule noszą, aż trudno uwierzyć. Mają na tych koszulach dziewczyny w bikini — tak to się u nich nazywa. I wszyscy wyłożą na słońce tu i tam w ogóle bez szortów. To musi doprowadzić do złego. Takie jest moje zdanie!

Posterunkowy Hoskins odprowadził szlochającą kobietę do drzwi. Wygląda na to — pomyślał Bland — że winą za wszystkie tragiczne zdarzenia w tej okolicy od długich lat obarcza się bliżej nie określonych cudzoziemców.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Ona ma ostry język — powiedział Hoskins wracając od drzwi. — Zrędzi na męża i beszta swojego starego ojca. Śmiem twierdzić, że musiała nawrzeszczeć na dziewczynę parę razy i teraz ma wyrzuty sumienia. Co nie znaczy, że córki przejmują się tym, co im mówią matki. Spływa po nich jak po kaczce.

Inspektor Bland przerwał te ogólne refleksje, wysyłając Hoskinsa po panią Oliver.

Detektyw był nieco zaskoczony widokiem pani Oliver. Nie spodziewał się takiej obfitości kształtów, purpury szat i emocji.

— Czuję się okropnie — pani Oliver opadła na fotel naprzeciw inspektora niczym duża porcja purpurowej galarety z migdałów. — OKROPNIE — powtórzyła z pewnością dużymi literami.

Detektyw wydał parę nieokreślonych dźwięków, a pani Oliver wyrzuciła z siebie:

— Ponieważ, widzi pan, to jest moje morderstwo. Ja to zrobiłam.

Przez moment osłupienia inspektor Bland sądził, że pani Oliver oskarża siebie samą o popełnienie zbrodni.

— Nie mogę pojąć, dlaczego zachciało mi się kiedykolwiek, by jugosłowiańska żona fizyka jądrowego została ofiarą morderstwa — gwałtownym ruchem pani Oliver przeczesała palcami swoją kunsztowną fryzurę, w wyniku czego uzyskała wygląd osoby na lekkim rauszu. — Ale ze mnie oślica! Przecież mógł to być równie dobrze pomocnik ogrodnika, który był kim innym, niż się zdawało, ale to nie ma znaczenia, ponieważ większość mężczyzn potrafi się upilnować. Jeżeli nie umieją upilnować się sami, to w każdym razie powinni umieć, dlatego nie przejmowałabym się tym tak bardzo. Ginie mężczyzna i nikomu nie robi to różnicy, to znaczy nikomu oprócz żony, narzeczonej, dzieci i tak dalej.

W tym momencie inspektor Bland zaczął żywić pewne podejrzenia co do pani Oliver. Wzmacniał je słaby aromat brandy, który niósł się ku niemu. To Herkules Poirot zaordynował nieco wcześniej swojej dobrej znajomej ten niezastąpiony środek antywstrząsowy.

— Nie jestem stuknięta ani pijana — oświadczyła pani Oliver, intuicyjnie odgadując myśli inspektora — chociaż pan pewnie uważa mnie za pijaczkę, jak ten facet, który powiedział, że jestem moczymorda i że wszyscy tak mówią.

— Jaki facet? — zainteresowanie inspektora przeniosło się ze wspomnianego przed chwilą asystenta ogrodnika na nową postać.

— Piegowaty z akcentem z Yorkshire. Ale, jak powiedziałam, nie jestem pijana ani stuknięta. Jestem po prostu wstrząśnięta. Ogromnie WSTRZAŚNIĘTA — powtórzyła, ponownie używając z pewnością dużych liter.

— Rozumiem, to rzeczywiście ciężkie przeżycie.

— Straszne jest, że ona chciała być ofiarą maniaka seksualnego i teraz, jak przypuszczam, została nią.

— Maniak seksualny nie wchodzi w grę — zaznaczył inspektor.

— Nie? Dzięki Bogu i za to. Chociaż nie wiem właściwie. Może ona wolałaby w ten sposób. Ale jeżeli nie był to maniak seksualny, to kto ją zamordował i dlaczego, inspektorze?

— Miałem nadzieję, że pani pomoże mi to wyjaśnić.

Niewątpliwie — pomyślał Bland — pani Oliver postawiła główne pytanie: dlaczego Marlene została zamordowana?

— Nie umiem panu pomóc. Nie potrafię sobie wyobrazić kogoś, kto mógłby to zrobić. To znaczy, oczywiście, ja umiem wyobrazić sobie wszystko! To jest właśnie kłopot ze mną. W jednym momencie mogę sobie wszystko wyobrazić. To wszystko, co zrodzi się w mojej głowie, będzie nawet do rzeczy, ale naturalnie nic nie będzie prawdziwe. A więc mógł ją zamordować ktoś, kto ma to do siebie, że lubi mordować dziewczynki, ale to zbyt proste, a

poza tym cóż to za zbieg okoliczności, że ten psychopata był akurat na festynie. I jak by się zorientował, że Marlene jest w szopie? Albo inne warianty: ona wiedziała o czymś romansie albo była świadkiem zakopywania trupa nocą, albo rozpoznała kogoś występującego pod fałszywym nazwiskiem, albo usłyszała, gdzie ukryto skarb podczas wojny. Albo mężczyzna w motorówce wrzucił kogoś do rzeki i ona widziała to z szopy przez okno, albo znalazła bardzo ważną wiadomość zapisaną szyfrem, sama nie wiedziała, co to jest.

— Proszę! — inspektor podniósł ręce do góry. W głowie mu się kołowało.

Pani Oliver umilkła posłusznie. Było pewne, że mogłaby ciągnąć te wyliczankę jeszcze długo, ale inspektor miał wrażenie, że wymieniła już wszystkie możliwości, mniej i bardziej prawdopodobne. Z tego obfitego materiału wyłowił jedno zdanie.

— Co pani miała na myśli, mówiąc o „mężczyźnie w motorówce”? To tylko wyobraźnia?

— Mówiono mi, że on tu przyplynie motorówką. Nie mogę sobie przypomnieć, kto. Rozmawialiśmy o nim przy śniadaniu, pamiętam.

— Proszę — inspektor znowu odezwał się błagalnym tonem. Do tej pory nie miał pojęcia, jacy są autorzy kryminałów. Wiedział, że pani Oliver napisała czterdzieści parę książek. Teraz już dziwił się, że nie było ich sto czterdzieści. Bez namysłu zażądał wyjaśnienia:

— Co to za mężczyzna przy śniadaniu, który przyplął motorówką?

— On nie przyplął na śniadanie motorówką. To był jacht. No, nie wiem tak dokładnie. Ale był list.

— Więc co to było? Jacht czy list?

— To był list — wyjaśniła pani Oliver — do Lady Stubbs. Od kuzyna na jachcie. A ona się wystraszyła.

— Wystraszyła się? Czego?

— Przypuszczani, że jego. Wszyscy mogli to widzieć. Bała się go, nie chciała, żeby przyjeżdżał, i myślę, że dlatego teraz się ukrywa.

— Ukrywa się?

— No, nigdzie nie ma Lady Stubbs. A wszyscy jej szukają. Myślę, że ona się ukrywa, bo się go boi i nie chce się z nim spotkać.

— Kim jest ten człowiek?

— Niech pan lepiej spyta pana Poirot, on z nim rozmawiał, a ja nie. Nazywa się Estaban... nie, to imię Z mojej gry. De Sousa, o tak, on jest Etienne de Sousa.

Jednak uwagę inspektora zwróciło inne nazwisko.

— Co pani powiedziała? Poirot?

— Tak. Herkules Poirot. Był ze mną, kiedy znaleźliśmy ciało.

— Herkules Poirot... ciekaw jestem. Czy to może być ta sama osoba? Belg, mały mężczyzna z wielkimi wąsami?

— Z ogromnymi wąsami — poprawiła pani Oliver.

— Tak. Zna go pan?

— Poznałem go wiele lat temu. Byłem wtedy młodym sierżantem.

— Czy spotkaliście się przy sprawie jakiegoś morderstwa?

— Tak. Co on tu robi?

— Miał wręczać nagrody w moim turnieju — pani Oliver zawahała się przez mgnienie odpowiadając, ale inspektor tego nie zauważył.

— I razem odnaleźliście ciało. Hm, chciałbym z nim porozmawiać.

— Czy sprowadzić go tutaj? — pani Oliver z nadzieją pozbierała fałdy swojej purpury.

— Nie ma pani już nic do dodania? Nic, co według pani mogłoby być pomocne w jakikolwiek sposób?

— Nie sądzę. Ja nic nie wiem. Jak powiedziałam, mogę wymyślać przyczyny...

Inspektor przerwał jej. Nie miał ochoty wysłuchiwać ponownie hipotez pani Oliver. Były zbyt wydumane i pogmatwane.

— Dziękuję pani bardzo — powiedział stanowczo. — Będę bardzo zobowiązany za zaproszenie tutaj na rozmowę pana Poirot.

Pani Oliver wyszła z pokoju.

— Kto to jest, ten *monsieur* Poirot? — spytał Hoskins.

— Pan nazwałby go pewnie śmiesznym facetem. Taka musicalowa parodia Francuza, choć naprawdę jest Belgiem. Ale mimo swojej śmieszności ma głowę na karku. Nie jest już młody.

— A de Sousa? — spytał posterunkowy. — Myśli pan, że coś w tym jest, sir?

Inspektor Bland nie słyszał pytania. Uderzył go fakt, na który dopiero teraz zwrócił uwagę, choć mówiono mu o nim kilkakrotnie. Najpierw to był zirytowany i zaniepokojony Sir George: „Moja żona zniknęła. Przepadła...” Potem panna Brewis, pogardliwie: „Nie wiem, gdzie jest Lady Stubbs. Przypuszczam, że zaczęła się nudzić na festynie i gdzieś sobie poszła”. A teraz pani Oliver i jej teoria, że Lady Stubbs się ukrywa.

— Jak? Co? — spytał z roztargnieniem. Posterunkowy Hoskins odchrząknął.

— Pytałem, sir, czy ten de Sousa ma według pana znaczenie w tej sprawie, kimkolwiek jest.

Posterunkowy Hoskins był najwyraźniej szczęśliwy, że może łączyć morderstwo z nazwiskiem konkretnego cudzoziemca, a nie tylko z cudzoziemcami w ogóle. Myśl inspektora Blanda posuwała się jednak innym kursem.

— Potrzebuję Lady Stubbs — powiedział szorstko. — Proszę ją tu sprowadzić. Jeśli nie ma jej w pobliżu, proszę szukać.

Hoskins spojrzał lekko zdziwiony, lecz ruszył posłusznie. W drzwiach przystanął i cofnął się lekko, by przepuścić wchodzącego Herkulesa Poirot. Chwilę jeszcze patrzył na niego przez ramię z pewnym zainteresowaniem.

— Nie przypuszczam — Bland podniósł się i wyciągnął rękę na powitanie — by pan mnie pamiętał, panie Poirot.

— Ależ naturalnie, pamiętam. Pan... proszę dać mi moment, tylko moment, młody sierżant... tak, sierżant Bland, którego poznałem czternaście... nie, piętnaście lat temu.

— Dokładnie. Co za pamięć!

— Cóż takiego? Skoro pan pamięta mnie, dlaczego ja nie miałbym pamiętać pana?

Trudno byłoby — pomyślał Bland — zapomnieć Herkulesa Poirot, co nie jest tylko i wyłącznie komplementem.

— A więc znowu pomaga pan w sprawie o morderstwo, panie Poirot.

— Ma pan rację, zostałem tu wezwany do pomocy.

— Wezwany do pomocy? — Bland wyglądał na zdezorientowanego.

Poirot dodał pośpiesznie:

— To znaczy, poproszono mnie tutaj, bym wręczył nagrody w Polowaniu na Mordercę.

— Tak powiedziała mi pani Oliver.

— I nic więcej panu nie powiedziała? — spytał Poirot na pozór od niechcienia. Pragnął dowiedzieć się, czy pani Oliver, rozmawiając z inspektorem, zrobiła jakąkolwiek wzmiankę o swoich obawach, które skłoniły ją do nalegań na przyjazd Poirota do Devon.

— Czy nie powiedziała nic więcej? Mówiła bez przerwy. Wszelkie możliwe i niemożliwe motywy morderstwa. Aż mi w głowie huczy. Uf! Co za wyobraźnia!

— Ona żyje z wyobraźni, *mon ami*⁷ — zwrócił uwagę Poirot.

— Wspomniała o mężczyźnie nazwiskiem de Sousa. Czy to postać wzięta z wyobraźni?

— Nie, to jest realna osoba.

— Mówiła coś o liście przy śniadaniu, jachcie i o podpływaniu motorówką w górę rzeki. Nie mogłem się w tym połapać.

⁷ *fr.* mój przyjacielu

Poirot przystąpił do wyjaśniania. Opowiedział o scenie przy śniadaniu, o liście, o bólu głowy Lady Stubbs.

— Pani Oliver twierdzi, że Lady Stubbs była wystraszona. Czy pan również odniósł takie wrażenie?

— Tak, wyglądała na wystraszoną.

— Bała się własnego kuzyna? Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Powiedziała mi tylko, że on jest zły, jest złym człowiekiem. Ona jest trochę ograniczona, rozumie pan, nie całkiem normalna.

— Tak, to wygląda na powszechnie znany fakt tutaj. Nie powiedziała, dlaczego boi się de Sousy?

— Nie.

— Ale sądzi pan, że jej strach jest autentyczny?

— Jeśli udaje, to jest bardzo dobrą aktorką.

— Przychodzą mi dziwne myśli do głowy na temat tej sprawy — Bland wstał i zaczął chodzić niespokojnie tam i z powrotem. — Wszystko przez tę przekłętą babę.

— Panią Oliver?

— Tak. Naopowiadała mi jakichś melodramatycznych historyjek.

— Sądzi pan, że mogą być prawdziwe?

— Nie wszystkie naturalnie, ale jedna lub dwie są mniej nieprawdopodobne, niż to na pozór wygląda. Wszystko zależy... — urwał, bo w drzwiach pojawił się posterunkowy Hoskins.

— Nie wydaje się możliwe odnalezienie tej pani, sir. Nie ma jej nigdzie.

— To już słyszałem — Bland zirytował się. — Kazałem ją odnaleźć.

— Sierżant Farrell i posterunkowy Lorimer przeszukują teren, sir — tłumaczył się Hoskins. — W domu jej nie ma.

— Dowiedźcie się od biletera przy bramie, czy opuściła posiadłość. Może pieszo, może samochodem.

— Tak jest, sir. Hoskins oddalił się.

— A oprócz tego: gdzie i kiedy widziano ją po raz ostatni — krzyknął za nim Bland.

— A więc rozumie pan w ten sposób — powiedział Poirot.

— W żaden sposób jeszcze nie rozumię, ale po prostu zastanawia mnie fakt, że tej kobiety, która powinna być na miejscu, na miejscu nie ma! Chcę wiedzieć, dlaczego. Czy coś jeszcze wiadomo panu o tym, jak mu tam, de Sousie?

Poirot opisał mu spotkanie z młodym mężczyzną u wylotu ścieżki wiodącej do przystani.

— On jest pewnie jeszcze na festynie. Czy mam powiedzieć Sir George'owi, że pan chce rozmawiać z de Sousą? — spytał Poirot.

— Nie, na razie nie. Muszę jeszcze zebrać trochę informacji. Kiedy ostatni raz widział pan Lady Stubbs?

Poirot zastanawiał się, ale trudno mu było dokładnie określić, kiedy po raz ostatni mignęła wśród tych licznych gości wysoka postać w cyklamenowej sukni i czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Krążyła po trawniku, rozmawiała z tamtym i owym, czasem słyszał jej szczególnie śmiech, wyróżniający się wśród kakofonii innych odgłosów festynu.

— Myślę — powiedział bez przekonania — że to musiało być niewiele przed czwartą.

— Gdzie ona wtedy była i z kim?

— Była w grupie ludzi w pobliżu domu.

— Czy była tam, kiedy pojawił się de Sousa?

— Nie przypominam sobie. Nie sądzę, w każdym razie nie widziałem jej. Sir George powiedział de Sousie, że nie wie, gdzie jest żona. Wyglądał na zaskoczonego, pamiętam, że Lady Stubbs nie sędziuje w dziecięcym konkursie przebierańców, tak jak to było planowane.

— O której godzinie przyszedł de Sousa?

— To musiało być koło wpół do piątej, przypuszczam. Nie patrzyłem na zegarek, więc dokładnie panu nie powiem.

— A Lady Stubbs zniknęła, zanim on się pojawił?

— Tak się wydaje.

— Może poszła sobie, żeby się z nim nie spotkać — zastanawiał się inspektor.

— Może — zgodził się Poirot.

— Ale przecież nie mogła odejść daleko. Powinniśmy odnaleźć ją bez większego trudu, a wtedy... — Bland urwał.

— A przypuścmy, że ona się nie znajdzie? — Poirot zadał to pytanie ze szczególną intonacją.

— To nonsens — odpowiedział z przekonaniem inspektor. — Dlaczego? Sądzi pan, że coś jej się stało?

Poirot wzruszył ramionami.

— Nic nie wiadomo. Wiemy tylko jedno: że zniknęła!

— Niech pan da spokój, Poirot, w pańskim ujęciu to wygląda bardzo ponuro.

— Może to jest ponure.

— Prowadzimy śledztwo w sprawie zamordowania Marleny Tucker — powiedział surowo inspektor.

— To. oczywiście. Skąd więc to zainteresowanie de Sousa? Czy sądzi pan, że to on zabił Marlenę Tucker?

Inspektor Bland odpowiedział wymijająco:

— Ach, ta baba!

Poirot uśmiechnął się lekko.

— Ma pan na myśli panią Oliver?

— Tak. Widzi pan, panie Poirot, mord na Marlenie Tucker nie ma sensu. To zupełnie bez sensu. Znajdujemy nijaką, tępawą dziewczynę ze sznurem na szyi, uduszoną i nie ma ani śladu jakiegokolwiek motywu.

— A pani Oliver dostarczyła panu motyw?

— Co najmniej tuzin! Sugerowała między innymi, że Marlenę mogła wiedzieć o czymś skrywanym romansie, była świadkiem morderstwa, знаła miejsce, gdzie ukryty jest skarb, z okna szopy widziała coś, co zrobił de Sousa, płynąc motorówką w górę rzeki.

— I która z tych wersji przemawia do pana najbardziej, *mon cher*⁸?

— Nie wiem. Ale nie mogę przestać o nich myśleć. Proszę posłuchać, panie Poirot. Niech pan cofnie się myślą do swojej porannej rozmowy z Lady Stubbs. Czy odniósł pan wrażenie, że wystraszyła się ona wizyty kuzyna, ponieważ, na przykład, obawia się ujawnienia faktów ze swojej przeszłości, które ukrywała przed mężem? Czy też powiedziałby pan raczej, że ona po prostu boi się tego człowieka?

— Powiedziałbym, że boi się tego człowieka — odrzekł bez wahania Poirot.

— Hm — westchnął inspektor Bland. — Muszę porozmawiać z tym gościem, póki jest jeszcze na miejscu.

⁸ fr. mój drogi

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I

Inspektor Bland zapalał natychmiast antypatią do Etienne'a de Sousy, chociaż w odróżnieniu od posterunkowego Hoskinsa nie miał wrodzonych uprzedzeń do cudzoziemców. Wypolerowana elegancja młodego człowieka, nieskazitelny strój, bogaty bukiet zapachów jego ubrylantynowanej fryzury — to wszystko drażniło detektywa.

De Sousa był bardzo pewny siebie, bardzo swobodny. Okazywał również swoiste rozbawienie, gustownie stonowane ogólną rezerwą.

— Trzeba przyznać, że życie jest pełne niespodzianek. Odbynam tu wakacyjny rejs, podziwiam piękną scenerię, chcę spędzić popołudnie z małą kuzynką, której nie widziałem od lat, i co się zdarza? Najpierw trafiam na publiczną zabawę, kokosy śmigają mi koło ucha, a zaraz potem przeskakuję od komedii do tragedii, jestem wplątany w morderstwo.

Zapalił papierosa.

— Nie mam żadnego związku — zaciągnął się głęboko — z tym morderstwem. Nie umiem odgadnąć, dlaczego zostałem wezwany na tę rozmowę.

— Przybywa pan tu jako obcy... De Sousa przerwał inspektorowi:

— A obcy są zawsze podejrzani, w tym rzecz?

— Nie, nie, wcale nie, sir. Nie, pan źle odczytuje moje intencje. Pański jacht jest zakotwiczony w Helmmouth, prawda?

— Tak, zgadza się.

— I dziś po południu popłynął pan motorówką w górę rzeki?

— Znowu zgadza się.

— Płynąc motorówką, czy zauważył pan po prawej stronie małą szopę żeglarską? Wychodzi nieco w rzekę, jest kryta strzechą, a pod spodem ma małe nabrzeże do cumowania łodzi.

De Sousa odchylił do tyłu swoją kształtną, ciemną głowę i zmarszczył brwi, wysilając pamięć.

— Zaraz, była jakaś odnoga rzeki i szary domek kryty dachówką.

— Nieco dalej w górę rzeki, panie de Sousa. Pomiędzy drzewami.

— A, tak, teraz sobie przypominam. Bardzo malownicze miejsce. Nie wiedziałem, że jest nabrzeże pod tą szopą. Gdybym wiedział, zacumowałbym tam. Gdy pytałem, jak dopłynąć do Nasse, mówiono mi, że trzeba posuwać się rzeką aż do przystani promowej.

— I tak pan zrobił?

— Tak właśnie zrobiłem.

— Nie podchodził pan do brzegu w pobliżu szopy? De Sousa pokręcił przecząco głową.

— Czy widział pan kogoś koło szopy, kiedy pan tam przepływał?

— Czy widziałem kogoś? Nie. A powinienem widzieć?

— To tylko możliwość. Otóż, panie de Sousa, zamordowana dziewczyna była w szopie tego popołudnia. Tam właśnie została zabita i to mniej więcej w tym czasie, kiedy pan płynął rzeką.

De Sousa uniósł brwi.

— Sądzi pan, że mogłem być świadkiem tego morderstwa?

— Morderstwo popełniono w szopie, ale pan mógł widzieć tę dziewczynę, jeśli by wyglądała przez okno albo wyszła na balkon. Gdyby pan ją widział, moglibyśmy dokładniej określić czas. Jeżeli, kiedy pan mijał szopę, była wciąż żywa...

— Aha, rozumiem. Tak, rozumiem. Ale dlaczego pyta pan akurat mnie? Mnóstwo łodzi pływa tamtędy do Helmmouth i z powrotem. Stateczki pasażerskie. Kursują bez przerwy. Czemu nie pytacie tamtych ludzi?

— Będziemy pytać — zapewnił inspektor. — Proszę się nie obawiać, zapytamy. Więc pan nie widział nic szczególnego w pobliżu szopy?

— Nic. Nic nie wskazywało, że ktoś tam jest. Oczywiście nie przyglądałem się specjalnie uważnie i nie płynąłem bardzo blisko. Ktoś mógł wyglądać przez okno, jak pan przypuszcza, ale ja wcale nie musiałem widzieć tej osoby.

Dodał uprzejmie:

— Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

— Och, dobrze — powiedział inspektor Bland przyjacielskim tonem. — Nie możemy oczekiwać zbyt wiele. Jest jeszcze kilka innych rzeczy, które chciałbym wiedzieć, panie de Sousa.

— Tak?

— Czy pan odbywa ten rejs samotnie czy z przyjaciółmi?

— Miałem przyjaciół na jachcie do niedawna, ale od trzech dni jestem sam. Nie licząc załogi, oczywiście.

— Jak nazywa się pański jacht?

— „Esperance”.

— Lady Stubbs jest, rozumiem, pańską kuzynką? De Sousa wzruszył ramionami.

— Daleką kuzynką. Nie jesteśmy blisko spokrewnieni. Na wyspach, musi pan pamiętać, jest dużo małżeństw w obrębie rodów. Wszyscy jesteśmy kuzynami. Hattie to moja daleka kuzynka. Nie widziałem jej od czasu, gdy była małą dziewczynką, czternasto-, piętnastoletnią.

— I wpadł pan na pomysł, by złożyć jej dzisiaj niespodziewaną wizytę?

— Żadna niespodzianka, inspektorze. Uprzedziłem ją listownie.

— Wiem, że dostała list od pana dziś rano, ale była zaskoczona wiadomością, że jest pan w tym kraju.

— Och, myli się pan, inspektorze. Napisałem do mojej kuzynki, niech pomyśle, trzy tygodnie temu. Napisałem do niej z Francji, tuż przed odpłynięciem do Anglii.

Inspektor zdziwił się.

— Pisał pan do niej z Francji i powiadomił, że złoży wizytę?

— Tak. Napisałem, że odbywam rejs jachtem, że powinniśmy być w Torquay lub w Helmmouth około tej daty i że później poinformuję ją dokładnie, kiedy przybędę.

Inspektor przypatrywał mu się uważnie. To, co mówił młody człowiek, zupełnie nie pasowało do sceny przy dzisiejszym śniadaniu, znanej Blandowi z relacji co najmniej dwu osób. Świadczyli ci potwierdzili zgodnie, że Lady Stubbs była zaniepokojona i wyraźnie zaskoczona treścią listu. De Sousa ze spokojem patrzył inspektorowi w oczy. Z nikłym uśmiechem strzepnął jakiś pyłek ze spodni.

— Czy Lady Stubbs odpisała na pański pierwszy list?

— Trudno to pamiętać... Nie, chyba nie. To nie było zresztą konieczne. Podróżowałem, nie miałem stałego adresu. A poza tym nie wydaje mi się, by moja kuzynka była miłośniczką pisania. Nie jest, wie pan, szczególnie inteligentna, chociaż słyszałem, że wyrosła na piękną kobietę.

— Jeszcze się pan z nią nie widział?

— Wygląda na to, że najnie spodziewaniej w świecie zniknęła — de Sousa pokazał zęby w miłym uśmiechu. — Nudzi ją ta *espece de gala*⁹ niewątpliwie.

⁹ hiszp. tu: wielka zabawa

— Czy sądzi pan — inspektor Bland niezwykle starannie dobierał słowa — że pańska kuzynka może mieć jakieś powody, by unikać spotkania z panem?

— Hattie. unikać mnie? Naprawdę nie wiem. dlaczego. Z jakiej przyczyny?

— O to właśnie pana pytam.

— Sądzi pan, że Hattie ulotniła się z tego festynu, abym nie mógł się z nią zobaczyć? Co za absurd!

— Kuzynka nie ma powodów, o ile panu wiadomo, by, powiedzmy, obawiać się pana w jakimkolwiek stopniu?

— Obawiać się mnie? — w głosie de Sousy było zdziwienie i rozbawienie. — Jeśli mogę tak powiedzieć, inspektorze, cóż za dziwaczna myśl!

— Pańskie stosunki z nią były zawsze całkiem przyjazne?

— Jest tak, jak panu mówiłem. Nie miałem z nią żadnych kontaktów. Nie widziałem jej od czasu, gdy była czternastoletnim dzieckiem.

— A jednak, kiedy przyjeżdża pan do Anglii, chce się pan z nią spotkać.

— Och, jeżeli o to chodzi, znalazłem notkę w kronice towarzyskiej jednego z waszych pism. Było podane jej nazwisko panięskie i informacja, że wyszła za męża za bogatego Anglika. Pomyślałem sobie: muszę zobaczyć, co wyrosło z Hattie, czy przybyło jej trochę rozumu — wzruszył ramionami. — Ot, zwykła uprzejmość kuzyna. Nieszkodliwa ciekawość, nic więcej.

Inspektor ponownie wpatrzył się w twarz de Sousy. Co — ciekaw był — kryje się za tą gładką, wypolerowaną powierzchnością?

— Czy może mi pan powiedzieć coś więcej — inspektor starał się o bardziej poufaly ton głosu — o swojej kuzynce? O jej charakterze, sposobie bycia?

Na obliczu de Sousy malowało się uprzejme zdziwienie.

— Jaki to może mieć związek z zamordowaniem dziewczyny w szopie żeglarskiej, co, jak mi wiadomo, jest sprawą, którą się pan naprawdę zajmuje?

— Pewien związek jest możliwy.

De Sousa przez chwile patrzył na inspektora w milczeniu. Potem wzruszył lekko ramionami i powiedział:

— Nigdy dobrze nie znałem mojej kuzynki. Należała do wielkiej rodziny i nie była osobą szczególnie mnie obchodzącą. Żeby jednak odpowiedzieć na pańskie pytanie, o ile wiem, chociaż umysłowo nie w pełni sprawna, nie przejawiała nigdy żadnych skłonności morderczych.

— Ależ panie de Sousa, ja tego nie sugerowałem!

— Nie sugerował pan? To ciekawe. Nie widzę innego uzasadnienia dla pańskiego ostatniego pytania. Nie, jeśli nie zmieniła się gruntownie, Hattie nie jest kandydatką na morderczynię!

Wstał.

— Jestem pewien, inspektorze, że nie chce mnie pan już dłużej pytać. Mogę tylko życzyć panu wszelkich sukcesów w wyjaśnianiu sprawy tego morderstwa.

— Nie zamierza pan opuszczać Helmmouth jutro ani pojutrze, mam nadzieję, panie de Sousa?

— Jest pan bardzo uprzejmy, inspektorze. Czy to rozkaz?

— Tylko prośba, sir.

— Dziękuję. Zamyślam pozostać w Helmmouth przez dwa dni. Sir George był łaskaw zaprosić mnie do swojego domu, ale wolę mieszkać na pokładzie „Esperance”. Jeśli będzie pan miał do mnie jeszcze jakieś pytania, znajdzie mnie pan na jachcie.

Skłonił się grzecznie.

Posterunkowy Hoskins otworzył drzwi i de Sousa wyszedł.

— Bubek, picuś—glancuś — mruknął inspektor do siebie.

— Aha — posterunkowy Hoskins miał takie samo zdanie.

— Powiedzmy, że ona mogłaby być morderczynią, jeśli chcesz — mruzczał Bland sam do siebie. — Ale po co miałyby atakować pierwszą z brzegu dziewczynę? W tym nie ma żadnego sensu.

— Ze świrami to nigdy nie wiadomo — stwierdził Hoskins.

— Ale pytanie: czy ona rzeczywiście jest świrem? Hoskins potrząsnął głową jak mądrała.

— Przypuszczam, że ma niski iloraz inteligencji.

— Niech pan mi tu nie powtarza jak papuga tych nowomodnych terminów. Nie obchodzi mnie, czy ona ma wysoki, czy niski iloraz inteligencji. Interesuje mnie tylko, czy to jest kobieta, która może znaleźć przyjemność w uduszeniu dziewczyny sznurem albo też uważa to za konieczne lub za swoją powinność. I gdzie, do diabła, ta baba jest w końcu? Niech pan idzie i zobaczy, co robi Frank.

Hoskins wyszedł posłusznie, by wrócić po chwili z sierżantem Cottrellem, dziarskim młodym zarozumiałcem. Zawsze potrafił on rozzłościć przełożonego. Inspektor Bland wołał już wsiową mądrość Hoskinsa niż przemądrzaństwo zadufanego w sobie Franka Cottrella.

— Wciąż przeszukujemy teren, sir — meldował Cottrell. — Lady Stubbs nie wychodziła przez bramę, jesteśmy całkowicie pewni. Siedzi tam pomocnik ogrodnika, który sprzedaje bilety. Gotów jest przysiąc, że nie wychodziła.

— Przypuszczam, że oprócz bramy głównej są również inne wyjścia.

— O tak, sir. Przede wszystkim ścieżka do przystani promowej. Ale staruszek na nabrzeżu, nazywa się Merdell i jest tam bez przerwy, także daje głowę, że nie przechodziła. On ma już prawie sto lat, ale myślę, że można na nim polegać. Całkiem dokładnie opisał przybycie cudzoziemca w motorówce, który rozpytywał o drogę do Nasse House. Staruszek powiedział, że trzeba iść do bramy głównej i tam zapłacić za wstęp. Ale okazało się, że ten gość nic nie wie o festynie i twierdzi, że jest krewnym państwa. Merdell skierował go więc ścieżką przez las, natomiast Lady Stubbs, zapewnia, nie było na przystani w ogóle. Jest jeszcze górna brama, od której biegnie polna droga do Hoodown Park, ale to wyjście zostało zadrutowane z powodu wałęsającej się młodzieży. Wydaje się więc, że Lady Stubbs powinna być wciąż na terenie posiadłości, prawda?

— Być może — zgodził się inspektor — ale równie dobrze mogła przejść przez jakąś dziurę w płocie i powędrować w świat. Sir George stale skarży się na młodych ludzi ze schroniska obok, którzy wślizgują się tutaj bezprawnie. Skoro więc można się tu dostać omijając bramę, to można się również tak samo wydostać.

— Och, tak, bez cienia wątpliwości, sir. Ale rozmawiałem z jej pokojówką, sir. Lady Stubbs jest ubrana — Cottrell zerknął do notesu — w cyklamenową suknię z krepy żorżety (czort wie co to), wielki czarny kapelusz i szpilki, czyli pantofle na czterocalowym obcasie. To nie jest strój do chodzenia po płotach i polnych drogach.

— Nie przebierała się?

— Nie. Sprawdzaliśmy wszystko z pokojówką. Niczego z garderoby nie brakuje. Nie spakowała żadnej walizki. Nie zmieniła nawet butów. Każda para jest na miejscu.

Inspektor Bland zmarszczył brwi. Po głowie chodziły mu ponure myśli.

— Dajcie mi tu jeszcze raz — rzucił krótko — tę sekretarkę, Bruce czy jak jej tam.

II

Weszła panna Brewis, dość zaniepokojona i zdyszana.

— Pan mnie wzywał, inspektorze? Jeżeli to nie jest bardzo pilne, Sir George jest w strasznym stanie i...

— Co się z nim dzieje?

— Dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę, że Lady Stubbs jest... że jej naprawdę nie ma. Tłumaczyłam mu, że ona prawdopodobnie spaceruje gdzieś po lesie lub okolicy, ale on już jest przekonany, że coś się z nią stało. Zupełny nonsens.

— To może nie być taki nonsens, panno Brewis. W końcu mieliśmy tu jedno morderstwo tego popołudnia.

— No przecież nie myśli pan, że Lady Stubbs...? To śmieszne. Lady Stubbs umie się pilnować.

— Naprawdę?

— Oczywiście, że tak. To dorosła kobieta, prawda?

— Ale raczej bezbronna, według powszechnej opinii.

— Bzdura. Lady Stubbs po prostu udaje od czasu do czasu bezbronną, nieporadną kretynekę, żeby nie musieć nic robić. Jej mąż się na to nabiera, ale mnie, spokojna głowa, mnie nie nabierze!

— Bardzo jej pani nie lubi, panno Brewis? — Bland wydawał się lekko zaciekawiony.

Usta panny Brewis zacisnęły się w cieniutką linię.

— To nie moja sprawa lubić ją albo nie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Sir George.

— Niech pan słucha — krzyknął — musi pan coś zrobić! Gdzie jest Hattie? Musi pan znaleźć Hattie. Nie wiem, co się tu do diabła dzieje! Jakiś przeklęty maniak zabójca, udając zwykłego faceta, zapłacił pół korony, wlaź na ten sakramencki festyn i teraz spędza czas na mordowaniu ludzi. Tak to dla mnie wygląda.

— Nie trzeba tego aż tak wyolbrzymiać, Sir George. — Łatwo panu mówić, siedzi pan za stołem i robi zapiski w notesie. Chcę mieć moją żonę.

— Przeszukujemy teren, Sir George.

— Dlaczego nikt nie powiedział mi, że zniknęła? Nie ma jej już od paru godzin, jak się okazuje. Myślałem, że ona jedynie nie przyszła sędziować w dziecięcym turnieju przebierańców, ale nikt nie powiedział mi, iż zniknęła naprawdę.

— Nikt nie wiedział — wzruszył ramionami inspektor.

— No ale ktoś powinien wiedzieć, ktoś powinien to zauważyć.

Zwrócił się ku pannie Brewis.

— Ty powinnaś wiedzieć, Amando, ty tu pilnujesz porządku.

— Nie mogę być wszędzie — broniła się panna Brewis, bliska łez. — Mam tyle rzeczy na głowie. Jeżeli Lady Stubbs zdecydowała się pójść sobie...

— Pójść sobie? Dlaczego miałyby nagle sobie pójść? Nie miała powodu odchodzić, chyba że chciała uniknąć spotkania z tym mieszkańcem.

Bland wykorzystał okazję.

— Jest coś, o co chciałem pana zapytać — wtrącił się. — Czy pańska żona otrzymała jakieś trzy tygodnie temu list od pana de Sousy powiadamiający o jego przyjeździe do Anglii?

Sir George wyglądał na zdumionego.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Jest pan pewien?

— Całkowicie. Hattie powiedziała mi. Była tak zaskoczona i zdenerwowana, kiedy dostała jego list dziś rano. To ją zbiło z nóg. Całe rano leżała w łóżku z bólem głowy.

— Co powiedziała panu w cztery oczy o wizycie kuzyna? Dlaczego tak bardzo bała się spotkania z nim?

Sir George wydawał się zakłopotany.

— Naprawdę nie mam pojęcia. Powtarzała tylko, że to podły człowiek. Zły. I chciałyby, żeby on tu nie przyjeżdżał. Powiedziała, że robił złe rzeczy.

— Robił złe rzeczy? Kiedy?

— Och, dawno temu. Przypuszczam, że ten Etienne de Sousa był czarną owcą w rodzinie i Hattie utkwily w pamięci jakieś szczegóły z jego ekscesów, choć nie rozumiała ich za bardzo. I w rezultacie stał on się dla niej czymś w rodzaju potwora. Ten dziecinny strach w niej pozostał. Moja żona jest czasami dziecinna. Są rzeczy, które lubi, i takie, których nienawidzi, ale nie potrafi wyjaśnić tych upodobań i uprzedzeń.

— I nie powiedziała panu nic konkretnego, Sir George, jest pan pewien?

Sir George strapił się.

— Wolalbym nie powtarzać panu, co... co mówiła.

— Więc jednak coś powiedziała?

— No dobrze, niech się pan dowie. Powiedziała, słyszałem to kilkakrotnie: „On zabija ludzi”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I

— Zabija ludzi — powtórzył inspektor Bland,

— Nie sądzę, by powinien brać pan to zbyt serio. Powtarzała, że on „zabija ludzi”, ale nie umiała powiedzieć, kogo zabił, kiedy i dlaczego. Osobiście myślę, że to strzępy jakichś dziwacznych, dziecinnych wspomnień, ślady konfliktów rodzinnych, coś w tym rodzaju.

— Powiedział pan, Sir George, że nie umiała podać żadnych konkretów. Nie umiała, a może nie chciała?

— Nie sądzę... — urwał. — Nie wiem. Zrobił mi pan trochę zamętu w głowie. Jak mówię, nie traktuję tego poważnie. Może po prostu ten kuzyn za bardzo jej dokuczał, gdy była małą dziewczynką. Trudno to panu wytłumaczyć, bo pan mojej żony nie zna. Jestem jej oddany, ale połowy tego, co mówi, w ogóle nie słucham, bo nie ma w tym sensu. W każdym razie de Sousa nie może mieć ze sprawą nic wspólnego. Nie mówcie mi, że facet przybija tu jachtem i idzie prosto przez las do szopy, by zabić w niej tę nieszczęsną harcerkę. Dlaczego miałby to robić?

— Nie sugeruję, że coś w tym rodzaju się zdarzyło — tłumaczył inspektor Bland — ale musi pan sobie uświadomić, Sir George, iż pole poszukiwań mordercy Marleny Tucker jest bardziej ograniczone, niż mogło się to początkowo wydawać.

— Ograniczone! — Sir George spojrział zdumiony. — Ma pan do wyboru wszystkich uczestników tego diabelskiego festynu. Dwieście albo trzysta osób! Każda z nich mogła to zrobić.

— Tak myślałem na początku, ale z tego, co wiem teraz, wynika, że rzeczy mają się zupełnie inaczej. Drzwi do szopy mają zamek zatraskowy typu yale. Z zewnątrz nie można ich otworzyć bez klucza.

— Hm, są trzy klucze.

— Właśnie. Jeden z nich był końcowym tropem w turnieju Polowanie na Mordercę. Wciąż jest w skrytce obok ścieżki z hortensjami, na samym szczycie ogrodowego wzgórza. Drugi klucz ma w posiadaniu organizatorka polowania, pani Oliver. A gdzie jest trzeci, Sir George?

— Powinien być w szufladzie biurka, przy którym pan siedzi. Nie, po prawej stronie, wraz z wieloma innymi zapasowymi kluczami.

Sir George podszedł i poszperał w szufladzie.

— Tak. Jest na miejscu.

— Domyśla się pan, Sir George, co to znaczy? Po pierwsze, do szopy mógł wejść zwycięzca turnieju Polowanie na Mordercę po odnalezieniu klucza, ale, o ile wiem, klucz jest nadal w hortensjach. Po drugie, mogła wejść pani Oliver albo ktoś z tego domu z pożyczonym od niej kluczem. Po trzecie, ktoś, kogo Marlene wpuściłaby do środka sama.

— Każdego mogła wpuścić, czyż nie?

— Z pewnością nie. Jeżeli dobrze rozumiem zasady tej gry detektywistycznej, dziewczyna, słysząc, że ktoś zbliża się do szopy, powinna położyć się, udawać ofiarę i czekać, aż dotrze do niej osoba, która wcześniej odnalazła klucz w hortensjach. Natomiast na pukanie i prośbę z zewnątrz mogłaby otworzyć tylko organizatorom turnieju. A więc panu i pańskim domownikom: Lady Stubbs, pannie Brewis, pani Oliver, może panu Poirot, którego miała możliwość poznać tego ranka. Komu jeszcze, Sir George?

Sir George zastanawiał się przez moment.

— Państwu Legge, oczywiście. Alecowi i Sally Legge. Oni w tym uczestniczyli od samego początku. Michaelowi Weymanowi, to architekt, który jest tu u nas, bo projektuje pawilon do tenisa. Warburtonowi, Mastertonowi i naturalnie pani Folliat.

— To wszyscy, nikt więcej?

— Wszyscy.

— Widzi pan więc, Sir George, że pole poszukiwań nie jest szerokie.

Twarz Sir George'a spurpurowiała.

— Myślę, że opowiada pan bzdury, zupełne bzdury! Czy pan sugeruje... co pan sugeruje?

— Sugeruję tylko, że nie wiemy jeszcze bard/o wielu rzeczy. Możliwe jest na przykład, że Marlene z jakiegoś powodu wyszła z szopy. Mogła nawet zostać uduszona w innym miejscu, a później przeniesiona do budynekczku i ułożona na podłodze. Ale nawet jeśli sprawca postąpił w ten sposób, musiał dokładnie znać reguły turnieju Polowanie na Mordercę. Raz po raz dochodzimy do tej konkluzji.

Zmienił nieco ton i dodał:

— Mogę pana zapewnić, Sir George, że robimy wszystko, co możemy, by odnaleźć Lady Stubbs. Tymczasem chciałbym zamienić słowo z panem Legge, panią Legge oraz z Michaeliem Weymanem.

— Amanda.

— Zobaczą, co się da zrobić, inspektorze — obiecała panna Brewis. — Przypuszczam, że pani Legge wciąż wróży w swoim namiocie. Mnóstwo ludzi przyszło po piątej, od kiedy wstęp jest za pół ceny i wszystkie atrakcje festynu mają wielkie wzięcie. Prawdopodobnie mogę tu ściągnąć pana Legge lub pana Weymana. Którego życzy pan sobie najpierw?

— Kolejność nie ma znaczenia.

Panna Brewis kiwnęła głową i wyszła. Sir George ruszył za nią, przemawiając tonem niemal żalonym.

— Słuchaj, Amando, trzeba koniecznie... Inspektor Bland stwierdził, że Sir George musi być w wielkim stopniu uzależniony od tej energicznej, zorganizowanej panny Brewis. W tym momencie pan tego domu wydał mu się małym chłopczykiem.

Czekając inspektor Bland sięgnął po telefon i poprosił o połączenie z komisariatem w Helmmouth, aby uzgodnić z tamtejszymi policjantami szczegóły działań związanych z jachtem „Esperance”.

— Rozumie pan chyba — powiedział do Hoskinsa, który oczywiście zupełnie nie był w stanie zrozumieć niczego takiego — że absolutnie jedynym możliwym miejscem, w którym ta przeklęta baba może siedzieć, jest jacht de Sousy?

— Jak pan do tego doszedł, sir?

— No, nie była widziana przy żadnej bramie, wystroiła się jak na bal, więc nie przedziera się przez pola i lasy, ale mogła być umówiona z de Sousą obok szopy żeglarskiej. On zawiózł ją motorówką na jacht, a potem wrócił na festyn.

— A dlaczego miałby tak zrobić? — spytał zdziwiony Hoskins.

— Nie mam pojęcia i nie jest to prawdopodobne, że rzeczywiście tak zrobił. Ale jest taka możliwość. A jeżeli ona jest na „Esperance”, dopilnuję, by nie zeszła z pokładu jachtu nie zauważona.

— Ale skoro ona go tak nienawidzi... — Hoskins nie był przekonany.

— Wiemy to tylko od niej. Kobiety — powiedział inspektor sentencjonalnie — kłamią jak najęte. Niech pan zawsze o tym pamięta, Hoskins.

— Aha — skwitował posterunkowy Hoskins z ochotą.

II

Rozmowa została przerwana, bo do pokoju wszedł wysoki mężczyzna o nieokreślonym wyglądzie. Miał na sobie schludny, flanelowy garnitur, ale kołnierzyk jego koszuli był wymięty, krawat przekrzywiony, a włosy zmierzwiłone.

— Pan Alec Legge? — spytał inspektor podnosząc wzrok.

— Nie. Jestem Michael Weyman. Pan mnie wzywał?

— Tak, prosiłem pana tutaj, sir. Zechce pan usiąść — wskazał krzesło po przeciwnej stronie biurka.

— Nie, nie będę siadał, śpieszę się. A co tu robi policja? Co się stało?

Inspektor Bland popatrzył ze zdumieniem.

— Sir George nie informował pana, sir?

— Nikt nie „informował mnie”, jak pan to ujął, o niczym. Nie tuptam za Sir George’em przez cały czas. Co się stało?

— Pan przebywa w tym domu, jak rozumiem?

— Oczywiście, że przebywam w tym domu. I co w związku z tym?

— Po prostu wydawało mi się, że mieszkańcy domu powinni już być powiadomieni o tragedii, jaka wydarzyła się dziś po południu.

— O tragedii? Jakiej tragedii?

— Dziewczyna, która grała rolę zamordowanej, została zabita.

— Nie! — Michael Weyman wydawał się autentycznie zaskoczony. — Mówi pan: naprawdę zabita? Nie żadne tam fingowanie?

— Nie wiem, co pan rozumie przez fingowanie. Dziewczyna nie żyje.

— Jak została zabita?

— Udużona sznurem. Michael Weyman gwizdnął.

— Dokładnie jak w scenariuszu? No tak, to od razu narzuca pewne wnioski.

Podszedł do okna i odwrócił się gwałtownie.

— A więc podejrzenie pada na nas wszystkich, prawda? Czy to jeden z miejscowych chłopaków?

— Nie wiem, jakim sposobem mógłby to być ktoś z miejscowych chłopaków, jak pan to ujął — powiedział inspektor.

— Ja właściwie też nie wiem — przyznał Michael Weyman.

— Cóż, inspektorze, wielu znajomych nazywa mnie pomyłonym, ale nie jestem tego typu pomyłencem. Nie grasuję po okolicy, dusząc niepełnoletnie, przyszczate panienki.

— Zajmuje się pan tutaj, o ile wiem, panie Weyman, projektowaniem pawilonu tenisowego dla Sir George’a?

— Zajęcie bez zarzutu. To znaczy z punktu widzenia wymiaru sprawiedliwości. Natomiast z punktu widzenia architektury — to już nie jestem pewien. Produktem końcowym będzie pewnie morderstwo dokonane na dobrym smaku. Ale to pana nie interesuje, inspektorze. Co chciałby pan usłyszeć?

— Proszę powiedzieć mi, panie Weyman, gdzie dokładnie był pan pomiędzy godziną czwartą piętnaście i — powiedzmy — piątą dziś po południu.

— Aż tak udało się panu ten czas zawęzić? To dzięki oględzinom lekarskim?

— Niezupełnie, sir. Świadek widział dziewczynę żywą kwadrans po czwartej.

— Jaki świadek? Czy o to nie wolno pytać?

— Panna Brewis. Lady Stubbs prosiła ją, by zniosła na dół tacę z ciastkami i sokiem dla dziewczyny.

— Nasza Hattie prosiła? Nie wierzę ani przez chwilę.

— Dlaczego pan nie wierzy, panie Weyman?

— To do niej niepodobne. To nie jest sprawa, którą ona by się zajmowała, to nie leży w jej naturze. Myśli drogiej Lady Stubbs krążą wyłącznie wokół niej samej.

— Wciąż oczekuje, panie Weyman, odpowiedzi na moje pytanie.

— Gdzie byłem pomiędzy czwartą piętnaście i piętą? Naprawdę, inspektorze, trudno mi powiedzieć tak w jednej sekundzie. Kręciłem się tutaj, pan rozumie.

— Gdzie się pan kręcił?

— No, tu i tam. Trochę wśród ludzi na tym wielkim trawniku, patrzyłem, jak bawią się miejscowi, zamieniłem parę słów z tą podekscytowaną gwiazdką filmową. Potem, kiedy od tego wszystkiego zaczęło mi się zbierać na mdłości, poszedłem na kort tenisowy i obmyślałem szczegóły projektu pawilonu. Ciekaw też byłem, kiedy ktoś rozpozna pierwszy trop w Polowaniu na Mordercę, ten fragment siatki tenisowej na fotografii.

— I rozpoznał ktoś?

— Tak, wydaje mi się, że ktoś tam przechodził, ale nie zwracałem wtedy na to uwagi. Wpadłem na nowy pomysł co do pawilonu, na sposób połączenia najlepszych rzeczy z dwu światów. Ze świata Sir George'a i z mojego własnego.

— A potem?

— Potem? Przespacerowałem się z powrotem do domu. Zszedłem na przystań promową i pogawędziłem ze starym Merdellem, następnie wróciłem. Nie umiem podać dokładnie co do minuty, kiedy gdzie byłem. Jak powiedziałem na początku, kręciłem się. I to wszystko.

— Tak, panie Weyman — rzucił inspektor — spodziewam się, że te informacje zostaną potwierdzone.

— Merdell może panu powiedzieć, że z nim rozmawiałem na przystani. Ale to było raczej już po czasie, który pana interesuje. Musiała minąć pięta, kiedy schodziłem na dół. Nie zadowala to pana, inspektorze, prawda?

— Myślę, że to się da uściślić, panie Weyman. Inspektor mówił uprzejmym tonem, ale w jego głosie pobrzmiwała twarda nuta, którą wyłowiło ucho młodego architekta. Weyman przysiadł na fotelu.

— Zastanawiające, kto chciałby zamordować tę dziewczynę?

— Pan nie ma żadnych przypuszczeń, panie Weyman?

— No, tak bez namysłu powiedziałbym, że to nasza płodna autorka, Purpurowe Niebezpieczeństwo. Widział pan ten szkarłat imperialnych szat? Przypuszczam, że coś jej odbiło i odkryła, iż Polowanie na Mordercę stałoby się bardziej pasjonujące, gdyby trup był prawdziwy. Jak się panu podoba?

— Czy to poważna sugestia, panie Weyman?

— Jedyne rozwiązanie, jakie mogę wymyślić.

— Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chcę pana spytać. Czy po południu widział pan Lady Stubbs?

— Oczywiście. Któż mógłby jej nie zauważyć? Ubrana jak manekin z witryny Jacques'a Fatha lub Christiana Diora.

— Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

— Ostatni raz? Nie wiem. Gdzieś koło wpół do czwartej albo kwadrans przed czwartą przybierała pozy na trawniku.

— I potem już pan jej nie widział?

— Nie. A co?

— Zastanawiające: wydaje się, że po czwartej nikt już jej nie widział. Lady Stubbs zniknęła, panie Weyman.

— Zniknęła? Nasza Hattie?

— Zdumiało to pana?

— Tak, raczej tak... Ciekawe, co się z nią stało.

— Czy zna pan dobrze Lady Stubbs?

— Nie widziałem jej nigdy przed przybyciem tutaj, cztery czy pięć dni temu.

— Wyrobił pan sobie o niej jakieś zdanie?

— Powiedziałbym, że lepiej niż większość ludzi umie pilnować własnego interesu. Ta młoda kobieta wie doskonale, jak wykorzystać własną urodę.

— Ale umysłowo nie imponuje? Czy to prawda?

— Zależy, co pan przez to rozumie. Nie nazwałbym jej intelektualistką, ale jeśli myśli pan, że jej czegoś w głowie brakuje, jest pan w błędzie — gorzki ton zabrzmiał w głosie Weymana. — Powiedziałbym, że jest kuta na cztery nogi. Bardziej niż ktokolwiek inny.

Inspektor uniósł brwi.

— Nie jest to powszechna opinia.

— Z jakichś powodów Lady Stubbs lubi udawać matola. Nie wiem, dlaczego. Ale — jak już powiedziałem — moim zdaniem jest to osoba bardzo bystra.

Inspektor przypatrywał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

— I nie może pan uściślić pańskiej informacji co do czasu, gdzie i kiedy pan był?

— Przykro mi, niestety nie. Marną mam pamięć, a już godziny i minuty w ogóle się jej nie trzymają. Skończył pan ze mną? — spytał niecierpliwie.

Inspektor kiwnął głową, a Weyman wyszedł pośpiesznie.

— Chciałbym wiedzieć — odezwał się inspektor na wpół do siebie, na wpół do Hoskinsa — co zaszło pomiędzy nim i jaśnie panią. Albo przystawiał się do niej i dostał kosza, albo znalazła się jakaś kość niezgody. Jaka opinię ma tu w okolicy Sir George i jego dama, Hoskins?

— Ona jest stuknięta.

— Wiem, że to pańskie zdanie, Hoskins. Ale co myślą ludzie?

— To samo — odrzekł posterunkowy Hoskins.

— A Sir — George, czy jest lubiany?

— Zdecydowanie. Jest niezłym sportsmenem i sporo wie o gospodarstwie rolnym. Starsza pani bardzo tu pomogła.

— Jaka starsza pani?

— Pani Folliat, która mieszka w domku ogrodnika.

— A. jasne. To była posiadłość Folliatów, prawda?

— Tak. I to właśnie starszej pani Sir George i Lady Stubbs zawdzięczają tak dobre przyjęcie tutaj w okolicy. Wprowadziła ich do wszystkich dobrych domów.

— Brała za to pieniądze, jak pan myśli?

— Och nie, nie pani Folliat — Hoskins był prawie oburzony. — Wiem, że znała Lady Stubbs jeszcze przed jej zamążpójściem i to ona namówiła Sir George'a na zakupienie tej posiadłości.

— Muszę porozmawiać z panią Folliat — zdecydował inspektor.

— O, to bardzo łebska staruszka. Wie o wszystkim, co się tu dzieje.

— Muszę z nią porozmawiać. Gdzie ona może być teraz?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

I

Pani Folliat rozmawiała z Herkulesem Poirot w salonie. Zastał ją siedzącą w kącie tego wielkiego pokoju. Podniosła się nerwowo, gdy stanął w drzwiach. Opadła na fotel i mruknęła:

— A, to pan, panie Poirot.

— Proszę wybaczyć, *madame*. Przeszkodziłem pani.

— Nie, nie. Nie przeszkadza mi pan. Po prostu odpoczywam, to wszystko. Ten wstrząs, to było dla mnie za dużo.

— Rozumiem. Naprawdę rozumiem.

Pani Folliat, ściskając chusteczkę w małej dłoni, wpatrywała się w sufit.

— Ledwie mogę znieść samą myśl o tym — powiedziała głosem na wpół przytłumionym emocją. — Ta biedna dziewczyna. Ta biedna, biedna dziewczyna...

— Wiem — potakiwał Poirot. — Wiem.

— Taka młoda, dopiero u progu życia. Ledwie mogę znieść samą myśl o tym — powtórzyła.

Poirot patrzył na nią z zaciekawionym wyglądem — pomyślał — jakby postarzała się o dziesięć lat od wczesnego popołudnia, kiedy widział ją, pełną czaru gospodynię, witającą swoich gości. Teraz jej twarz wydawała się wymizerowana, wyraźnie rysowały się głębokie zmarszczki.

— Nie dalej jak wczoraj powiedziała mi pani, *madame*, że świat jest bardzo nikczemny.

— Tak powiedziałam? — pani Folliat zdziwiła się nieco. — To prawda. O tak, dopiero zaczynam rozumieć, jak wiele w tym prawdy. Ale nigdy nie myślałam, że coś podobnego się zdarzy.

Ponownie popatrzył na nią z zaciekawionym wyglądem.

— A myślała pani, że co się zdarzy? Coś?

— Nie, nie. Nie to miałam na myśli.

— Ale spodziewała się pani — naciskał Poirot — że coś się stanie, coś niezwykłego.

— Pan mnie źle zrozumiał, panie Poirot. Chciałam jedynie powiedzieć, że to jest ostatnia rzecz, jakiej człowiek mógłby się spodziewać podczas takiej zabawy.

— Lady Stubbs dziś rano również mówiła o nikczemności.

— Hattie? Niech pan mi o niej nie mówi, niech pan nie mówi. Nie chcę o niej myśleć.

Milczała przez chwilę, a potem spytała:

— Co Hattie powiedziała... o nikczemności?

— Mówiła o swoim kuzynie. Etienne de Sousa. Powiedziała, że był nikczemny, że zawsze był złym człowiekiem. Powiedziała również, że się go boi.

Obserwował ją. Pokręciła tylko głową z niedowierzaniem.

— Etienne de Sousa? Kto to jest?

— Ach, oczywiście, pani nie była na śniadaniu. Zapomniałem, pani Folliat. Lady Stubbs dostała list od kuzyna, którego po raz ostatni widziała będąc piętnastoletnią dziewczynką. Powiadał, że chciałby przybyć tu z wizytą dzisiaj po południu.

— I przybył?

— Tak. Był tu o wpół do piątej.

— Jasne, myśli pan o tym dość przystojnym, smagłym młodzieńcu, który nadszedł ścieżką od przystani promowej. W pewnym momencie zastanawiałam się, kto to jest.

— Tak, *madame*, to był pan de Sousa.

— Na pańskim miejscu — powiedziała żywo pani Folliat — nie zwracałabym uwagi na to, co mówi Hattie.

Zarumieniła się widząc zdumienie w oczach Poirota, ale ciągnęła dalej:
— Ona jest jak dziecko, to znaczy wszystko jest dla niej czarne albo białe, dobre albo złe. Nie ma półcieni. W ogóle nie przejmowałabym się jej słowami na temat Etienne'a de Sousy. Poirot był zdziwiony. Spytał powoli:
— Zna pani Lady Stubbs bardzo dobrze, prawda?
— Prawdopodobnie nikt nie zna jej lepiej, może nawet własny mąż. Więc?
— Jaka ona jest naprawdę, *madamel*?
— Cóż za dziwaczne pytanie, panie Poirot.
— Wie pani, czy też nie, *madame*, że nigdzie nie można znaleźć Lady Stubbs?
I znowu odpowiedź zaskoczyła Poirota. Nie było w niej ani zatroskania, ani zdumienia.
— A więc poszła sobie gdzieś, tak? Rozumiem.
— Wydaje się to pani całkiem naturalne, tak?
— Naturalne? Och, nie wiem. Hattie nie tłumaczy się ze swojego postępowania.
— Czy sądzi pani, że uciekła z powodu pewnego poczucia winy?
— Co to znaczy, panie Poirot?
— Jej kuzyn mówił dzisiaj o niej. Wspomniał, że zawsze była nie całkiem normalna umysłowo. Wiadomo pani pewnie, *madame*, że ludzie umysłowo upośledzeni nie zawsze odpowiadają za swoje czyny.
— Co pan próbuje zasugerować, panie Poirot?
— Tacy ludzie są, tak pani powiedziała, jak dzieci, mają uproszczony obraz świata. W nagłym napadzie szału mogą nawet zabić.
Pani Folliat obróciła się ku niemu gniewnie.
— Hattie nigdy nie była taka! Nie pozwolę panu wygadywać takich rzeczy. Była łagodną dziewczyną o gorącym sercu, nawet jeśli miała jakieś umysłowe niedostatki. Hattie nigdy nie zabiłaby nikogo.
Patrzyła na niego dysząc, wciąż wzburzona.
Poirot dziwił się. Bardzo się dziwił.

II

Do salonu wszedł posterunkowy Hoskins.

— Szukam szanownej pani — powiedział z przepraszającą miną.

— Dobry wieczór, Hoskins — przywitała go, odzyskując ponownie postawę pani na Nasse House. — Tak, o co chodzi?

— Inspektor przesyła wyrazy uszanowania i chciałby prosić o chwilę rozmowy, jeśli pani łaskawa — zakończył „w ugrzeczniony sposób, widząc, tak jak zauważył to wcześniej Herkules Poirot, ślady wstrząsu na twarzy starszej damy.

— Oczywiście, idę — pani Folliat powstała i ruszyła w ślad za Hoskinsem. Poirot, który również na ten moment grzecznie się uniósł, usiadł z powrotem i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w sufit.

Inspektor witał panią Folliat na stojąco, a posterunkowy uważnie podsunął jej krzesło.

— Proszę wybaczyć, że panią niepokoję, pani Folliat — zaczął Bland — ale przypuszczam, iż pani zna wszystkich ludzi w okolicy i dlatego może być nam bardzo pomocna.

— Tak — uśmiechnęła się słabo — dobrze znam wszystkich dookoła. Co chce pan wiedzieć, inspektorze?

— Zna pani Tuckerów? Rodzinę tej dziewczyny?

— O tak, oczywiście, oni zawsze byli dzierżawcami w tym majątku. Pani Tucker jest najmłodsza spośród liczego rodzeństwa. Jej najstarszy brat był u nas głównym ogrodnikiem. Ona wyszła za Alfreda Tuckera, robotnika rolnego. To człowiek głupi, ale miły. Pani Tucker jest trochę jędzowata. Dobra gospodyni, bardzo pilnuje czystości, Tucker nigdy nie śmie wejść za próg w ubłoconych butach. Często krzyczy na dzieci. Starsze już wyszły z domu, mają swoje rodziny i pracują. Została właśnie ta biedna Marlene i troje młodszych. Dwóch chłopców i dziewczynka w wieku szkolnym.

— Pani Folliat, znając tak dobrze tę rodzinę, czy może pani domyślać się jakiegokolwiek przyczyny zamordowania Marleny?

— Nie, naprawdę nie. To jest nie do uwierzenia, zupełnie nie do uwierzenia, inspektorze. Ona nie miała chłopaka, nic w tym rodzaju, tak mi się przynajmniej wydaje. W każdym razie nigdy o nim nie słyszałam.

— A co powie pani o ludziach uczestniczących w organizowaniu Polowania na Mordercę?

— Pani Oliver wcześniej nie znałam. Zupełnie nie pasuje do moich wyobrażeń o autorach kryminałów. Bardzo jest przybita, biedactwo, z powodu tego, co się stało, naturalnie.

— A osoby wspomagające, na przykład kapitan Warburton?

— Nie widzę żadnej przyczyny, dla jakiej miałby on mordować Marlene Tucker, jeżeli o to pan mnie pyta — odpowiedziała beznamiętnie pani Folliat. — Nie przepadam za nim, to jest człowiek, o, jak ja to nazywam, lisiej naturze. Jeśli jednak ktoś jest działaczem politycznym, musi posługiwać się różnymi taktycznymi sztuczkami i wybiegami. Jest z pewnością pełen energii i napracował się przy tym festynie. Nie sądzę, by mógł zabić dziewczynę również dlatego, że przez całe popołudnie przebywał na głównym placu. Inspektor pokiwał głową.

— Państwo Legge? Co pani wie o nich?

— Cóż, wyglądają na bardzo miłą młodą parę. On jest taki trochę, jak ja to nazywam, humorzasty. Nie wiem o nim wiele. Jej rodowe nazwisko brzmi Carstairs i znam bardzo dobrze paru jej krewnych. Wynajęli domek Mili Cottage na dwa miesiące i mam nadzieję, że są zadowoleni z wakacji tutaj. Wszyscy jesteście w dobrej komitywie.

— Domyślam się, że to atrakcyjna dama.

— O tak, bardzo atrakcyjna.

— Czy gdyby Sir George kiedykolwiek odczuwał jej urok, stwierdziłaby pani coś takiego?

Pani Folliat wyglądała na zdumioną.

— Och, nie, jestem pewna, że nic takiego się nie zdarzyło. Sir George jest prawdziwie pochłonięty interesami i uwielbia swoją żonę. Nie ma w sobie nic z kobieciarza.

— I sądzi pani, że pomiędzy Lady Stubbs i panią Legge nic nie było?

Pani Folliat ponownie pokręciła głową.

— Och, nie, na pewno nie.

— Nie jest pani wiadomo o żadnym konflikcie pomiędzy Sir George'em i jego żoną?

— Jestem pewna, że konfliktów nie było — powiedziała z naciskiem pani Folliat. — Gdyby coś takiego zaszło, wiedziałabym niechybnie.

— Więc zniknięcie Lady Stubbs nie może być wynikiem żadnego nieporozumienia pomiędzy mężem i żoną?

— Och, nie — powiedziała nieco bagatelizującym tonem. — Domyślam się, że ta głupia dziewczyna nie chciała się spotkać z kuzynem. Jakaś dziecienna fobia. Uciekła, tak jak uciekają dzieci.

— Taka jest opinia pani. I nic więcej?

— Jestem przekonana, że niebawem zobaczymy ją tu z powrotem. I pewnie będzie jej trochę głupio. A jaki jest ten kuzyn? — spytała bez zainteresowania. — Czy nadal przebywa w Nasse?

— Chyba wrócił na jacht.

— Jacht stoi w Helmmouth, prawda?

— Tak, w Helmmouth.

— Szkoda, że Hattie zachowuje się tak dziecinnie. Jeśli jednak kuzyn zostaje tu na dzień lub dłużej, możemy przypilnować, by sprawowała się jak należy.

Inspektor zrozumiał, że to jest raczej pytanie niż stwierdzenie, ale nie odpowiedział.

— Być może nie dostrzega pani bezpośredniego związku naszych działań z tym tragicznym zdarzeniem, ale trzeba zdawać sobie sprawę z konieczności szerszego rozpoznania. Panna Brewis na przykład. Co pani wie o panie Brewis?

— No, jest znakomitą sekretarką. Więcej niż sekretarką. Praktycznie funkcjonuje jako zarządca domu. Prawdę mówiąc nie wiem, co oni zrobiliby bez niej.

— Czy była sekretarką Sir George'a, zanim się ożenił?

— Chyba tak. Nie jestem całkiem pewna. Poznałam ją dopiero w dniu, kiedy tu zamieszkali.

— Panna Brewis nie lubi Lady Stubbs, prawda?

— Tak. Obawiam się, że to prawda. Te dobre sekretarki przeważnie są wrogo nastawione do żon swoich szefów. Może to naturalne.

— Czy to pani, czy Lady Stubbs prosiła pannę Brewis o zanieśenie ciasta i soku dla dziewczyny w szopie żeglarskiej?

Pani Folliat spojrzała z pewnym zdziwieniem.

— Pamiętam, że panna Brewis brała jakieś ciastka i coś jeszcze i mówiła, że musi to zanieść Marlenie, ale nie wiedziałam, że ktokolwiek ją o to prosił. Na pewno nie ja.

— Rozumiem. Powiedziała pani, że od godziny czwartej była w namiocie herbaciarni. Przypuszczam, że pani Legge przyszła na herbatę w tym czasie.

— Pani Legge? Nie, chyba nie. W każdym razie nie pamiętam, bym ją tam widziała. Właściwie to jestem pewna, że jej tam nie było. Mnóstwo gości przyjechało autobusem z Torquay, wydawało mi się, że wszyscy to urlopowicze, bo nie mogłam znaleźć ani jednej znajomej twarzy. Myślę, że pani Legge musiała przyjść na herbatę później.

— Dobrze, to nieważne. Myślę, że to już wszystko. Dziękuję, była pani bardzo uprzejma, pani Folliat. Możemy mieć tylko nadzieję, że Lady Stubbs powróci niebawem.

— Ufam, że tak będzie. Drogie dziecko zachowało się bardzo bezmyślnie i wszyscy się niepokoiimy — pani Folliat siłała się na lekko optymistyczny ton, ale nie brzmiało to naturalnie. — Jestem pewna, że z nią wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

W tej chwili otworzyły się drzwi i w progu stanęła atrakcyjna młoda kobieta o rudych włosach i piegowatej twarzy.

— Słyszałam, że pan pytał o mnie — powiedziała.

— To jest pani Legge, inspektorze — przedstawiła Amy Folliat. — Sally, kochanie, nie wiem, czy słyszałaś o tej okropnej rzeczy, która się tu stała?

— Och, tak! Potworne, prawda? — Sally Legge westchnęła donośnie, a po wyjściu pani Folliat opadła na fotel.

— Strasznie mi przykro w związku z tym wszystkim. Naprawdę aż trudno w to uwierzyć, rozumie pan. Obawiam się, że nie będę w stanie wiele panu pomóc. Widzi pan, całe popołudnie wróżyłam, więc w ogóle nie wiem, co się działo.

— Tak, oczywiście, pani Legge. Musimy jednak zadać wszystkim te same, rutynowe pytania. Na przykład, gdzie była pani pomiędzy czwartą piętnaście i piątą po południu?

— O czwartej wyszłam na herbatę.

— Do tej herbaciarni pod namiotem?

— Tak.

— Był tam tłok, przypuszczam.

— Och, straszny ścisk.

— Widziała tam pani kogoś znajomego?

— Parę starszych osób, tak. Ale nikogo, z kim chciałabym porozmawiać. O rany, jak mi się chciało pić! To było o czwartej, jak mówiłam. O wpół do piątej wróciłam do namiotu wróżki i znowu robiłam swoje. Co ja tam wygadywałam, obiecywałam kobietom małżeństwa z milionerami, kariery w Hollywood i Bóg wie co jeszcze. Zwykle podróże morskie i podejrzanе brunetki — to już wydawało się zbyt banalne.

— A co się działo przez te pół godziny pani nieobecności? Przypuśćmy, że ludzie wtedy przychodzili, by przepowiedziała im pani przyszłość.

— Powiesiłam kartkę na namiocie: „Wracam o wpół do piątej”.

Inspektor zapisał coś w notesie.

— Kiedy widziała pani Lady Stubbs po raz ostatni?

— Hattie? Nie wiem dobrze. Była w pobliżu, kiedy wychodziłam na herbatę ze swojego namiotu, ale nie rozmawiałam z nią. Nie pamiętam, żebym ją później widziała. Ktoś mi teraz mówił, że jej nie ma. Czy to prawda?

— Tak, prawda.

— Ach, wie pan — powiedziała pogodnie Sally Legge — ona ma lekkiego świra. Twierdzę, że wystraszyła się na wieść o morderstwie.

— Cóż, dziękuję, pani Legge.

Sally Legge z ochotą skorzystała z tego przyzwolenia na wyjście. W drzwiach minęła się z Herculesem PoiroL

III

— Pani Legge twierdzi, że była w herbaciarni —rekapitułował inspektor patrząc w sufit — pomiędzy czwartą i wpół do piątej. Pani Folliat mówi, że pomagała podawać herbatę od czwartej i pani Legge tam nie było.

Zrobił pauzę, a potem kontynuował:

— Panna Brewis opowiada, że Lady Stubbs kazała jej zanieść tacę z ciastkami i sokiem dla Marleny Tucker. Michael Weyman uważa, że to niemożliwe, by Lady Stubbs troszczyła się o małą Tucker, oświadczył, że to zupełnie nie w jej naturze.

— Ach, sprzeczne zeznania! Zawsze się ich wysłuchuje — uspokajał Poirot.

— I ile roboty z wyjaśnianiem tego wszystkiego —westchnął inspektor. — Czasem te sprzeczności mają znaczenie, ale w dziewięciu wypadkach na dziesięć okazują się zupełnie nieistotne. W każdym razie mnóstwo rzeczy jest do sprawdzenia.

— I co pan myśli w tym momencie, *mon cher*¹⁰? Jaka lysuje się hipoteza?

— Myślę — odpowiedział z powagą inspektor — że Marlene Tucker widziała coś, czego nie powinna widzieć. I z tego właśnie powodu została zabita.

— Nie kwestionowałbym pańskich przypuszczeń —oświadczył Poirot. — Pytanie tylko: co widziała Marlene Tucker?

— Mogła widzieć morderstwo albo osobę, która popełniła morderstwo.

— Morderstwo? A kto został zamordowany?

— Jak pan myśli, Poirot? Lady Stubbs żyje czy nie? Poirot odpowiedział dopiero po chwili.

— Myślę, *mon ami*¹¹, że Lady Stubbs nie żyje. Powiem panu, dlaczego tak myślę. Otóż dlatego, że takiego zdania jest pani Folliat. Tak, bez względu na to, co w tej chwili może powiedzieć, udawać, pani Folliat sądzi, że Lady Stubbs nie żyje. Pani Folliat — dodał Poirot — wie mnóstwo rzeczy, których my nie wiemy.

¹⁰ *fr.* mój drogi

¹¹ *fr.* mój przyjacielu

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy Herkules Poirot zszedł na śniadanie następnego ranka, jadalnia świeciła pustkami. Pani Oliver, wciąż cierpiąca na skutek szoku, poprosiła o posiłek do łóżka. Michael Weyman wypił filiżankę kawy i szybko wyszedł. Przy stole siedział jedynie Sir George i wierna panna Brewis. Jedzenie na talerzu Sir George'a pozostawało jednak nie tknięte, co było nieomylnym świadectwem fatalnego stanu ducha. Odsunął na bok niewielki plik listów, które po otwarciu położyła przed nim panna Brewis. Pił kawę w taki sposób, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

— Dzień dobry, panie Poirot — bąknął i ponownie pogrążył się w ponurej zadumie. Od czasu do czasu wydawał z siebie gwałtowne pomruki.

— To nie do wiary, przekłeta sprawa. Gdzie ona może być?

— Urzędowe orzeczenie przyczyn zgonu Marleny Tucker nastąpi w czwartek w Instytucie — powiadomiła panna Brewis. — Dzwonili do nas z informacją.

Sir George patrzył na nią jakby nie rozumiejąc.

— Orzeczenie? Aha, tak, oczywiście — powiedział z nieprzytomną miną, zupełnie nie zainteresowany. Po dwóch łykach kawy dodał:

— Kobiety są nieobliczalne. Co ona robi, co sobie wyobraża?

Panna Brewis zacisnęła usta. Bystre oko Poirota zaobserwowało, że jest w stanie okropnego napięcia nerwowego.

— Hodgson zapowiedział się do pana na dziś rano — zaanonsowała — w sprawie elektryfikacji obór. A o dwunastej jest...

— Nikogo nie przyjmuję — przerwał jej Sir George. — Odpraw wszystkich. Co ty, do diabła, myślisz, że mężczyzna może zajmować się interesami, kiedy z niepokoju o żonę odchodzi od zmysłów?

— Jak pan sobie życzy, Sir George — panna Brewis była bardzo rozdrażniona.

— Nigdy nie wiadomo, co kobiecie strzeli do głowy, jakich głupstw nawyprawia! Zgadza się pan? — Sir George rzucił pytanie do Poirota.

— *Les femmes*¹²! One są nieobliczalne — Poirot uniósł brwi i ręce w galijskiej emfazie. Panna Brewis z irytacją wydmuchała nos w chusteczkę.

— Wydawało się, że wszystko z nią w porządku — rozpamiętywał Sir George. — Diabelnie zadowolona z nowego pierścionka, wystrojona poszła bawić się na festynie. Wszystko jak zawsze. Nie było przecież najmniejszej sprzeczki między nami. I poszła sobie bez słowa.

— Co do korespondencji, Sir George... — zaczęła panna Brewis.

— Do cholery z tymi przekłętymi listami! — Sir George zepchnął na bok filiżankę z kawą, chwycił plik pism leżących obok talerza i cisnął je w stronę panny Brewis.

— Odpisz, co ci się podoba! Nie obchodzi mnie to. Cóż ja mogę zrobić... — ciągnął już do siebie zboliałym głosem. — Nawet nie wiem, co to za policjant. Takie gładkie słówka, czy on coś wart?

— Policja jest bardzo sprawna — zapewniła panna Brewis. — Mają rozbudowany system poszukiwania osób zaginionych.

— Czasem minie parę dni, zanim znajdą jakiegoś szczeniaka, który uciekł z domu i schował się w stogu siana.

— Nie przypuszczam, by Lady Stubbs mogła ukrywać się w stogu siana, Sir George.

— Co tu można zrobić? Wiesz co, dam ogłoszenie do gazet. Zapisz, Amando, dobrze?

Zastanawiał się chwilę.

¹² *fr.* Kobiety

— „Hattie. Proszę, wróć do domu. Zrozpaczony George”. Do wszystkich gazet, Amando.

— Lady Stubbs rzadko czytuje gazety, Sir George — powiedziała cierpko panna Brewis.

— Nie interesuje się wydarzeniami w kraju ani za granicą. Można oczywiście dać anons do „Vogue” — dodała złośliwie, ale Sir George nie był w nastroju do wyłapywania złośliwości.

— To może jej wpaść w oko.

— Gdzie uważasz, ale puść to — polecił po prostu. Wstał i ruszył ku drzwiom. Położył rękę na klamce, zatrzymał się, a następnie cofnął się o parę kroków.

— Panie Poirot — spytał — nie myśli pan chyba, że ona nie żyje?

— Muszę powiedzieć — Poirot utkwiał wzrok w filiżance kawy — że jest o wiele za wcześnie na formułowanie wniosków tego rodzaju. Na razie nie ma podstaw do takiej konkluzji.

— A więc pan tak jednak myśli — Sir George kręcił ponuro głową. — A ja nie wierzę! Twierdzą, że z nią wszystko w porządku.

Kręcąc coraz mocniej głową na znak niezgody, wyszedł i zatrzasnął drzwi za sobą.

Poirot w zamyśleniu smarował grzanekę masłem. Gdy w wyniku morderstwa ginęła kobieta zamężna, Poirot automatycznie podejrzewał jej męża. Podobnie, jeśli ofiarą zabójstwa był mężczyzna żonaty, detektyw najpierw i; Zastanawiał się, czy sprawczynią nie jest żona.

W tym jednak wypadku nie sądził, by Sir George mógł zrobić to z Lady Stubbs. Krótka obserwacja pozwoliła mu nabrać przekonania, że był on naprawdę oddany żonie. Co więcej, na ile mógł ufać swojej pamięci, a wciąż była przecież wysmienita, Sir George przebywał bez przerwy na głównym placu festynowym aż do momentu, gdy Poirot odszedł stamtąd wraz z panią Oliver, by odkryć zwłoki nieszczęsnej dziewczyny. Sir George był wciąż w centrum zabawy, gdy powrócili z wiadomością. Nie, to nie Sir George odpowiadał za śmierć Hattie. O ile oczywiście Hattie w ogóle została zabita. W końcu — powiedział sobie Poirot — do tej pory nie ma podstaw, by tak twierdzić. Przekonywał o tym przed chwilą pana Stubbsa, ale w gruncie rzeczy raczej nie miał złudzeń: wszystko układało się w schemat morderstwa, podwójnego morderstwa.

Panna Brewis przerwała te rozmyślania, odzywając się łzawo a zarazem jadowicie.

— Mężczyźni są takimi głupcami, takimi zupełnymi głupcami! Wygląda taki na wielkiego spryciarza, a potem żeni się z całkowicie nieodpowiednią kobietą.

Poirot niezmiennie uważał, że trzeba pozwolić ludziom mówić. Im więcej słyszał od ludzi, im więcej powiedzieli, tym lepiej. Prawie zawsze wśród plew znajdowało się ziarno.

— Sądzi pani, że to było niezbyt udane małżeństwo?

— Fatalne, wprost katastrofa.

— Uważa pani, że nie byli szczęśliwi razem?

— Ona miała na niego wyłącznie zły wpływ pod każdym względem.

— To bardzo intrygujące. Jakiego rodzaju zły wpływ?

— Biegał wte i wewte na jej skinienie, wyciągała od niego kosztowne prezenty, o wiele więcej biżuterii, niż może włożyć na siebie jedna kobieta. Futra. Dwa z nerek i jedno z rosyjskich gronostajów. Chciałabym wiedzieć, po co jednej kobiecie dwa futra z nerek.

— Na to pytanie nie umiem dać odpowiedzi — pokręcił głową Poirot.

— Wredna obłudnica! — piętnowała w dalszym ciągu panna Brewis. — Zawsze udawała niedorozwiniętą, zwłaszcza przy gościach. Chyba uważała, że jako matolek bardziej mu się podoba!

— I podobała się bardziej?

— Ach, ci mężczyźni! — głos panny Brewis drżał na granicy hysterii. — Nie cenią w ogóle oddania, kompetencji, lojalności, żadnego z tych walorów! Teraz z mądrą, zdolną żoną Sir George będzie mógł zająć wysoko.

— Zająć dokąd? — spytał Poirot.

— No, zająć wysokie stanowisko we władzach lokalnych. Albo wystartować w wyborach do parlamentu. Jest o wiele zdolniejszym człowiekiem niż biedny pan Masterton. Nie wiem, czy słyszał pan kiedyś przemawiającego Mastertona. Wątpię, czy ktoś jeszcze .tak duka i nudzi. Swoją pozycję całkowicie zawdzięcza żonie. To ona dyryguje wszystkim zza fotela poselskiego, ona ma energię, inicjatywę i orientację w świecie politycznym.

Dreszcz przeszedł Poirota, bo wyobraził sobie przez moment, że jest mężem pani Masterton, ale ze słowami panny Brewis zgadzał się całkowicie.

— Tak — przyznał — ona naprawdę jest taka. *Femme formidable*¹³ — mruknął do siebie.

— Sir George nie jest przesadnie ambitny. Wydaje się, że zadowala go życie na prowincji w roli ziemianina i wizyty w Londynie od czasu do czasu na posiedzeniach tych wszystkich zarządów w mieście, ale przecież ze swoimi zdolnościami mógłby osiągnąć o wiele więcej. To naprawdę wybitny człowiek, panie Poirot. Ta kobieta nigdy go nie rozumiała. Traktuje go jak rodzaj automatu do wyrzucania z siebie futer, biżuterii, drogich strojów. Gdyby ożenił się z kimś, kto naprawdę docenia jego zdolności... — w głosie jej zabrzmiała niepewność. Urwała.

Poirot patrzył na nią z prawdziwym współczuciem. Panna Brewis kochała się w swoim pracodawcy. Darzyła go wiernością, lojalnością, żarliwym oddaniem, a on o tym wszystkim prawdopodobnie w ogóle nie wiedział i na pewno nie był zainteresowany. Dla Sir George'a Amanda Brewis była wydajną maszyną, która wyręczała go w codziennych nużących pracach, przyjmowała telefony, odpisywała na listy, zatrudniała służbę, nadzorowała kuchnię i ogólnie ułatwiała życie. Czy kiedykolwiek pomyślał o niej jak o kobiecie? Poirot wątpił. To niebezpieczne — pomyślał. Kobieta ignorowana przez mężczyznę, który jest obiektem jej uczucia, może doprowadzić się do hysterii.

— Fałszywa kocica, wredna intrygantka, ot, czym ona jest — wyszlochała panna Brewis.

— Mówi pani „jest”, a nie „była” — zauważył Poirot.

— Oczywiście. Żadna z niej nieboszczka! — wykrzyknęła szyderczo panna Brewis. — Uciekła z facetem i tyle. To w jej stylu.

— Możliwe. To zawsze jest możliwe — zgodził się Poirot. Sięgnął po następną grzanekę, smętnym wzrokiem otaksował słoik z marmoladą i rozejrzał się po stole w poszukiwaniu jakiegoś dżemu. Nie było żadnego, więc zrezygnowany zadowolił się masłem.

— To jedyne wyjaśnienie — stwierdziła panna Brewis — ale jemu to oczywiście nie przejdzie przez myśl.

— Czy były jakieś problemy... z mężczyznami? — spytał oględnie Poirot.

— Och, ona jest bardzo sprytna.

— Więc nie spostrzegła pani niczego w tej materii?

— Bardzo uważała, bym nie spostrzegła.

— Ale sądzi pani, że były jakieś, jak to określić, ukrywane epizody?

— Bardzo starała się zwrócić w głowie Michaelowi Weymanowi. Zaciągnęła go do ogrodu kameliowego. Oglądać kamelie o tej porze roku! Udawała, że ogromnie interesuje ją pawilon tenisowy.

— Ale przecież to jest powód jego przyjazdu tutaj, a poinformowano mnie też, że Sir George wznosi pawilon przede wszystkim dla sprawienia przyjemności żonie.

— Ona wcale nie jest dobra w tenisie. W niczym nie jest dobra, w żadnym sporcie. Ona chce się po prostu rozsiać wystrojona, a inni niech się wysilają. O tak, robiła, co mogła, żeby omotać Michaela Weymana. Pewnie by się jej to udało, gdyby on nie pił akurat z całkiem innego dzbana.

— Aha — Poirot wziął jednak odrobinę marmolady, nałożył na skraj grzanki i ugryzł bez przekonania — więc on pił akurat z całkiem innego dzbana, pan Weyman?

¹³ *fr.* Straszna baba

— To pani Legge rekomendowała go Sir George'owi — wyjaśniła panna Brewis. — Znała go jeszcze ze swoich czasów panińskich. To było w Chelsea, więc wszystko jasne. Ona kiedyś malowała, wie pan.

— Wygląda na bardzo atrakcyjną i inteligentną młodą kobietę — ni to stwierdził, ni to zapytał Poirot.

— Och, tak, jest bardzo inteligentna. Ma wykształcenie uniwersyteckie i jestem pewna, że zrobiłaby karierę, gdyby nie wyszła za mąż.

— Od dawna jest mężatką?

— Około trzech lat, zdaje się. Nie sądzę, by było to bardzo udane małżeństwo.

— Z powodu niezgodności charakterów?

— On jest bardzo humorzystycznym dziwakiem. Dużo spaceruje samotnie. Słyszałam parę razy, jak był naprawdę przykry dla swojej żony.

— Cóż — bagatelizował Poirot — kłótnie i pojednania są normalne w pierwszych latach małżeństwa. Kto wie, czy bez nich życie nie byłoby monotonne.

— Spędziła mnóstwo czasu z Michaeliem Weymanem od chwili jego przyjazdu tutaj. Myślę, że on się w niej kochał, zanim poślubiła Aleca Legge. Natomiast dla niej to tylko flirt.

— Pan Legge nie był chyba tym uszczęśliwiony?

— Z nim nigdy nie wiadomo, jest taki tajemniczy. Ale wydaje mi się, że ostatnio był jeszcze bardziej fumiasty niż zwykle.

— On też adorował Lady Stubbs?

— Powiem, że ona jest o tym przekonana. Uważa, że tylko kiwnie palcem na któregokolwiek dżentelmena, a już pada jej do nóg zakochany!

— W każdym razie, jeśli uciekła z mężczyzną, jak pani sugeruje, nie był to pan Weyman, bo on wciąż jest tutaj.

— To ktoś, z kim spotykała się po kryjomu, nie mam wątpliwości. Ona często wymyka się cichaczem z domu do zagajnika. Wychodziła przedwczoraj wieczorem. Ziewała i mówiła, że chce iść spać. A pół godziny później widziałam, jak w chuście na głowie przekradała się od bocznego drzwi w stronę parku.

Poirot patrzył zadumany na siedzącą naprzeciw niego kobietę. Zastanawiał się, czy można polegać na czymkolwiek, co panna Brewis mówi o Lady Stubbs, czy w całości jest to tylko wyraz jej swoistych życzeń. Pani Folliat — był pewien — nie podziela opinii panny Brewis, a przecież zna Hattie o wiele lepiej. Pannie Brewis bardzo by odpowiadało, by Lady Stubbs uciekła z kochankiem. Jej powinnością byłoby wówczas ukoić ból porzuconego męża i biegle przygotować sprawę rozwodową. To jednak nie czyniło hipotezy o ucieczce z kochankiem prawdziwą, ani nawet prawdopodobną lub choćby możliwą. Bardzo dziwny moment wybrałaby Hattie Stubbs na swoje odejście — pomyślał Poirot. Osobiście nie wierzył w to.

— Jeżeli Sir George naprawdę chce mieć to ogłoszenie w prasie — panna Brewis prychnąwszy pogardliwie zbierała listy ze stołu — to lepiej się tym zajmę. Zupełny nonsens i strata czasu. Och, dzień dobry, pani Masterton — zakończyła powitaniem, bo żona posła otworzyła właśnie zamasyście drzwi i wkroczyła do jadalni.

— Orzeczenie przyczyn zgonu jest zapowiedziane na czwartek, słyszę — zadudniła. — Witam, panie Poirot.

— Czy mogę coś dla pani zrobić, pani Masterton? — spytała panna Brewis, unosząc plik listów.

— Nie, dziękuję, panno Brewis. Przypuszczam, że ma pani dziś mnóstwo spraw na głowie. Chcę tylko wyrazić pani podziękowanie za wkład we wczorajszą imprezę. Jest pani ogromnie pracowita i obdarzona wyjątkowym talentem organizatorskim. Wszyscy jesteśmy bardzo wdzięczni.

— Dziękuję, pani Masterton.

— Nie zatrzymuję pani. Chcę usiąść i zamienić słowo z panem Poirot.

— To prawdziwy zaszczyt dla mnie, *madame* — Poirot wstał i skłonił się.

Pani Masterton przysunęła krzesło i usiadła. Panna Brewis, odzyskując swą zwykłą klasę, opuściła jadalnię.

— Wspaniała kobieta — ogłosiła pani Masterton. — Nie wiem, co Stubbsowie zrobiliby bez niej. Prowadzenie domu w obecnych czasach nie jest rzeczą błahą. Biedna Hattie nie dałaby sobie z tym rady. Okropną mamy sprawę, panie Poirot. Przychodzę zapytać, do jakich wniosków pan doszedł.

— A pani, co o tym myśli, *madame*?

— Cóż, to wszystko jest straszne, ja powiedziałabym, — że jakiś patologiczny typ musiał się znaleźć w tych stronach. Nietutejszy, mam nadzieję. Być może wypuszczony z domu wariatów, w tych czasach zwalniamy na pół wyleczonych pacjentów. Przecież nikomu normalnemu, jak sądzę, nie przyszłoby do głowy udusić tę dziewczynę od Tuckerów. Tu nie może być żadnego motywu, to znaczy oprócz impulsów kierujących szaleńcem. Wiec jeśli ten człowiek jest wariatem, to pewnie udusił on również nieszczęsną Hattie Stubbs. Jeżeli ona napotkała normalnie wyglądającego mężczyznę, który powiedział jej, że ma coś ciekawego do pokazania gdzieś pod drzewami, to pewnie poszła za nim pokorna jak cielę, niczego nie podejrzewając.

— Sądzi pani, że jej ciało jest na terenie posiadłości?

— Tak sądzę, panie Poirot. Znajdzie się podczas poszukiwań. Musi pan pamiętać, że to jest ponad dwadzieścia pięć hektarów terenów leśnych, potrzeba czasu, żeby to starannie przeczesać. Zwłoki mogły być rzucone w krzaki lub zepchnięte ze zbocza w jakiś dół. Trzeba użyć ogarów, bloodhoundów — orzekła pani Masterton, a komunikując to sama ogromnie była podobna do bloodhunda. — Bloodhoundy! Powinnam osobiście zadzwonić do szefa policji i powiedzieć mu o tym.

— Bardzo możliwe, że ma pani słuszość, *madame* — Poirot był zdania, że to jedyna odpowiedź, jaką można dać pani Masterton.

— Oczywiście mam słuszość, ale chcę powiedzieć, że niepokoi mnie fakt, iż ten typ gdzieś tu się kręci. Muszę ostrzec matki we wsi, żeby pilnowały córek, niech nie pozwalają im nigdzie chodzić samotnie. To nieprzyjemna myśl, panie Poirot, że gdzieś w pobliżu czai się morderca.

— Jeden drobiazg, *madame*. Jak obcy człowiek zdołał wejść do szopy żeglarskiej? Do tego potrzebny jest klucz.

— Och, to nic trudnego. Ona wyszła na zewnątrz,

— Wyszła z szopy?

— Tak. Przypuszczam, że zaczęła się nudzić, jak to dziewczyny. Pewnie wyszła z szopy i rozglądała się dookoła. Najbardziej prawdopodobne jest, że widziała zabójstwo Hattie Stubbs. Usłyszała odgłosy walki, coś w rym rodzaju i podeszła zobaczyć, co się dzieje. A bandyta, kiedy uporał się już z Lady Stubbs, musiał ubić również dziewczynę. Nie było rzeczą trudną zanieść ją z powrotem do szopy i rzucić na podłogę. Wychodząc pociągnął za sobą drzwi. Tam jest zamek yale, więc drzwi się zatrzasnęły.

Poirot lekko skinął głową. Nie miał zamiaru polemizować z panią Masterton. Nie zamierzał zwracać jej uwagi na fakt, całkowicie przez nią przeoczony, że ktoś, kto zabiłby Marlenę Tucker na zewnątrz szopy, musiałby jednak dobrze znać zasady Polowania na Mordercę, skoro ułożył ciało dokładnie w miejscu i pozycji przewidzianej scenariuszem. Zamiast tego powiedział cicho:

— Sir George wierzy, że jego żona wciąż żyje.

— Mówi tak, człowieku, bo chce w to wierzyć. Bardzo był jej oddany, rozumie pan. Lubię George'a Stubbsa — dorzuciła dość nieoczekiwanie — bo mimo swojego pochodzenia, mimo że jest mieszczuchem i tak dalej, doskonale wrósł w nasze hrabstwo. Najgorsze, co można mu zarzucić, to snobizm. Ale przecież towarzyskie snobowanie się jest zupełnie nieszkodliwe.

— W obecnych czasach, *madame*, pieniądze z powodzeniem zastępują szlachetne pochodzenie — zauważył nieco cynicznie Poirot.

— Nie mogę się z tym zgodzić, mój drogi panie. On nie potrzebował się snobować. Mógł tylko kupić majątek, rzucać trochę pieniędzmi dookoła — i tak byśmy wszyscy do niego przyszli! Ale naprawdę ten człowiek jest lubiany. To nie tylko kwestia jego pieniędzy. Oczywiście Amy Folliat znacznie się do tego przyczyniła. Bardzo ich popierała, a musi pan wiedzieć, że ona ma wielkie wpływy w tych stronach. Cóż, ród Folliatów trwał tu od epoki Tudorów.

— Zawsze był Folliat w Nasse House — mruknął Poirot do siebie.

— Tak — westchnęła pani Masterton. — To smutne, wojna zebrała tu wielkie żniwo. Młodzi zginęli w walce, potem były podatki spadkowe i to wszystko. Ogromnie trudno takie majątki utrzymać, więc idą na sprzedaż...

— Ale pani Folliat, chociaż straciła własny dom, wciąż mieszka na terenie posiadłości.

— Tak. Zamieniła ten domek ogrodnika w pełne uroku miejsce. Był pan w środku?

— Nie, jedynie pod drzwiami.

— Nie każdy zdecydowałby się na coś takiego. Mieszkać w domku ogrodnika na terenie swojej rodowej posiadłości i patrzeć, jak urządzają się w niej obcy. Ale muszę oddać sprawiedliwość Amy Folliat i zaznaczyć, że ona nie ma pretensji do losu. W gruncie rzeczy sama wszystko ułożyła. Bez wątpienia natchnęła Hattie myślą o zamieszkaniu tutaj, a potem już we dwie przekonały do tego George'a Stubbsa. Rzecz w tym, jak sądzę, że Amy Folliat nie mogła znieść myśli o urządzeniu w jej domu rodzinnym jakiegoś hotelu, zakładu albo o rozparcelowaniu majątku.

Podniosła się z krzesła.

— No, na mnie już czas. Jestem bardzo zajęta kobietą.

— Oczywiście. Niech pani porozmawia z szefem policji o bloodhoundach.

Pani Masterton wybuchnęła głębokim, podobnym do ujadania śmiechem.

— Kiedyś hodowałam psy tej rasy. Ludzie mówią, że sama jestem trochę podobna do bloodhunda.

Poirot drgnął słysząc takie wyznanie. Nie uszło to uwagi pani Masterton.

— Założę się, że pan też tak myśli, panie Poirot.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Niedługo po pani Masterton z jadalni wyszedł również Poirot i skierował się do lasu. Jego nerwy nie były w najlepszym stanie. Czuł nieodpartą chęć zajrzenia za każdy krzak i na każdą kępę rododendronów patrzył jak na miejsce, w którym mogły być ukryte zwłoki. Dotarł w końcu do gloriety, wszedł do środka i usiadł na kamiennej ławie, by dać odpoczynek stopom, obciśniętym jak zawsze szlachetną skórą butów o ostrych szpicach.

Poprzez gałęzie drzew widział pobłyskującą słabo rzekę i zalesiony przeciwległy brzeg. To nie było odpowiednie miejsce na tego rodzaju kaprysy architektoniczne, Weyman ma rację — pomyślał Poirot. Można zrobić jakieś przecinki między drzewami, ale i tak nie będzie tu nigdy prawdziwej panoramy. Natomiast — tak jak mówił młody architekt — na szczycie trawiastego zbocza w pobliżu domu ta sama glorieta byłaby znakomitym punktem widokowym, z którego można by podziwiać dolinę rzeki aż po Helmmouth. Myśli Poirota przeniosły się nagle na jacht „Esperance” stojący w Helmmouth i na Etienne’a de Souse. Ta cała sprawa musi ułożyć się w jakiś logiczny ciąg, ale Poirot nadal nie mógł dostrzec nawet jego zarysu. Jedynie oderwane skrawki wyłaniały się i kusily tu i tam.

Jakiś błysk przyciągnął nagle oko Poirota. Pochylił się i z wąskiej szczeliny w posadzce wyjął migotliwy drobiazg. Trzymał go na dłoni i patrzył, odnosząc wrażenie, że chyba poznaje. Był to malutki złoty wisiołek w kształcie samolocika. Zmarszczył brwi i zobaczył w pamięci ten obraz. Bransoleta. Złota bransoleta z dyndającymi wisiorkami. Znowu siedział w namiocie, a głos *Madame* Zuleiki alias Sally Legge mówił mu o brunetkach, podróżach morskich i liście zwiastującym uśmiech losu. Tak, miała bransoletę z mnóstwem malutkich złotych wisiorków. Nawrót mody, którą Poirot kojarzył ze swoją młodością. Pewnie dlatego zauważył i zapamiętał tę ozdobę. Więc pani Legge musiała siedzieć tu w gloriecie i wtedy jeden z wisiorków oderwał się od bransolety. Pewnie tego nawet nie zauważyła. To mogło być wczoraj po południu.

Poirot zamyślił się nad tym. Po chwili usłyszał kroki w pobliżu i szybko podniósł wzrok. U wejścia do gloriety stał szczupły mężczyzna, zaskoczony wyraźnie obecnością Poirota. Miał na sobie koszulkę w żółwie i jakieś potwory morskie. To był strój nie do pomylenia. Poirot natknął się na tego młodzieńca wczoraj na festynie, dosłownie wszedł na niego.

Zauważył, że przybysz jest nadzwyczaj zmieszany.

— Proszę wybaczyć... nie wiedziałem... — tłumaczył się pośpiesznie i nieskładnie. Mówił z obcym akcentem.

— Przykro mi, ale to jest teren prywatny — strofował go Poirot, uśmiechając się jednak łagodnie.

— Tak, bardzo przepraszam.

— Pan jest ze schroniska?

— Tak. Tak, ze schroniska. Myślałem, że tędy, być może, da się zejść przez las na przystań.

— Obawiam się, że musi pan wrócić tam, skąd pan przyszedł. Tędy nie ma przejścia.

— Przepraszam. Bardzo przepraszam — młodzian odsłonił zęby w sztucznym uśmiechu, skłonił się i odszedł.

Poirot opuścił gloriety, stanął na ścieżce i patrzył za odchodzącym. Ten obejrzał się przez ramię. Widząc Poirota przyśpieszył kroku i zniknął za zakrętem.

— *Eh bien*¹⁴ — powiedział Poirot do siebie — czy człowiek, którego spotkałem, to morderca czy nie?

¹⁴ *fr.* tu: No więc

To na pewno był ten młodzieniec, który zderzył się z Poirotem na festynie i spojrzał na niego spode łba. Musiał doskonale wiedzieć, że tędy nie ma przejścia na przystań. Gdyby naprawdę szukał takiego skrót, szedłby dużo niżej, blisko rzeki, a nie wysoko biegnącą ścieżką koło gloriety. Co więcej, kiedy stanął przed budynkiem, miał minę człowieka, który dotarł na miejsce umówionego spotkania i zobaczył osobę zupełnie inną, niż się spodziewał.

— A więc to tak — mruzczał Poirot. — Przyszedł tu na spotkanie z kimś. Z kim? I dlaczego?

Poszedł do zakrętu ścieżki. Nie było śladu po młodzieńcu w koszulce z żółtymi. Najwyraźniej uznał za rozsądne wycofać się jak najszybciej. Poirot pokręcił głową i zawrócił.

Pogrążony w myślach dotarł do gloriety i teraz on z kolei stanął zdumiony na jej progu. Wewnątrz Sally Legge na klęczkach wpatrywała się w posadzkę. Poderwała się gwałtownie na widok Poirota.

— Och, panie Poirot, ale mnie pan nastraszył. W ogóle pana nie słyszałam.

— Szukała pani czegoś, *madame*!

— Ja... nie, właściwie nie.

— Chyba coś pani zgubiła. Coś się urwało. A może... — Poirot zrobił łobuzerską minę. — A może, *madame*, to miała być randka? Ja, niestety, nie jestem osobą, z którą miała się pani spotkać.

— Czyż to jest pora na randki? — Sally Legge odzyskała już zimną krew. — Tak wcześniej, właściwie rano?

— Czasami nie wybiera się godzin na randki. Mężowie bywają zazdrośni — stwierdził sentencjonalnie Poirot.

— Wątpię, by mój mąż był zazdrosny — powiedziała to lekkim tonem, ale Poirot usłyszał jednak w tych słowach nutkę gorzkości. — Jest tak bez reszty pochłonięty własnymi sprawami.

— Wszystkie kobiety narzekają z tego powodu na mężów. Zwłaszcza na Anglików — zauważył Poirot.

— Wy, cudzoziemcy, jesteście bardziej szarmanccy.

— Zdajemy sobie sprawę, że konieczne jest powtarzanie kobiecie co najmniej raz na tydzień, a jeszcze lepiej trzy lub cztery razy w tygodniu, że się ją kocha. Dobrze jest również przynieść parę kwiatków, rzucić jakiś komplement, powiedzieć, że ładnie wygląda w nowej sukni lub kapeluszu.

— Czy tak właśnie pan postępuje?

— Ja, *madame*, nie jestem mężem — zaznaczył Poirot i dodał po chwili: — Niestety!

— Jestem pewna, że to „niestety” było nieszczerze. Nie mam wątpliwości, że rozkoszuje się pan swoją swobodą kawalerską.

— Nie, nie, *madame*, to straszne, ile rzeczy ominęło mnie w życiu.

— Uważam, że to głupota żenić się, wychodzić za mąż.

— Żał tych czasów, kiedy malowała pani w atelier, gdzieś w Chelsea?

— Wydaje się, że pan wie o mnie wszystko, panie Poirot.

— Jestem plotkarzem. Chętnie słucham o ludziach. A czy naprawdę pani żał Chelsea?

— Och, nie wiem — rzuciła się na ławę.

Poirot usiadł obok. Kolejny raz zdarzało mu się coś, do czego już niemal przywykł. Ta atrakcyjna kobieta z ognistymi włosami zaraz powie mu o rzeczach, z których nigdy nie zwierzyłaby się Anglikowi.

— Miałam nadzieję — zaczęła — że skoro zostawiliśmy te różne sprawy za sobą i zaszyliśmy się tu na czas wakacji, wszystko będzie jak kiedyś... A jednak się nie udało.

— Nie?

— Nic. Alec jest taki humorzasty i tak jakoś pogrążony w sobie. Nie wiem, co z nim jest. Okropnie nerwowy, rozdrażniony. Dzwonią do niego ludzie, zostawiają jakieś dziwaczne

informacje, on nic mi nie mówi na ten temat. Już dostaje od tego fioła. On nie chce mi nic powiedzieć! Najpierw myślałam, że to jakaś inna baba, ale nie sędzę. Nie, naprawdę...

— Smakowała pani herbata, wczoraj po południu. *Madame*?

— Herbata? — spojrzała na niego marszcząc brwi, jej myśli wracały z daleka. — A, tak — zapewniła pośpiesznie. — Nie ma pan pojęcia, jak mi się chciało pić po tym siedzeniu w namiocie, w tych wszystkich czarczafach i welonach. Strasznie było duszno.

— Herbaciarnia też była pod namiotem, tam również musiało być duszno.

— Tak, rzeczywiście było. Ale cóż jest wspanialszego niż filiżanka herbaty?

— Czegoś tu pani szukała, prawda, *madame*? Czy przypadkiem nie jest to ta zguba? — podsunął jej na dłoni mały złoty wisiołek.

— Ja... och, tak. Och, dziękuję, panie Poirot. Gdzie pan to znalazł?

— Tu leżał, na posadzce, w tej szparze.

— Musiał mi się kiedyś urwać.

— Wczoraj?

— Och, nie, nie wczoraj. To musiało być wcześniej.

— Ale, *madame*, jestem pewien. Widziałem ten właśnie wisiołek przy pani bransolecie wczoraj, kiedy przepowiadała mi pani przyszłość.

Nikt nie umiał lepiej rozmyślnie kłamać niż Herkules Poirot. Mówił z tak absolutną pewnością, że Sally Legge zakryła oczy powiekami.

— Naprawdę nie pamiętani. Dopiero dziś rano zobaczyłam, że brakuje tego wisiora.

— Cieszę się więc wielce — powiedział dwornie Poirot — mogąc zwrócić pani tę rzecz.

Nerwowo obracała klejnocik w palcach. Podniosła się z ławy.

— Dziękuję, panie Poirot, dziękuję panu bardzo — oddychała nierówno, oczy biegały jej na boki.

Wyszła pośpiesznie z gloriety. Poirot oparł się plecami b ścianę i powoli pokiwał głową.

Nie — powiedział sobie — wczoraj po południu nie było cię w herbaciarni. To wcale nie z powodu pragnienia nie mogłaś się doczekać chwili, kiedy wybije czwarta. Wczoraj po południu przyszedł tutaj. Pół drogi do szopy Żeglarskiej. Przyszedł tu, żeby się z kimś spotkać.

Znowu usłyszał kroki. Szybkie, niecierpliwe. A teraz pewnie — uśmiechnął się z zadowoleniem — nadchodzi ktoś, z kim miała spotkać się pani Legge.

Kiedy jednak u wejścia do gloriety stanął Alec Legge, Poirot wyrzucił ze zdumieniem:

— Znowu pomyłka.

— Co? Co to? — Alec Legge był nie mniej zdumiony.

— Mówię, że znowu się pomyliłem — wyjaśnił Poirot.

— Nie zdarza mi się to często, więc to mnie złości. Nie pana spodziewałem się tu zobaczyć.

— A kogo?

Odpowiedź Poirota była natychmiastowa.

— Młodego mężczyznę, chłopca niemal, w kolorowej koszulce z żółwiami.

Efekt tych słów sprawił Poirotowi dużo zadowolenia. Alec Legge postąpił krok naprzód.

— Skąd pan wie? Jak... — plątał mu się język. — Czego pan chce?

— Jestem jasnowidzem — Poirot zamknął oczy.

Alec Legge przysunął się jeszcze o parę kroków. Poirot zdawał sobie sprawę, że stoi przed nim człowiek rozwścieczony.

— Czego, do diabła, pan chce?

— Myślę, że pański przyjaciel poszedł z powrotem do schroniska młodzieżowego. Jeżeli chce się pan z nim zobaczyć, musi pan się tam udać.

— Więc to tak — mruknął Alec Legge i opadł na drugi koniec kamiennej ławy. — Więc po to pan tu jest? Nie chodziło o żadne „wręczanie nagród”. Mogłem się tego wcześniej domyślić.

Zwrócił złą i zboloną twarz ku Poirotowi.

— Wiem, jak to może wyglądać. Wiem, jak ta cała sprawa się przedstawia. Ale to nie jest tak, jak pan myśli. Ja padłem ofiarą. Powiem panu, że kiedy ktoś raz już wpadnie w szpony tych ludzi, nie jest mu łatwo się wydostać. A ja chcę się wyrwać. W tym rzecz. Chcę się od nich uwolnić. Człowiek jest zdesperowany, wie pan. Czuje, że to są rozpaczliwe, beznadziejne próby. Jest jak szczur w pułapce, nic nie można zrobić. Ale co za pożytek z gadania! Przypuszczam, że pan wie, co chciał pan wiedzieć. Ma pan dowód.

Wstał, ruszył potykając się, jakby nie całkiem wyraźnie widział drogę, a potem oddalił się szybko, nie oglądając się za siebie.

Herkules Poirot pozostał z szeroko otwartymi oczami, brwi miał uniesione.

— Wszystko to jest bardzo dziwne — zamruczał. — Dziwne. i interesujące. Mam dowód, który był mi potrzebny. Mam? Dowód czego? Dowód, kto zabił?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I

Inspektor Bland siedział w dyżurce komisariatu policji w Helmmouth. Miejsce po drugiej stronie zajmował komendant Baldwin, wielki mężczyzna o sympatycznej twarzy. Na stole pomiędzy nimi leżała bryła jakiejś czarnej, rozmokniętej masy.

— To jej kapelusz — Bland wyciągnął ostrożnie palec wskazujący w stronę bezkształtnego eksponatu. — Jestem pewien, chociaż chyba nie mógłbym przysiąc. Lubiła ten fason, tak mówi pokojówka. Nosiła jeszcze jeden lub dwa takie. Bładoróżowy, fioletowy, ale wczoraj miała czarny. Tak, to ten. Wyłowiliście go z rzeki? To by potwierdzało nasze przypuszczenia.

— Z tego niewiele wynika — zauważył Baldwin. — W końcu ktokolwiek mógł wrzucić kapelusz do rzeki.

— Tak — zastanawiał się Bland — mógł być wrzucony koło szopy albo z jachtu.

— Jacht mamy pod ciągłą obserwacją — zapewniał Baldwin. — Jeżeli raz znalazła się na jachcie, martwa czy żywa, jest tam nadal.

— Nie schodził jeszcze dzisiaj na brzeg?

— Do tej pory nie. Siedzi na pokładzie i pali cygara. Inspektor Bland spojrział na zegar.

— Już prawie pora wizyty na jachcie — powiedział.

— Ma pan nadzieję ją znaleźć? — spytał Baldwin.

— Specjalnie na to nie liczę. Mam wrażenie, wie pan, że to cwaniak kuty na cztery nogi.

Bland zamyślił się na moment, przypatrując się kapeluszowi.

— A co ze zwłokami, jeżeli były zwłoki? Dowiedział się pan czegoś?

— Tak. Rozmawiałem z Otterweightem dziś rano. Całe życie był w straży wybrzeża, zawsze konsultuję z nim wszystkie sprawy zahaczające o przyływy i prądy. Kiedy wrzucono Lady Stubbs do Helmu, jeśli naprawdę została do rzeki wrzucona, była pora odpływu. Mamy obecnie pełnię księżyca i ruch wody jest bardzo szybki. Zwłoki mogą być łatwo wypchnięte w morze, a potem prąd poniesie je w stronę brzegów Kornwalii. Trudno powiedzieć, gdzie je fala wyrzuci, jeśli wyrzuci w ogóle. Mielśmy tu jeden czy dwa wypadki zatonięcia i żadnego ciała nie odnaleźliśmy. Mogło się również rozbić na skałach, o tu, koło przylądka Start Point. Równie dobrze możemy wyłowić zwłoki lada dzień.

— Jeżeli nie znajdziemy ciała, będzie bardzo trudno coś ustalić — martwił się Bland.

— Jest pan pewien, że wrzucono ją do rzeki?

— Gdzie indziej mogłaby być? Sprawdzaliśmy, jak pan wie, autobusy i pociągi. To miejsce jest rodzajem ślepego zaułka, a ona miała na sobie tak charakterystyczny strój, że nie mogła się wymknąć nie zauważona. Nic do przebrania nie miała. Więc sędzę, że nie opuściła Nasse. Albo jej ciało jest w ujściu rzeki czy w morzu, albo ukryte gdzieś na terenie posiadłości. W tej chwili najbardziej potrzebuję odnalezienia motywu. I ciała oczywiście. Jeżeli nie znajdę ciała, nie posunę się ani o krok.

— A co z tą drugą dziewczyną?

— Prawdopodobnie coś widziała. W końcu powinniśmy poznać fakty, ale jest bardzo ciężko.

Teraz z kolei Baldwin zerknął na zegar.

— Czas iść.

Na pokładzie „Esperance” de Sousa powitał obydwu policjantów z całą kurtuazją. Zaproponował im napoje, które podziękowali, a następnie przejawiał uprzejme zainteresowanie ich pracą.

— Czy daleko są już panowie ze śledztwem w sprawie śmierci tej młodej dziewczyny?

— Posuwamy się naprzód — zdawkowo odpowiedział inspektor Bland.

Baldwin bardzo delikatnie wyjaśnił cel wizyty.

— Chcecie zrobić rewizję na „Esperance”? — de Sousa wcale nie wyglądał na rozniewanego. Przeciwnie, chyba był ubawiony. — Ale po co? By sprawdzić, czy nie ukrywam tu mordercy, a może sądzicie, że sam jestem mordercą?

— To konieczne, panie de Sousa, jestem pewien, że pan zrozumie. Oto nakaz przeszukania... De Sousa uniósł ręce.

— Ależ z wielką chęcią panom pomogę. Niech to wszystko będzie pomiędzy przyjaciółmi. Zapraszam do przeszukiwania wszelkich zakamarków mojej łodzi. Ach, panowie sądzą zapewne, że mam tu swoją kuzynkę, Lady Stubbs? Uciekła od męża i ukryła się u mnie, tak przypuszczacie? Szukajcie, szanowni panowie, szukajcie starannie.

Rewizja była bardzo dokładna. Wreszcie dwaj policjanci, próbując rozjaśnić markotne miny, musieli pożegnać de Souzę.

— Nic panowie nie znaleźli. Co za rozczarowanie. Ale przecież mówiłem od razu. Może teraz mają panowie ochotę na drinka. Nie?

Odprowadził ich do policyjnej motorówki.

— A co ze mną? Czy wolno mi już odpłynąć? Zaczynam się tutaj nudzić, panowie rozumieją. Szkoda pogody. Bardzo pragnę znaleźć się wreszcie w Plymouth.

— Czy byłby pan uprzejmy pozostać tu jeszcze do momentu orzeczenia przyczyny zgonu, to jest do jutra, na wypadek, gdyby urząd koronera miał do pana jakieś pytania?

— Dobrze. Zrobię wszystko, co mogę. Ale potem?

— Potem, sir — twarz komendanta Baldwina nic miała żadnego wyrazu — oczywiście wolno panu płynąć, dokąd pan chce.

Motorówka oddalała się od jachtu, z którego pokładu żegnała policjantów uśmiechnięta twarz de Souzy.

II

Urzędowe orzeczenie przyczyn zgonu przebiegło w sposób niemal boleśnie nieinteresujący. Oprócz świadectwa medycznego i potwierdzenia identyfikacji zwłok nie było nic, czym zebrani mogliby zaspokoić swoją ciekawość. Wniosek o przedłużenie śledztwa został natychmiast uwzględniony. Cała rzecz miała charakter czysto formalny.

To, co nastąpiło zaraz po orzeczeniu, nie miało już jednak nic wspólnego z formalnościami. Inspektor Bland spędził popołudnie na pokładzie znanej jednostki białej floty „Piękność Devonu”. Statek wyszedł z Brixwell koło trzeciej, okrążył przylądek, wpłynął w ujście Helmu i posuwał się w górę rzeki. Na pokładzie było około dwustu trzydziestu pasażerów. Inspektor Bland siedział przy relingu prawej burty i obserwował lesisty brzeg. Minęli zakręt rzeki i ukazał się kryty dachówką, szary, samotny garaż na łódzie, położony już w obrębie posesji Hoodown Park. Inspektor Bland zerknął na zegarek. Dokładnie kwadrans po czwartej. Zbliżali się do szopy żeglarskiej w majątku Nasse. Tkwiła odosobniona pomiędzy drzewami. Widać było balkonik i niewielką przystań. Nic nie wskazywało na to, by wewnątrz kłós był, chociaż inspektor Bland wiedział na pewno, że posterunkowy Hoskins, zgodnie z poleceniem, znajduje się w szopie. Niedaleko od niej cumowała łódka, w której dwoje młodych letników przepychało się, najwyraźniej dla zabawy. Dziewczyna piszczala, a mężczyzna udawał, że chce ją wrzucić do wody. W tym momencie na pokładzie statku spacerowego rozległ się z megafonów donośny głos.

— Panie i panowie — grzmiał — zbliżamy się do sławnej wioski Gitcam, gdzie zatrzymamy się na trzy kwadransy i gdzie będą państwo mogli posilić się krabami, homarami i znakomitymi dewońskimi ciastkami kremowymi. Po państwa prawej ręce rozciągają się grunty Nasse House. Samą rezydencję minimy za dwie lub trzy minuty, ale już teraz widać ją pomiędzy drzewami. Kiedyś siedziba Sir Gervasego Folliata, który żeglował z Sir Francisem Drake'em aż po nowy świat, dziś należy do Sir George'a Stubbsa. Po lewej sławetna skała Gooseacre. To pod nią osadzano gderliwe żony w porze odpływu. Tkwiły tam za karę, aż woda przyprływu sięgnęła im po szyję.

Wszyscy pasażerowie „Piękności Devonu” wpatrywali się w skałę Gooseacre. Posypały się żarty, zewsząd słychać było chichoty, piski, salwy śmiechu.

Tymczasem po przeciwnej stronie baraszkowanie młodej pary w małej łódce skończyło się tym, że dziewczyna naprawdę wypadła za burtę.

— Nie wyciągnę cię, póki nie przyrzekniesz, że będziesz grzeczna — chłopak nie pozwalał jej wygramolić się z wody.

Nikt wszakże nie zauważył tej sceny z wyjątkiem inspektora Blanda. Cała reszta wycieczkowiczów, słuchając płynących z głośników objaśnień przewodnika, patrzyła z ciekawością na Nasse House i z fascynacją na skałę Gooseacre.

Dziewczyna zaś zanurkowała i przepłynęła pod wodą na drugą stronę łódki. Zręcznie podciągnęła się do krawędzi burty i weszła do środka. Policjantka Alice Jones była świetną pływaczką.

Inspektor Bland zszedł na ląd w Gitcam wraz z pozostałymi dwustu trzydziestu pasażerami, skonsumował homara, ciastko z kremem oraz placek jęczmienny i powiedział do siebie: „A więc można to zrobić i nikt nie zauważy!”

III

Podczas gdy inspektor Bland przeprowadzał swój eksperyment na rzece Helm, Herkules Poirot robił doświadczenie w namiocie na trawniku przed frontonem Nasse House. Był to ten sam namiot, w którym *Madame Zuleika* przepowiadała przyszłość. Wszystkie inne już zwinięto, ale Poirot poprosił o pozostawienie tego jednego.

Wszedł do środka, spuścił za sobą kłapy drzwiowe i przysunął się do tylnej ściany. Zręcznie rozsnurował jeden narożnik i wyśliznął się na zewnątrz. Zasznurował z powrotem i dał nura w gąszcz rododendronów rosnących tuż za namiotem. Przeciskał się pomiędzy krzewami i niebawem dotarł do małej altany.

Wewnątrz było ciemnowo, bo drewniany domek postawiono bardzo dawno i przez lata szczelnie otuliły go rododendrony. Pod ścianą stała skrzynia z piłkami do krokieta, jakieś stare, zardzewiałe obręcze, połamane kije hokejowe. Wszędzie pełno stonóg i pajaków. W kurzu pokrywającym podłogę nakreślony był jakiś nieregularny znak. Poirot przyglądał mu się dłuższą chwilę. Przyklęknął, wyjął z kieszeni miarkę i starannie zmierzył ten szczególny rysunek. Pokiwał głową z zadowoleniem.

Wycofał się cicho i zamknął za sobą drzwi. Szedł łukiem pod górę pomiędzy krzewami rododendronów. Wyszedł na dróżkę niedaleko gloriety, tym razem jednak do niej nie zajrzał, lecz skręcił ku ścieżce schodzącej zakosami do szopy żeglarskiej. Miał przy sobie klucz, otworzył więc drzwi i znalazł się w środku.

Oprócz tego, że zniknęły zwłoki dziewczyny oraz taca ze szklanką i talerzem, nic się tu nie zmieniło. Wszystko, szczegółowo opisane i obfotografowane przez policję, pozostało na miejscu. Poirot podszedł do stołu, na którym leżał plik komiksów. Przewrócił parę kartek i unióśł brwi. Na marginesach ujrzał słowa nagryzmołone ręką Marleny. „Jackie Blake chodzi z Susan Brown”. „Peter szczybie dziewczyny w kinie”. „Georgie Porgie całuje się z turystkami w krzakach”. „Biddy Fox lubi chłopców”. „Albert chodzi z Doreen”.

Te zapiski wydały mu się aż wzruszające w swoim szczenięcym prostactwie. Przypomniał sobie przeciętną, trochę krostowatą twarz Marleny. Podejrzywał, że chłopcy nie podszcypywali Marleny w kinie. Sfrustrowana dziewczyna przeżywała czasem zastępczy dreszczyk, szpiegując i podglądając rówieśników. Szpiegowała ludzi, patrzyła z ukrycia, widziała różne rzeczy. Widziała to, czego nie powinna oglądać, przeważnie zresztą nic wielkiego, ale jeden raz, być może, zobaczyła coś, co naprawdę było ważne. I nawet nie miała pojęcia, jak ważne.

Wszystko to były jedynie domysły i Poirot z powątpiewaniem kręcił głową. Ułożył równiutko komiksy na stole, zawsze miał zamiłowanie do porządku. Nagle doznał uczucia, że czegoś brakuje. Czegoś... Ale czego? Czegoś, co powinno tu być... Coś... Potrząsnął głową i to nieuchwytnie wrażenie minęło.

Wszedł powoli z szopy, nieszczęśliwy i niezadowolony z siebie. On, Herkules Poirot, został tu wezwany, by zapobiec morderstwu — i nie zapobiegł. Zbrodnia została popełniona. Jeszcze bardziej upokarzające było to, że nie wiedział nawet teraz, co tu się naprawdę zdarzyło. Sromotna klęska. A jutro musi powrócić do Londynu pokonany. „Ego” Poirota okropnie siadło — nawet wąsy mu obwisły.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dwa tygodnie później inspektor Bland odbył długą i niezbyt owocną rozmowę z szefem policji hrabstwa.

Major Merrall miał irytująco nastroszone brwi i był dość podobny do rozzłoszczonego teriera. Podkomendni lubili go jednak i szanowali jego zdanie.

— Dobrze, dobrze, dobrze, co więc mamy? — zaczął. — Nic, na czym moglibyśmy się oprzeć. Co z de Sousa? Nie sposób wykazać, że cokolwiek wiąże tego faceta ze sprawą harcerki. Gdyby znalazło się ciało Lady Stubbs, rzeczy miałyby się inaczej.

Ściągnął brwi w dół, nastroszył je w stronę nosa i spojrzał na B landa.

— Pan uważa, że trup jest; prawda?

— A jak pan sądzi, sir?

— Och, zgadzam się z panem. Inaczej przecież musielibyśmy ją wytropić. Chyba że bardzo starannie wszystko zaplanowała, na co wszakże nic nie wskazuje. Nie miała pieniędzy, pan wie. Dokładnie zbadaliśmy finanse. Sir George dysponował pieniędzmi. „Był dla niej nadzwyczaj hojny, ale ona nie miała własnego grosza. Nie widać też śladu kochanka. Żadnych plotek, a proszę pamiętać, że tu, na prowincji, takich rzeczy nie da się ukryć.

Przeszedł się po pokoju tam i z powrotem.

— Prawda jest taka, że nie wiemy. Przypuszczamy, że de Sousa z jakichś nieznanych powodów zabił kuzynkę. Najprawdopodobniej zdołał nakłonić ją do spotkania koło szopy. Gdy weszła do motorówki, wypchnął ją za burtę. Sprawdzał pan, że to było do przeprowadzenia?

— Dobry Boże, sir! W sezonie urlopowym można by tu potopić sporo ludzi w rzece i w morzu. Nikt nie zwróciłby na to uwagi. Ileż osób bierze udział we wpychaniu się do wody dla zabawy. Natomiast de Sousa nie mógł wiedzieć o tym, że w szopie jest dziewczyna i na pewno nudzi się jak mops, więc z nudów gapi się przez okno.

— Hoskins wyglądał przez to okno, obserwował igraszki inscenizowane przez pana w łódce, ale pan go nie widział?

— Nie, sir. Nie można się zorientować, czy ktoś jest w środku, jeżeli ta osoba sama nie pokaże się na balkoniku...

— Przypuśćmy, że dziewczyna się na tym balkonie pokazuje. De Sousa uświadamia sobie, że widziała wszystko, wychodzi więc na brzeg i chce coś uczynić z niepożądanym świadkiem. Nakłania dziewczynę, by wpuściła go do szopy, pytając, co ona tam robi. Harcerka opowiada mu o swojej roli w grze detektywistycznej, a on zakłada jej sznur na szyję, wszystko jeszcze niby w granicach tej zabawy i raaaz... — major Merrall wykonał rękami wymowny gest. — Więc tak. Okay, Bland, okay. Powiedzmy, że to tak przebiegało. Czyste domysły. Nie mamy żadnych dowodów. Nie znaleźliśmy ciała, a jeśli spróbujemy aresztować de Souse w tym kraju, ściągniemy na siebie burzę. Musimy go puścić.

— Czy on wyjeżdża, sir?

— Za tydzień wraca na tę swoją przeklętą wyspę.

— Nie mamy więc dużo czasu — skonstatował ponuro inspektor Bland.

— Przypuszczam, że są również inne hipotezy.

— O tak, sir. Jest kilka hipotez. Wciąż wydaje mi się najbardziej prawdopodobne, że zabójca musiał znać reguły tego turnieju, Polowania na Mordercę. Z tej grupy wtajemniczonych możemy spokojnie wyłączyć dwie osoby: Sir George'a Stubbsa i kapitana Warburtona. Obydwaj przez całe popołudnie czuwali nad wszystkimi atrakcjami festynu. Dziesiątki ludzi potwierdzają ich ciągłą obecność na głównym placu. To samo odnosi się do pani Masterton, jeżeli oczywiście w ogóle brać ją pod uwagę.

— Niech pan wszystkich bierze pod uwagę — poradził major Merrall. — Ciągłe dzwoni do mnie w sprawie bloodhoundów. W powieści kryminalnej — dodał z zastanowieniem — to ona byłaby sprawcą. Ale skreślam to, znam przecież Connie Masterton od urodzenia. Nie mogę sobie wyobrazić, jak dusi harcerkę albo unicestwia tajemniczą, egzotyczną piękność. Więc kto jeszcze wchodzi w grę?

— Pani Oliver. Ona opracowała to Polowanie na Mordercę. Jest raczej ekscentryczna i wielką część popołudnia spędziła samotnie. Następnie pan Alec Legge.

— Facet z różowej chaty, tak?

— Tak. Opuścił festyn dość wcześnie i potem go już nie widziano. Twierdzi, że miał dość tej imprezy i wrócił do domu. Ale Merdell — to taki staruszek, który pilnuje ludziom łodzi na przystani i pomaga parkować samochody — mówi, że Alec Legge szedł do swojej chaty dopiero koło piątej. Nie wcześniej. W związku z tym nie wiadomo, co Alec Legge robił przez całą godzinę. On utrzymuje oczywiście, że Merdellowi się coś pomieszało, bo jest taki stary i nie ma żadnego poczucia czasu. No, to prawda, dziewięćdziesiąt dwa lata na karku.

— Mało przekonujące — ocenił major Merrall. — Żadnego motywu, jakiegoś powiązania?

— Mógł mieć romans z Lady Stubbs — z powątpiewaniem w głosie snuł domysły Bland — a ona, być może, groziła, że powie o wszystkim jego żonie, więc ją zabił, co akurat widziała ta harcerka...

— I ukrył gdzieś zwłoki Lady Stubbs?

— Tak, ale będę świętym, jeśli powiem, gdzie. Moi ludzie przeszukali całe dwadzieścia pięć hektarów i nigdzie nie było skrawka poruszanej ziemi, a do tej pory to już sprawdziliśmy nawet w korzeniach każdego krzaka. No ale powiedzmy, że jakoś zdołał ukryć zwłoki, a kapelusz mógł celowo wrzucić do rzeki, żeby nas zmylić. I Marlene Tucker widziała go, dlatego ją udusił. To się powtarza w każdej z hipotez.

Inspektor Bland zrobił krótką pauzę i dodał:

— A, jest jeszcze oczywiście pani Legge.

— Co mamy na nią?

— Nie było jej w herbaciarni — referował powoli Bland — pomiędzy czwartą a wpół do piątej, jak twierdzi. Była w tym punkcie sprzeczność pomiędzy jej słowami i zeznaniem pani Folliat. Są dowody na to, że pani Folliat mówiła prawdę. A to jest właśnie najważniejsze pół godziny.

Inspektor znowu zrobił pauzę.

— Dalej mamy architekta, młodego Michaela Weymana. Trudno go z tym wszystkim powiązać w jakikolwiek sposób, ale to jest typ, który nazwałbym potencjalnym mordercą, jeden z tych pyszałkowatych, nerwowych, młodych facetów. Zabije każdego i nawet powieka mu nie drgnie. Bez zasad, nie powinienem się dziwić.

— Pan jest diabelnie pryncypialny, Bland — zauważył major Merrall. — Co ten architekt robił tamtego dnia po południu? Jak zeznaje?

— Mgliście. Naprawdę bardzo mgliście.

— To znaczy, że jest prawdziwym architektem — powiedział z przekonaniem major Merrall, który ostatnio wybudował sobie dom na wybrzeżu. — Oni są tacy mgliści. Czasami zastanawiam się, czy są w ogóle żywi.

— Nie wie, gdzie był ani kiedy, i chyba nie ma nikogo, kto go widział. Są pewne podstawy, by sądzić, że podobał się Lady Stubbs.

— Widzę, że zmierza pan w stronę hipotezy o morderstwie na tle seksualnym?

— Przedstawiam jedynie to, co udało się ustalić, sir — odrzekł z godnością inspektor Bland. — Jest jeszcze panna Brewis... — urwał i milczał.

— To sekretarka, prawda?

— Tak, sir. Doskonała sekretarka.

Bland znowu zamilkł. Major Merrall przyglądał się uważnie swojemu podwładnemu.

— Coś panu chodzi po głowie na jej temat?

— Jest coś szczególnego, sir. Widzi pan, ona otwarcie przyznaje, że była w szopie mniej więcej w tym czasie, gdy popełniono przestępstwo.

— Czy powiedziałaaby o tym, gdyby była winna?

— Mogłaby. Kto wie — mówił wolno Bland — czy to nie najlepsza rzecz, jaką mogłaby zrobić. Bierze tacę z ciastkami i sokiem i mówi wszystkim, że schodzi do dziewczyny. Wraca, potem twierdzi, że dziewczyna w tym czasie była żywa. Mamy na to jej słowo. Ale może pan pamięta, sir, lub zechce jeszcze raz zerknąć do orzeczenia lekarskiego, dr Cook podaje, że śmierć nastąpiła pomiędzy czwartą a czwartą czterdzieści pięć. Mamy tylko zapewnienie panny Brewis, że kwadrans po czwartej Marlene jeszcze żyła. I jest pewien szczegół dotyczący jej zeznania. Powiedziała mi, że to Lady Stubbs wysłała ją z ciastkami i sokiem do Marleny. Ale według innych świadków Lady Stubbs nigdy nawet by nie pomyślała o czymś takim. I myślę, że oni mają rację. To nie jest podobne do Lady Stubbs. Była to tępawa piękność, zajęta tylko sobą, a zwłaszcza swoim wyglądem. Zdaje się, że nigdy nie interesowała się żadnymi posiłkami ani w ogóle prowadzeniem domu, była jedynie urodziwym sobkiem. Im więcej o tym myślę, tym mniej wydaje mi się prawdopodobne, by Lady Stubbs poleciła pannie Brewis zanieść cokolwiek harcerce.

— Wie pan, Bland, tu pan na coś trafił. Ale jeśli ona, to jaki byłby motyw?

— Powodu, by zabić dziewczynę, nie miała, ale mogła czyhać na życie Lady Stubbs. Według tego, co mówi Herkules Poirot, o którym panu opowiadałem, Amanda Brewis jest zakochana po uszy w swoim chlebodawcy. Przypuśćmy, że poszła za Lady Stubbs do lasu i zabiła. Widziała to Marlene Tucker, która z nudów wymknęła się ze swojej szopy. Musiała wtedy zabić również Marlene. Co zrobiła potem? Ułożyła ciało dziewczyny w szopie, wróciła na festyn, wzięła tacę i — informując wszystkich, dokąd się wybiera — zeszła do szopy raz jeszcze. Później zeznawała, że o czwartej piętnaście Marlene była jeszcze żywa.

— No dobrze — westchnął major Merrall — niech pan się tego trzyma, Bland. Niech pan się trzyma. A jeżeli to ona, to co zrobiła ze zwłokami, jak pan myśli?

— Ukryła w lesie, zakopała albo wrzuciła do rzeki.

— To ostatnie byłoby raczej trudne, prawda?

— Zależy, gdzie morderstwo zostało popełnione. Ona jest całkiem krzepką kobietą. Jeżeli zrobiła to w pobliżu szopy, mogła przenieść zwłoki i zrzucić je z nabrzeża.

— Na oczach tłumu wycieczkowiczów płynących po Helmie statkiem?

— I to mogłoby ująć za głupią zabawę. Trochę ryzykowne, ale możliwe. Myślę jednak, że raczej gdzieś ukryła ciało, a jedynie kapelusz wrzuciła do rzeki. Doskonale zna tę posiadłość, więc być może wie o jakimś miejscu szczególnie odpowiednim na schowanie trupa. Do rzeki mogła go wrzucić później. Kto wie? Naturalnie ile to w ogóle ona. Ale w gruncie rzeczy, sir, ja Obstawiam przy de Sousie...

Major Merrall, który zapisywał coś sobie od czasu do czasu, odkaszlnął i zrekapitulował całą rozmowę.

— Mamy pięć lub sześć osób, które mogły zabić Marlene Tucker. Co do jednych prawdopodobieństwo jest większe, co do innych mniejsze, ale to jest wszystko, co możemy powiedzieć o kręgu podejrzanych. Ogólnie biorąc wiemy, dlaczego dziewczyna została zabita. Zamordowano ją, bo coś widziała. Dopóki jednak nie dowiemy się dokładnie, co widziała, nie będziemy wiedzieć, kto ją zabił.

— W tym ujęciu rzecz wygląda na trudną, sir.

— Och, bo jest trudna. Ale dojdziemy w końcu.

— A tymczasem ten typ opuści Anglię, śmiejąc się w kułak, po popełnieniu dwu morderstw.

— Jest pan pewien co do niego, tak? Nie mówię, że się pan myli. A jednak...

Szef policji milczał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

— I tak lepsze to, niż mieć tu grasującego zabójcę psychopatę. Zajmowalibyśmy się wtedy pewnie już trzecim morderstwem z kolei.

— Niektórzy mówią, że nieszczęścia nie chodzą parami, lecz trójkami — powiedział ponuro inspektor.

Powtórzył to następnego dnia rano, gdy usłyszał o starym Merdellu, który utopił się, wracając ze swojego ulubionego pubu w Gitcham, po drugiej stronie rzeki. Tym razem dziadek wypił chyba trochę za dużo, bo wpadł do wody, gdy wychodził na przystań. Znalaziono jego dryfującą łódź, a późnym wieczorem tamtego dnia wydobyto z Helmu również zwłoki.

Orzekanie o przyczynach zgonu nie trwało długo i nie nastęczało trudności. Dzień był wtedy pochmurny, szybko zapadła ciemność, stary Merdell opróżnił trzy kufle piwa, a poza tym miał już dziewięćdziesiąt dwa lata.

W orzeczeniu napisano: nieszczęśliwy wypadek.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

I

Herkules Poirot siedział na kwadratowym krześle przed kwadratowym kominkiem w kwadratowym pokoju swojego londyńskiego mieszkania. Natomiast różne przedmioty, które miał przed sobą, nie były kwadratowe, lecz odznaczały się nieprawdopodobnie powyginanymi konturami. Żaden z nich wzięty osobno nie wydawał się przydatny do czegokolwiek w normalnym świecie. Bezlądna zbieranina nie bardzo wiadomo czego.

Jednak wszystkie te drobne obiekty miały swoje szczególne miejsca w szczególnym mikroświatku. Odpowiednio ustawione tworzyły nie tylko sens, tworzyły również obraz. Innymi słowy Herkules Poirot układał pucla.

Patrzył na prostokątne pole układanki, w którym widniały jeszcze spore luki o dziwacznych kształtach. Lubił tę zabawę, odprężał się wprowadzając porządek w miejsce chaosu. Podobne to do jego profesji — zauważył. W pracy zwykle zaczyna również od garści elementów, często nieprawdopodobnych i dziwacznych, faktów na pozór zupełnie nie powiązanych ze sobą. A jednak okazuje się później, że stanowią idealnie pasujące do siebie fragmenciki większej całości. Zręcznymi palcami wyłowił płat ciemnej szarżyzny i umieścił na błękitnym niebie. To kawałek samolotu — odgadł.

— Tak — mrucał Poirot do siebie — to właśnie trzeba robić. Ten dziwoląg tu, ta osobliwość tam, a ów kawałek w ogóle nie jest tym, na co wygląda. Stopniowo okruchy znajdują swoje miejsca. I kiedy połączą się w jedną całość, *eh bien*¹⁵, wtedy już koniec zabawy. Wyjaśniło się. Wszystko, jak to się mówi, pasuje do obrazka.

Szybkimi ruchami położył we właściwej pozycji mały fragment minaretu, grzbiet kota, który wydawał się zrazu pasiastą markizą sklepową, i brakujący wycinek słońca o zachodzie, turnerowskiego w nagłości przejścia od oranżu do różu.

Gdyby wiedzieć, czego szukać, byłoby to proste — mruknął do siebie Herkules Poirot. Ale nie wiadomo, czego szukać. Dlatego szuka się w złych miejscach albo niewłaściwych rzeczy. Westchnął poirytowany. Jego oczy wędrowały od układanki do pustego krzesła po drugiej stronie kominka. Niespełna pół godziny temu siedział na nim smętnawy inspektor Bland i popijając herbatą krakersy (kwadratowe krakersy) opowiadał. Był w Londynie służbowo i — załatwiwszy tę policyjną delegację — odwiedził pana Poirot. Ciekaw był, przyznał, czy Poirot ma zdanie o sprawie. I przedstawił swoją wiedzę i swoje zdanie. We wszystkich punktach Poirot zgadzał się. Inspektor Bland — pomyślał — dokonał rzetelnej i obiektywnej analizy sprawy.

Minął miesiąc, prawie pięć tygodni, od wydarzeń w Nasse House. Pięć tygodni zastoju i negatywnych rezultatów. Ani nie odnaleziono ciała Lady Stubbs, ani nie została wytropiona żywa Lady Stubbs. Prawdopodobieństwo, że żyje, było niewielkie. Poirot zgodził się z tym.

— Oczywiście — mówił Bland — ciało mogło nie wypłynąć. Może gdzieś jeszcze zostanie wyrzucone, ale wtedy będzie raczej nie do rozpoznania.

— Jest trzecia możliwość — zwrócił uwagę Poirot.

— Tak — Bland skinął głową. — Myślałem o tym. Właściwie nadal myślę. Chodzi panu o to, że zwłoki są w Nasse, ukryte w jakimś miejscu, którego nie przyszło nam do głowy sprawdzić. To możliwe, pan wie. To jest możliwe. W starej rezydencji z tak rozległymi gruntami są miejsca, o których istnieniu nie ma się pojęcia.

Przerwał na moment, zamyślił się, a następnie podjął wywód ponownie:

¹⁵ *fr.* tu: więc tak.

— Przed paroma dniami widziałem rezydencję, w której podczas wojny wybudowano schron przeciwlotniczy. Prymitywna, po amatorsku wykonana konstrukcja w ogrodzie, połączona podziemnym korytarzem z piwnicą domu. Wojna się skończyła, o schronie zapomniano. Któż odgadnie, spacerując teraz po tym ogrodzie, że pod niewielkim wzgórkim, na którym urządzono skalniak, kryje się całkiem duże pomieszczenie. To wygląda tak, jakby ten ogródek skalny był tam od niepamiętnych czasów. A z piwnicy domu, po odsunięciu wielkiego balona na wino, wciąż można przejść korytarzem do tej ziemianki. Właśnie o tym myślę. Coś w tym rodzaju. Sekretne przejście do miejsca, o którym nikt obcy nie ma szans się dowiedzieć. Nie przypuszczam, by były w Nasse autentyczne Księżę Dziury czy coś podobnego.

— Raczej nie, to nie jest obiekt z tego okresu.

— To samo mówi pan Weyman. Dom powstał około roku 1790. Minął już wtedy czas, gdy księża mieli powody, by się ukrywać. Ale oczywiście, pan rozumie, mogły się zdarzyć jakieś przebudowy, zmiany, o których wie ktoś z rodziny. Co pan o tym sądzi, panie Poirot?

— To możliwe. *Mais oui*¹⁶, to z pewnością istotna ewentualność. Jeśli przyjąć, że tak było, stajemy natychmiast przed pytaniem: kto wiedział o czymś takim? Ktoś z mieszkańców domu. przypuszczam.

— Tak. Oczywiście to eliminuje de Souse — inspektor wyglądał na zawiedzionego. De Sousa wciąż był jego pierwszym podejrzanym. — Tak jak pan mówi, ktokolwiek ze stałych mieszkańców domu, służący czy członek rodziny, mógł wiedzieć o czymś takim. Goście, którzy przebywali w rezydencji krótko, raczej nie wchodzą w grę. A ludzi z sąsiedztwa, jak państwa Legge, należałoby właściwie wykluczyć.

— Osobą, która z pewnością wie o ewentualnych kryjówkach w Nasse i która udzieliłaby panu informacji, gdyby ją zapytać, jest pani Folliat — poradził Poirot.

Pani Folliat — pomyślał — wie wszystko o Nasse House. Pani Folliat dużo wie... Pani Folliat wiedziała od razu, że Hattie Stubbs nie żyje. Zanim jeszcze Marlene i Hattie zginęły, pani Folliat wiedziała, że świat jest bardzo nikczemny, zamieszkały przez nikczemnych ludzi. Pani Folliat — konkludował z irytacją Poirot — stanowi klucz do całej zagadki. Ale zdawał sobie sprawę, że kluczem tym niezmiernie trudno otworzyć jakiegokolwiek drzwi.

— Rozmawiałem z tą damą kilkakrotnie — powiedział inspektor. — Była bardzo uprzejma, bardzo miła i wyglądała na prawdziwie strapioną, że nie umie podpowiedzieć niczego pomocnego.

Nie umie czy nie chce — pomyślał Poirot. Bland zapewne zastanawiał się nad tym samym.

— Na ten typ kobiety nie ma siły. Nie da się jej nastraszyć, przekonać ani podejść.

Nie — zgodził się w myśli Poirot — pani Folliat nie da się nastraszyć, przekonać ani podejść.

Inspektor dopił herbatę, westchnął i poszedł sobie, a Poirot zasiadł do układanki, by rozładować narastające w nim rozdrażnienie. Był bowiem zirytowany. Zirytowany i upokorzony zarazem. Pani. Oliver zwróciła się do niego, wezwała Herkulesa Poirot, by wyjaśnił tajemnice. Czują, że coś złego wisi w powietrzu i naprawdę wisiało. Ufała Herkulesowi Poirot, wierzyła, najpierw, że zapobiegnie nieszczęściu — nie zapobiegł, potem, że wskaże zabójcę — a on mordercy nie wskazał. Tkwił we mgle, w takiej mgle, w której od czasu do czasu pojawiają się złudne błyski światła. Raz po raz coś się wyłania, a przynajmniej tak mu się wydaje. Ale nigdy nie udało się przeniknąć tej mgły głębiej.

Poirot wstał, przeszedł na drugą stronę kominka, ustawił drugie krzesło symetrycznie i usiadł na nim. Porzucił kartonową układankę, by zająć się łamigłówką morderstwa. Wyjął notes z kieszeni i małymi, starannymi literami zapisał: „Etienne de Sousa, Amanda Brewis, Alec Legge, Sally Legge, Michael Weyman”.

¹⁶ fr. Ależ tak.

Nie było fizycznie możliwe, by Marlenę Tucker zabił Sir George albo Jim Warburton. Tego samego nie dało się jednak powiedzieć o pani Oliver, więc Poirot dodał ją do listy, zostawiając jednak pewien odstęp po pierwszych pięciu nazwiskach. Dopisał również panią Masterton, ponieważ nie pamiętał, by żona posła stale znajdowała się na placu festynowym pomiędzy czwartą i za kwadrans piątą. Na listę trafił lokaj Henden, bardziej może dlatego, że w scenariuszu Polowania na Mordercę pani Oliver umieściła figurę ponurego lokaja, niż z powodu jakichś poszlak, które wskazywałyby na ciemnowłosego wirtuoza uderzania pałką w gong. Po nim Poirot zapisał „chłopaka w koszulce z żółwiami”. Następnie uśmiechnął się, potrząsnął głową, z klapy marynarki wyciągnął szpilkę, zamknął oczy i dźgnął na ślepo. Tak samo dobry sposób inny — pomyślał.

Zezłościł się, bo szpilka tkwiła przy ostatniej pozycji na liście.

— Jestem imbecylem. Co chłopak w koszulce z żółwiami ma wspólnego z tym wszystkim?

Ale przecież musiał mieć jakiś powód dopisując tę zagadkową postać do wykazu podejrzanych. Poirot przypomniał sobie tę chwilę, kiedy na progu gloriety stanął ten młody człowiek, ogromnie zdumiony. Nieprzyjemna twarz, mimo że zdobiła ją młodość. Arogancka, bezwzględna. Ten chłopak przybył tam w jakimś celu. Przyszedł, żeby się z kimś widzieć. Z kimś, z kim nie mógł albo nie chciał spotkać się normalnie, jawnie. To była schadzka, która nie powinna zwrócić niczyjej uwagi. Tajne spotkanie winowajców? Coś związanego z morderstwem?

Chłopak zatrzymał się w schronisku młodzieżowym, a więc nie powinien w tej okolicy przebywać dłużej niż dwie noce. Czy znalazł się tu przypadkowo jako jeden z wielu studentów odwiedzających Wielką Brytanię? Czy przybył w określonym celu, żeby się z kimś spotkać? W dniu festynu każde spotkanie mogło wyglądać na przypadkowe.

Wiem sporo — powiedział do siebie Herkules Poirot. Mam w rękach mnóstwo kawałków tej układanki. Orientuję się co do rodzaju popełnionej zbrodni, ale chyba patrzę na nią pod niewłaściwym kątem.

Przewrócił kartkę w notesie i zapisał: „Czy Lady Stubbs prosiła pannę Brewis, by zaniósła Marlenie przekąskę? Jeśli nie, to dlaczego panna Brewis tak twierdzi?”

Zastanowił się nad tym. Panna Brewis mogła przecież sama wpaść na ten pomysł, nikt nie musiał jej podpowiadać. Jeśli tak było, to dlaczego nie powie o tym po prostu? Czy może panna Brewis, kiedy zeszła do szopy, zastała już Marlenę martwą? Ale nie jest przecież kobietą szczególnie nerwową, histeryczką, więc czemu nie wszczęłaby alarmu natychmiast po znalezieniu trupa, jeżeli to nie ona zabiła?

Wpatrywał się przez jakiś czas w te dwa pytania. Nie mógł wyzbyć się wrażenia, że gdzieś w tych słowach tkwi wskazówka nakierowana na prawdę, której nie mógł uchwycić. Po czterech czy pięciu minutach skreślił dwa następne zdania: „Etienne de Sousa utrzymuje, że napisał list do kuzynki na trzy tygodnie przed przybyciem do Nasse House. Prawda to czy fałsz?”

Poirot był prawie pewien, że to kłamstwo. Wspominał scenę przy śniadaniu. Przecież Sir George i Lady Stubbs nie mieli najmniejszego powodu, by udawać zaskoczenie, a w wypadku Hattie również konsternację, skoro zaskoczenia nie było. W jakim celu udawać zdumienie? Jeśli jednak de Sousa kłamał, to po co? Żeby stworzyć wrażenie, że ta wizyta była zapowiadzana i oczekiwana? Możliwe, ale i wątpliwe. Brak dowodu, że list został kiedykolwiek napisany i doręczony. Czy de Sousa tak kreował swój wizerunek człowieka o czystych intencjach, którego przyjazd jest czymś naturalnym? Sir George przyjął go całkiem ciepło, mimo że przecież go nie znał.

Myśl Poirota zatrzymała się w tym miejscu. Sir George nie znał de Sousy. Lady Stubbs, która go znała, nie zobaczyła się z nim. Może tu się coś kryje? Czy jest możliwe, by Etienne de Sousa, który przybył w dniu festynu, nie był prawdziwym Etienнем de Scusą? Ale jaki w

tym sens? Co miałby tu uzyskać fałszywy de Sousa? Rzekomy czy autentyczny, de Sousa nie odniósł żadnych korzyści w związku ze śmiercią Hattie. Policja stwierdziła, że nie miała ona żadnych własnych pieniędzy, jej wydatki pokrywał mąż.

Poirot próbował przypomnieć sobie dokładnie, co . Lady Stubbs powiedziała mu tamtego ranka. „To zły człowiek. On robi podłe rzeczy”. A według Blanda mężowi powiedziała: „On zabija ludzi”.

Teraz, kiedy analizuje się fakty, nie sposób zignorować tych słów: „On zabija ludzi”.

W dniu, w którym Etienne de Sousa przybył do Nasse House, jedna osoba została zabita z pewnością, druga prawdopodobnie. Pani Folliat radziła, by nie przywiązywać wagi do infantylnych wypowiedzi Hattie. Powiedziała to z takim naciskiem. Pani Folliat...

Poirot zmarszczył brwi i z rozmachem uderzył dłonią w oparcie fotela.

— Zawsze, zawsze powracam do pani Folliat. Ona stanowi klucz do całej sprawy. Gdybym wiedział to, co wie ona... Nie mogę dłużej siedzieć w fotelu i dumać. Nie, muszę wsiąść do pociągu, pojechać znowu do hrabstwa Devon i odwiedzić panią Folliat.

II

Poirot zatrzymał się na chwilę przed wielką bramą z kutego żelaza. Patrzył w stronę krętej alei dojazdowej do rezydencji Nasse House. Lato odeszło. Złotobrzazowe liście sfruwały bez pośpiechu z drzew. Małe cyklameny znaczyły fioletem trawiaste pobocza. Poirot westchnął. Wbrew swoim gustom był pod wrażeniem urody Nasse House. Nie należał do miłośników dzikiej przyrody. Lubił rzeczy uporządkowane, przystrzyżone, a jednak urzekło go delikatne, naturalne piękno tej masy drzew i krzewów.

Po lewej widniał mały biały domek z portykiem. W to pogodne popołudnie pani Folliat pewnie gdzieś wyszła. Powędrowała może z tym swoim koszem ogrodniczki albo odwiedza sąsiadów. Ma tylu przyjaciół. To była jej posiadłość przez wiele długich lat. Co powiedział ten staruszek na przystani? „Zawsze będzie Folliat w Nasse House”.

Poirot zapukał delikatnie do drzwi pod portykiem. Po chwili usłyszał kroki. Ktoś podchodził powoli i jakby z wahaniem. Następnie drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Folliat. Zdumiał się, wyglądała na bardzo starą i wątłą. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Poirot? Pan!

Wydawało mu się przez moment, że widzi cień strachu w jej oczach, ale może było to tylko złudzenie.

— Czy mogę wejść, *madame*?

— Ależ proszę.

Otrząsnęła się z zaskoczenia i gestem ręki zaprosiła gościa do saloniku. Obok kominka stało kilka filigranowych statuetek chelsea, parę foteli okrytych misternie udzierganymi narzutami, a na stole serwis herbaciany derby.

— Przyniosę jeszcze jedną filiżankę.

Poirot niezdecydowanie podniósł rękę, by powiedzieć „dziękuję, nie”, ale pani Folliat nie przyjęła odmowy.

— Oczywiście musi pan napić się herbaty.

Wyszła z pokoju, a Poirot rozejrzał się po nim raz jeszcze. Na stole leżała robótka z wbitymi drutami. Biblioteczkę obok okna wypełniały książki. Na ścianie wisiało parę miniatur i wyblakła fotografia w srebrnych ramkach mężczyzny w mundurze z nastroszonymi wąsami i cofniętym podbródkiem.

Pani Folliat powróciła do saloniku z filiżanką w ręce.

— To pani mąż?

— Tak.

Widząc, że Poirot wodzi wzrokiem po ścianach, jakby szukając innych fotografii, pani Folliat powiedziała szorstko:

— Nie przepadam za zdjęciami. Jak się człowiek nimi obwiesi, to żyje przeszłością. Trzeba nauczyć się zapominać. Uschnięte drzewa należy wycinać.

Poirot przypomniał sobie chwilę, gdy po raz pierwszy zobaczył panią Folliat. Strzygła wówczas sekatorem krzewy i coś powiedziała — pamiętał — o wycinaniu uschniętych pędów. Patrzył zamyślony, zastanawiając się nad jej charakterem. Zagadkowa kobieta, wygląda na łagodną i słabą, ale chyba może odezwać się w niej i bezwzględność. Kobieta, która potrafi obcinać uschnięte pędy, robi to także we własnym życiu...

— Mleko? Cukier? — napełniła filiżankę herbatą.

— Trzy kostki, gdyby pani była taka dobra, *madame*.

— Bardzo się zdziwiłam, widząc tu pana. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że może pan jeszcze kiedyś przejeżdżać przez tę część świata.

— Nie jestem przejazdem.

— Nie? — uniosła lekko brwi.

- Specjalnie przyjechałem do tej części świata. Patrzyła na niego pytająco.
- Przyjechałem tu między innymi po to, by zobaczyć się z panią, *madame*.
- Naprawdę?
- Przede wszystkim: czy nie było żadnej wiadomości o młodej Lady Stubbs?

Pani Folliat pokręciła głową.

— Któregoś dnia w Kornwalii woda wyrzuciła ciało. George pojechał na identyfikację zwłok, ale to nie była ona. Strasznie mi żal George'a. Okropne przejścia.

— Czy on wciąż wierzy, że żona żyje?

— Myślę, że stracił już nadzieję. Przecież gdyby Hattie żyła, nie mogłaby się ukryć przed całą szukającą jej prasą i policją. Gdyby nawet przydarzyło się jej coś w rodzaju utraty pamięci, chyba ją do tej pory policja znalazła.

— Tak się wydaje. Czy policja wciąż szuka?

— Przypuszczam, że szuka. Nie wiem na pewno.

— Ale Sir George stracił nadzieję.

— On tak nie mówi. Nie widziałam go ostatnio. Przebywa głównie w Londynie.

— A co z tą zamordowaną dziewczyną? Czy coś ustalono?

— Nie wiem o niczym. To wygląda na zupełnie bezsensowną zbrodnię, żadnego wytłumaczenia. Biedne dziecko...

— Widzę, że wciąż pani to przeżywa, *madame*.

— Myślę, że kiedy jesteśmy starzy — odezwała się pani Folliat po chwili milczenia — bardzo przeżywamy śmierć kogoś młodego. My, w podeszłym wieku, oczekujemy już śmierci, ale to dziecko miało całe życie przed sobą.

— To mogło być nieciekawe życie.

— Z naszego punktu widzenia może nieciekawe, ale dla niej mogło być interesujące.

— I chociaż, jak pani powiedziała, my, w podeszłym wieku, musimy już oczekiwać śmierci, wcale nie chcemy umierać. Ja przynajmniej nie chcę. Życie wydaje mi się wciąż atrakcyjne.

— Ja jestem już bardzo zmęczona, panie Poirot — mówiła bardziej do siebie niż do niego. Ramiona jakby opadły jej jeszcze niżej. — Nie tylko jestem gotowa, ale będę wdzięczna, kiedy przyjdzie na mnie czas.

Rzucił na nią szybkie spojrzenie. Zastanawiał się, tak jak myślał nad tym już wcześniej, czy rozmawia z chorą kobietą, która ma już świadomość, a nawet pewność nadchodzącej śmierci. Inaczej nie mógł sobie wytłumaczyć taić wielkiego jej wyczerpania i widocznego znużenia.

Znużenie, zniechęcenie, czuł to, nie było jej cechą wrodzoną. Amy Folliat, nie wątpił, odznaczała się charakterem, energią, determinacją. Przeszła różne koleje losu, straciła dom, bogactwo, przeżyła śmierć synów. I po tych wszystkich ciosach, wiedział to, podniosła się. Wycinała „suche drzewa”, jak to sama określiła. Ale teraz było w jej życiu coś, czego nie mogła wyciąć, czego nikt nie mógł wyciąć dla niej. Jeśli nie choroba ciała, to nie umiał odgadnąć, co by to mogło być innego. Posłała mu nikły uśmiech, jakby czytając w jego myślach.

— Naprawdę, wie pan, nie bardzo jest po co żyć. Mam wielu przyjaciół, ale żadnych bliskich krewnych, żadnej rodziny.

— Ma pani swój dom — powiedział Poirot pchnięty impulsem.

— Mówi pan o Nasse. Tak...

— To pani dom, choć prawnie jest własnością Sir George'a Stubbsa? Teraz, gdy Sir George Stubbs wyjechał do Londynu, pani rządzi zamiast niego.

Znowu dostrzegł cień strachu w jej oczach. W głosie zaś miała coś lodowatego.

— Nie całkiem rozumiem, co pan ma na myśli, Poirot. Wdzięczna jestem Sir George'owi, że wynajmuje mi ten domek ogrodnika. Płacę roczny czynsz i zgodnie z umową mam prawo chodzić swobodnie po całym terenie.

— Proszę mi wybaczyć, *madame*. Nie chciałem pani urazić.

— Bez wątpienia źle pana zrozumiałam — odrzekła zimno pani Folliat.

— To piękne miejsce. Wspaniały dom, uroczy teren. Taki tu ogromny spokój, wyjątkowe zacisze.

— Tak — twarz pani Folliat rozjaśniła się. — Zawsze to nas uderzało. Odczułam tę ciszę od razu, kiedy jako dziecko przyjechałam tu po raz pierwszy.

— I nadal trwa spokój w tym zaciszu?

— A czemu nie?

— Nie osądzony morderca. Rozlana niewinna krew. Póki nie zniknie ten cień, nie będzie spokoju. Myślę, że wie pani to, *madame*, równie dobrze jak ja.

Pani Folliat nie odpowiedziała. Nie poruszała się i milczała. Poirot nie miał pojęcia, o czym myślała. Pochylił się nieco do przodu i przemówił ponownie.

— *Madame*, pani wie bardzo dużo, być może wszystko, o tym morderstwie. Wie pani, kto zabił dziewczynę, wie pani, dlaczego. Wie pani, kto zabił Hattie Stubbs i pewnie zna pani miejsce, w którym ukryte jest jej ciało.

W tym momencie pani Folliat przemówiła. Jej głos był donośny i niemal ostry.

— Nic nie wiem. Nic.

— Może użyłem złego słowa. Pani nie wie, ale pani się domyśla. Jestem całkiem pewien, że pani się domyśla.

— Ależ pan opowiada, proszę mi wybaczyć, bzdury!

— To nie bzdury. To coś zupełnie innego. To zagrożenie.

— Zagrożenie? Dla kogo?

— Dla pani, *madame*. Nie ujawniając tego, co pani wie, wystawia się pani na niebezpieczeństwo. Znam morderców lepiej niż pani, *madame*.

— Już panu mówiłam. Nic nie wiem.

— Ale podejrzewa pani...

— Nikogo nie podejrzewam.

— To, pani wybaczy, nie jest prawda, *madame*.

— Mówienie jedynie o podejrzaniach byłoby niegodziwe, naprawdę nikczemne.

— Równie nikczemne jak to, co zrobiono tutaj przed miesiącem?

Skuliła się, wciśnięta w fotel. Wszeptała:

— Niech mi pan nie mówi o tym — westchnęła i wzdrygnęła się. — To już jest w każdym razie skończone. Już po wszystkim.

— Jak pani może tak mówić, *madame*! Powiem pani, co wynika z mojego doświadczenia: z mordercą nigdy nie jest skończone.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Nie, to koniec. A w każdym razie ja nic nie mogę zrobić. Nic.

Poirot wstał i patrzył na panią Folliat z góry.

— Przecież nawet policja zrezygnowała — powiedziała nerwowo.

— O nie, *madame*, tu się pani myli. Policja nie rezygnuje. I ja — dodał — również nie rezygnuję. Niech pani to zapamięta, *madame*. Ja, Herkules Poirot, nie rezygnuję.

Typowe słowa na pożegnanie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po opuszczeniu Nasse Poirot poszedł do wioski, gdzie dopytał się o dom Tuckerów. Przez parę chwil nikt nie otwierał, bo pukanie Poirota zagłuszała tyrada gospodyni besztającej gromko męża.

— Co ty sobie w ogóle myślisz, Tucker, włączając w tych buciorach na moje piękne linoleum? Żebym to raz mówiła, ale powtarzałam tysiąc razy. Całe rano pucowałam, a teraz, no popatrz, jak to wygląda?

Niezbyt głośne pomruki stanowiły najwyraźniej reakcję pana Tuckera na tę reprimendę. Raczej pojednawcze pomruki.

— Zapomniałem, zapomniałem, to nie zapominaj! Wszystko przez to, że się tak rwiesz do radia, żeby słuchać tego sportu. Ileż to czasu potrzeba, żeby zdjąć buty, minutę? A ty, Gary, co ty tam wyprawiasz z tym lizakiem? Nie chcę mieć żadnych śladów po lepkich paluchach na mojej najlepszej srebrnej łyżeczce. Marilyn, ktoś tam stuka do drzwi. Idź no, zobacz, kto to.

Drzwi uchyliły się nieco. Dziecko około lat dwunastu patrzyło zza nich podejrzliwie na Poirota. Jeden policzek miało wypchany cukierkiem. Była to tłuściutka dziewczynka z małymi niebieskimi oczami i urodą prosiaczka.

— Mama, to pan — zawołała.

Pani Tucker, z kosmykami włosów wiszącymi wokół nieco rozpalonej twarzy, podeszła do drzwi.

— Co to jest? — odezwała się ostro. — Nie potrzebujemy... — zamilkła. Wyraz skupienia pojawił się na jej twarzy. Poznała. — Zaraz, czy to nie pana widziałam w tamtym dniu razem z policją?

— Niestety, *madame*, moja osoba przywołuje te bolesne wspomnienia — Poirot zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

Pani Tucker z przerażeniem rzuciła szybkie spojrzenie na jego nogi, ale buty Poirota z patentowej skóry nie były nawet zakurzone. Na wypolerowanym na błysk linoleum pani Tucker nie pozostawiały żadnych śladów.

— Proszę, proszę, sir — kobieta wprowadziła go do saloniku po prawej, w którym panowała nieskazitelna czystość i idealny porządek. Dominowały tam wielkie meble w stylu z czasów Jakuba I, poza tym był okrągły stół, dwie pelargonie w doniczkach, misternie wykonana mosiężna krata przed kominkiem i mnóstwo rozmaitych ozdób z porcelany.

— Niech siada, sir, no. Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. Zresztą chyba w ogóle nigdy nie słyszałam.

— Nazywam się Herkules Poirot. Znowu znalazłem się w tych stronach, przychodzę więc, by złożyć kondolencje i spytać, czy jest coś nowego w sprawie. Wierzę, że morderca córki został wykryty.

— Ani widu, ani słychu. Nie ma mordercy — powiedziała z goryczą. — To jest zupełne łajdactwo moim zdaniem. Policja nie zamierza się wysilać, jeśli nieszczęście spada na zwykłych ludzi, jak my. A zresztą, kto jest w tej policji? Jeśli wszyscy tacy jak Bob Hoskins, to dziwię się, że cały kraj nie jest jeszcze w łapach zbrodniarzy. On nie robi nic innego, tylko zagląda do samochodów stojących pod parkiem.

W tym momencie do saloniku wszedł, w skarpetkach, pan Tucker. Był to wielki mężczyzna z czerwoną twarzą o łagodnym wyrazie.

— Policja jest w porządku — powiedział ochryplym głosem. — Mają swoje kłopoty, jak wszyscy. Takich zboczeńców nie jest łatwo znaleźć. Wyglądają przecież tak samo jak ja albo pan — zwrócił się do Poirota.

Dziewczynka, która otworzyła drzwi Poirotowi, pokazała się za ojcem, a zza jej pleców wystawił głowę chłopczyk, może ośmioletni. Dzieci patrzyły na gościa z ciekawością.

— To młodsza córka, prawda? — spytał Poirot.

— Tak, to Marilyn, a synek ma na imię Gary. No chodź tu, Gary. Pokaż, że umiesz się zachować. Przywitaj się z panem.

Gary ruszył do odwrotu.

— Taki nieśmiały — westchnęła matka.

— Bardzo pan uprzejmy, jasne, sir — zachrypiął Tucker — że pan przyszedł zapytać o Marlenę. Och, to była straszna rzecz, jasne.

— Właśnie byłem u pani Folliat. Ona, zdaje się, również bardzo to przeżyła.

— Od dawna jej się nie układa — powiedziała Tuckerowa. — Jest już starsza, to był dla niej szok. Zbrodnia na jej włosciach.

Poirot po raz kolejny zwrócił uwagę, że o Nasse House wciąż powszechnie mówi się jak o własności pani Folliat.

— Ona czuje się przez to trochę odpowiedzialna — dodał Tucker. — Nie żeby miała z tym coś wspólnego, ale...

— Kto zaproponował, żeby Marlenę zagrała rolę ofiary? — spytał Poirot.

— Ta pani z Londynu, co pisze książki — odpowiedziała z miejsca Tuckerowa.

— Ale przecież to obca osoba. W ogóle nie znała Marleny.

— Pani Masterton naganiała dziewczynki. I to pewnie pani Masterton namówiła Marlenę. Ale chciałam powiedzieć, że córce bardzo się to podobało.

I znowu Poirot miał wrażenie, że wyrasta przed nim ślepa ściana. Ale teraz wiedział, co czuła pani Oliver, kiedy wzywała go przed festynem. Ktoś działał z ukrycia, niewidoczny, a do realizacji swoich zamierzeń popychał konkretne osoby. Panią Oliver, panią Masterton. To były jego marionetki.

— Zastanawiałem się, pani Tucker, czy Marlene znała wcześniej tego... e... maniaka seksualnego.

— Ona nie mogła znać nikogo takiego — zapewniła z przekonaniem Tuckerowa.

— Ale, co właśnie zauważył pani mąż, tych zбочeńców bardzo trudno rozpoznać. Wyglądają jak ja albo jak pan Tucker. Ktoś mógł rozmawiać z Marleną na festynie albo wcześniej. W sposób na pozór zupełnie niewinny. Może dał jej prezent, jakiś drobiazg.

— Och nie, sir, nic w tym rodzaju. Marlene nie przyjęłaby prezentu od obcego. Ja jej tak nie wychowałam.

— Ale ona mogła nie widzieć w tym nic złego — uporczywie dążył kwestię Poirot. — Na przykład jakaś sympatyczna dama coś jej wręczyła.

— Ktoś taki jak młoda pani Legge z domku Mili Cottage?

— Właśnie. Ktoś taki.

— Raz dała Marlenie szminkę. Strasznie się wściekłam. „Nie będziesz sobie tym mazać gęby” — krzyknęłam. „Pomyśl tylko, co powie ojciec”. A ona na to, bezczelna, że to od tej damy z domku Lawdera. Jakbym miała ją za to pochwalić, tak powiedziała. A ja jej na to, żeby nie słuchała tych londyńskich damulek. „One mogą sobie malować usta, czernić rzęsy i wszystko inne, a ty jesteś porządną dziewczyną i póki nie będziesz starsza, musi ci wystarczyć mydło i woda”.

— Ale przypuszczam, że ona miała inne zdanie — uśmiechnął się Poirot.

Tłusta Marilyn zachichotała z nagłą. Poirot zerknął na nią z zainteresowaniem.

— Czy pani Legge dała Marlenie coś jeszcze?

— Zdaje się jakąś chustkę perkalikową, która nie była jej już potrzebna. Bardzo jaskrawą, ale w lichym gatunku. Ja od razu widzę, jaki jest gatunek. Jeszcze jako dziewczyna pracowałam w Nasse House. Wtedy to damy nosiły rzeczy w przyzwoitym gatunku. Nie było

tych pstrokatych kolorów, nylonów, sztucznych rzeczy, był prawdziwy, porządny jedwab. Niektóre suknie z tafty to same stały.

— Dziewczyny lubią się stroić — wtrącił się Tucker z pobłażaniem. — Nie mam nic przeciw jaskrawym kolorom, ale to mazanie po twarzy szminką...

— Byłam dla niej trochę surowa — oczy Tuckerowej zwilgotniały nagle — a ona odeszła od nas w taki straszny sposób. Teraz żałuję, że tak na nią nakrzyczałam. Ach, nic tylko kłopoty i pogrzeby ostatnio. Mówią, że nieszczęścia chodzą parami i to jest prawda.

— Mieli państwo jeszcze inną śmierć w rodzinie? — spytał delikatnie Poirot.

— Żony ojciec — wyjaśnił Tucker. — Wracał swoją łódką spod „Trzech Psów” późnym wieczorem. Musiał się potknąć wysiadając na przystani i wpadł do rzeki. Jasne, że w swoim wieku powinien siedzieć w domu. Ale staremu nie przetłumaczysz. Stale szwendał się po tej przystani.

— Ojciec zawsze lubił zajmować się łodziami — dodała Tuckerowa. — Kiedyś, dawno, pan Folliat dał mu swoje łodzie pod opiekę, och, ile to już lat temu. Śmierć ojca to co innego. Był już dobrze po dziewięćdziesiątce. Zawsze opowiadał jakieś głupoty, czasem aż człowieka rozżłościł. Na niego był już czas. Ale oczywiście musieliśmy zrobić mu pogrzeb jak się należy. Były więc dwa pogrzeby, jeden po drugim, na to poszło dużo pieniędzy.

Puszczając te uwagi natury finansowej mimo uszu, Poirot przywołał z pamięci wyblakły obraz.

— Staruszek na przystani? Przypominam sobie, że rozmawiałem z nim. Jak się nazywał?

— Merdell, sir. To moje panięskie nazwisko.

— Pani ojciec, jeżeli dobrze pamiętam, był głównym ogrodnikiem w Nasse?

— Nie, to mój najstarszy brat. Jestem najmłodsza z całej rodziny, było nas jedenaścioro. Merdellowie trzymali się w Nasse przez długie lata, ale już się rozproszyli. Ojciec był ostatni.

— Zawsze będzie Folliat w Nasse House — zamruczał cicho Poirot.

— Słucham, sir?

— Powtarzam, co ojciec pani powiedział mi na przystani.

— Ach, różne on głupstwa wygadywał. Ile to razy musiałam go na gwałt uciszać.

— A więc Marlene była wnuczką Merdella. Tak, zaczynam rozumieć.

Poirot milczał przez chwilę, był coraz bardziej podekscytowany.

— Powiedziała pani, że ojciec utopił się w rzece?

— Tak, sir. Wypił o kropelkę za dużo. Ale nie wiem, skąd miał pieniądze. Dostawał od czasu do czasu napiwki na przystani, bo pomagał ludziom przy łodziach i przy parkowaniu samochodów. Bardzo sprytnie ukrywał przede mną pieniądze. Tak, boję się, że on wypił kropelkę za dużo. Pewnie się potknął albo pośliznął, kiedy wychodził z łódki. Wpadł do wody i utopił się. Ciało zostało wyrzucone na brzeg w Helmmouth następnego dnia. Można się dziwić, że nie zdarzyło się to wcześniej, miał przecież dziewięćdziesiąt dwa lata i był na wpół ślepy.

— A jednak wcześniej się nie zdarzyło. I to jest fakt...

— Wypadki się trafiają, wcześniej czy później...

— Wypadek — zamyślił się Poirot. — Ciekawe. Powinienem odgadnąć — mrucał. — Odgadnąć dawno temu. Dziecko właściwie mi powiedziało...

— Słucham pana, sir?

— Nie, nic. Proszę jeszcze raz przyjąć moje kondolencje zarówno w związku ze śmiercią córki, jak i zgonem pani ojca.

Podał obojgu Tuckerom rękę na pożegnanie i wyszedł.

— Ależ byłem głupcem — burczał do siebie — strasznym głupcem. Wszystko widziałem zupełnie odwrotnie.

— Halo, pan — usłyszał ostrożny szept i rozejrzał się. W cieniu ściany stała tłusta Marilyn i machała ręką, żeby podszedł bliżej.

— Mama o wszystkim nie wie — szepnęła. — Marlene wcale nie dostała chusty od pani z domku.

— A skąd ją miała?

— Kupiła w Torquay razem ze szminką i perfumami „Newt w Paryżu”. Śmieszna nazwa. A, jeszcze słój krówek, o których czytała w ogłoszeniu, w gazecie. Mama nic nie wie — zachichotała. — Schowała to w szufladzie, z tyłu, pod zimowymi rzeczami. Jak jechała do kina, to wchodziła do klozetu na przystanku autobusowym i tam się malowała.

Mama nigdy się nie dowiedziała — zachichotała. Marilyn. Czy mama znalazła te rzeczy po śmierci Marleny?

Marilyn potrząsnęła jasną czupryną. Nie, teraz one są w mojej szufladzie. Mama nic nie wie.

— Wyglądasz na rozgarniętą dziewczynkę, Marilyn. Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Panna Bird w szkole narzeka na mnie.

— Szkoła to jeszcze nie wszystko. Powiedz mi, skąd Marlene miała pieniądze, żeby kupić te rzeczy?

Marilyn przyglądała się z wielką uwagą rynnie.

— Nie wiem — mruknęła.

— Myślę, że wiesz.

Poirot zupełnie bezwstydnie wyjął z kieszeni monetę, pół korony, i dołożył drugą taką samą.

— Zdaje się, że jest nowa szminka w atrakcyjnym odcieniu, nazywa się „Karminowy Całus”.

— Kapitalna nazwa — ręka Marilyn wyciągnęła się po pięć szylingów. — Ona trochę podglądała, Marlene to robiła. Widziała czasem coś, pan wie, co. Potem obiecywała, że nikomu nie powie i oni dawali jej za to prezent.

— Rozumiem — Poirot podał dziewczynie pięć szylingów, skłonił się i odszedł. — Rozumiem — mrucał.

Tyle rzeczy pasowało już do siebie. Nie wszystkie. Sprawa nie była jeszcze jasna, ale znajdował się na właściwej drodze. Jeśli tylko rozum pozwoli mu tę drogę stale widzieć, dotrze do rozwiązania. Pierwsza rozmowa z panią Oliver, parę zwykłych uwag Michaela Weymana, znaczące słowa Merdella na przystani, błysk światła w jednym zdaniu panny Brewis, przybycie Etienne’a de Sousy.

Budka telefoniczna stała obok budynku wiejskiej poczty. Wykręcił numer i uzyskał połączenie z inspektorem Blandem.

— Gdzie pan jest, panie Poirot?

— Tutaj, w Nassecombe.

— Ale przecież wczoraj po południu był pan w Londynie?

— To tylko trzy i pół godziny jazdy dobrym pociągiem. Mam do pana pytanie.

— Tak?

— Jakiego rodzaju jacht ma Etienne de Sousa?

— Chyba zgaduję, co pan ma na myśli, panie Poirot, ale zapewniam pana, że to nic z tych rzeczy. Nie jest przystosowany do kontrabandy, jeśli to ma pan na myśli. Żadnych sprytnie zamaskowanych ścianek ani szafek. Gdyby były, na pewno byśmy je odkryli. Żadnych szans na przemycenie trupa.

— Myli się pan, *mon cher*¹⁷, nie o to pytam. Chcę tylko wiedzieć, czy to duży, czy mały jacht?

— Och, bardzo wytworny. Musiał kosztować fortunę. Świeży lakier, nikiel, luksusy.

¹⁷ *fr.* mój drogi.

— Doskonale — w głosie Poirota było tyle zadowolenia, że inspektor Bland nie wytrzymał.

— Do czego pan zmierza, panie Poirot?

— Etienne de Sousa, bogacz. To, przyjacielu, jest bardzo istotne.

— Dlaczego?

— Bo pasuje do mojej najnowszej hipotezy.

— A więc ma pan hipotezę?

— Tak. Mam w końcu. Do tej pory byłem strasznie głupi.

— Chce pan powiedzieć, że wszyscy byliśmy bardzo głupi.

— Nie. Ja byłem nadzwyczaj głupi. Wskazano mi bardzo wyraźny trop, a ja go nie dostrzegłem.

— Ale teraz jest już pan na tropie?

— Myślę, że tak.

— Niech pan posłucha, panie Poirot...

Poirot powiesił jednak słuchawkę. Po obszukaniu kieszeni wrzucił następne monety do automatu i wykręcił londyński numer pani Oliver. Trochę się obawiał, bo kiedyś swoim telefonem przerwał spływ twórczej weny na panią Oliver i w konsekwencji pozbawił świat intrygującej opowieści o tajemnicy staromodnego kaftana. Tym razem dzwonił jednak w fortunniejszym momencie, bo pani Oliver przywitała go ciepło.

— To wspaniale, że pan dzwoni. Miałam właśnie niedługo wygłaszać odczyt Jak piszę książki. A teraz mogę polecić sekretarce, żeby odwołała moją prelekcję z ważnych przyczyn.

— Ależ, *madame*, z mojego powodu proszę nie...

— Och, bardzo dobrze — zapewniała radośnie pani Oliver. — Zrobiłabym z siebie straszną idiotkę. Jak piszę książki, co ja mogłabym powiedzieć na ten temat? O czym tu mówić? Najpierw trzeba coś wymyślić, a potem zmusić się, sięść i to napisać. I wszystko. Powiedziałabym to w trzy minuty i potem odczyt by się skończył, a wszyscy byliby rozczarowani. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie chcą, żeby pisarz mówił o pisaniu. Uważam, że rzeczą pisarza jest pisać, a nie mówić.

— Ale ja też chciałem prosić, żeby powiedziała pani, jak pisze.

— Może pan pytać, ale pewnie nie będę znała odpowiedzi. To znaczy, po prostu siada się i się pisze. Przepraszam na moment. Włożyłam na ten odczyt okropnie idiotyczny kapelusz. Drapie mnie w czoło.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem odezwała się znowu pani Oliver z wyraźną ulgą w głosie.

— Kapelusze są w naszych czasach już tylko symbolem, prawda? Nikt już ich nie nosi z praktycznych powodów: żeby było ciepło w głowę, dla osłony przed słońcem albo żeby ukryć twarz przed ludźmi, z którymi nie chce się rozmawiać, nie chce się być rozpoznaną. Przepraszam, czy pan coś mówił, panie Poirot?

— Tak sobie wykrzyknąłem. Pani zawsze podsuwa mi jakąś myśl — w głosie Poirota brzmiał lęk. — Tak jak mój przyjaciel Hastings, którego nic widziałem już od tylu lat. Pani podsunęła mi właśnie rozwiązanie do kolejnego fragmentu mojej łamigłówki. Ale na razie nie mówmy o tym. Czy mógłbym natomiast zadać pani inne pytanie? Czy zna pani jakiegoś fizyka jądrowego, *madame*?

— Czy znam fizyka jądrowego? — pani Oliver zdziwiła się tym pytaniem. — Nie wiem. Może. Znam paru profesorów, ale nigdy nie jestem całkiem pewna, czym oni się naprawdę zajmują.

— Ale jednym z podejrzanych w swoim Polowaniu na Mordercę uczyniła pani fizyka jądrowego?

— Ach! Chciałam po prostu być nowoczesna. Kiedy kupowałam prezenty pod choinkę moim siostrzeńcom, sklepy zawałone były zabawkami typu science fiction, samolotami

ponaddźwiękowymi, więc potem, obmyślając ten turniej detektywistyczny, powiedziałam sobie: „Bądź nowoczesna, uczyni fizyka jądrowego głównym podejrzanym”. Gdybym potrzebowała trochę naukowego żargonu, zawsze mogłam poprosić o pomoc Aleca Legge.

— Alec Legge, mąż Sally Legge? Czy on jest fizykiem jądrowym?

— Tak. Ale nie z Harwell. On pracuje gdzieś w Walii, chyba w Cardiff. A może jednak w Bristolu? A w Devon, nad rzeką Helm, mają tylko domek letni. Tak, okazuje się więc, że znam fizyka jądrowego.

— I pewnie, kiedy go pani spotkała w Nasse House, przyszła pani do głowy myśl o włączeniu w wątek fizyka jądrowego. Ale jego żona nie jest Jugosłowianką.

— Och, nie. Sally jest stuprocentową Angielką. Chyba pan to czuje?

— Więc skąd ta Jugosłowianka?

— Naprawdę nie wiem... Może uchodźcy? Studenci? Te wszystkie dziewczyny z zagranicy, które przechodzą dziurami w płocie od schroniska na grunty Nasse. Odpowiadają łamaną angielszczyzną.

— Rozumiem... Tak, teraz rozumiem wiele rzeczy.

— Najwyższy czas — zauważyła pani Oliver.

— *Pardon?*

— Powiedziałam, że już najwyższy czas, aby zrozumiał pan wiele rzeczy. Do tej pory właściwie nic pan nie zrobił — w głosie jej brzmiał wyrzut.

— Trudno się od razu we wszystkim połapać. Policja całkiem się pogubiła.

— Och, policja. Gdyby kobieta stała na czele Scotland Yardu...

— Sprawa — słysząc znaną śpiewkę, Poirot przerwał jej czym prędzej — jest bardzo skomplikowana. Ale już, mówię to pani w zaufaniu, jestem bardzo bliski jej rozwiązania!

Nie zrobiło to większego wrażenia na pani Oliver.

— A tymczasem, ośmielę się powiedzieć, zdarzyły się dwa morderstwa.

— Trzy — poprawił ją Poirot.

— Trzy morderstwa? A kto był trzeci?

— Staruszek Merdell.

— Nie słyszałam o tym. Było w gazetach?

— Nie, do tej pory uważano to za nieszczęśliwy wypadek.

— A to nie był wypadek?

— Nie, to nie był wypadek.

— No więc niech mi pan powie, kto go zamordował, kto zabił wszystkich troje? Czy teraz pan nie może?

— Takich rzeczy nie mówi się przez telefon.

— To ja odkładałam słuchawkę, bo nie mogę wytrzymać.

— Niech pani zaczeka. Chciałem o coś jeszcze zapytać. Zaraz, co to było?

— To jest oznaka starości. Również to miewam. Zapomina się...

— Jedna drobna sprawa, to mnie martwi. Tam w szopie...

Właśnie, tam w szopie. Wysłał pamięć. Stos komiksów na stole z gryzmołami Marleny na marginesach. „Albert chodzi z Doreen”. Miał wrażenie, że czegoś tam brakowało. O to właśnie musi zapytać panią Oliver.

— Jest coś bardzo ważnego. Pamięta pani Polowanie na Mordercę?

— Też pytanie. Przecież o tym w końcu rozmawiamy, prawda?

— Popeniłem wielki błąd. Nigdy nie przeczytałem tej historii kryminalnej, którą napisała pani dla uczestników turnieju detektywistycznego. Wydawało mi się, że wobec rzeczywistego morderstwa to jest bez znaczenia. Myliłem się. Ta historia ma znaczenie. Pani jest osobą wrażliwą, *madame*. Wychwytuje pani atmosferę, rozpoznaje charaktery, typy osób, które spotyka. I przekłada pani wszystko na swoje pisarstwo. To nie jest bezpośrednio

rozpoznawalne, ale takie jest źródło pani inspiracji, pani umysł tworzy czerpiąc z tych doznań.

— Mówi pan pięknie, ale o co panu właściwie chodzi?

— O to, że wie pani więcej o tej zbrodni, niż sama sobie uświadamia. A teraz co do pytania, które chcę pani zadać, właściwie dwóch pytań, ale pierwsze jest szczególnie ważne. Czy według pani pierwotnego planu Polowania na Mordercę zwłoki miały być znalezione w szopie żeglarskiej?

— Nie.

— A gdzie?

— W tym osobliwym domku letnim, tam w gąszczu rododendronów, niedaleko od głównego placu festynowego. Myślę, że to było odpowiednie miejsce. A potem ktoś, nie pamiętam kto, zaczął nalegać, by zwłoki umieścić w gloriecie. To był zupełny nonsens! Tam każdy mógł wejść zupełnie przypadkowo, bez odnajdywania wcześniej jakichkolwiek tropów. Ludzie są tacy durni. Oczywiście nie mogłam się na to zgodzić.

— I zamiast tego zaakceptowała pani szopę żeglarską?

— Tak. Nie miałam nic przeciw szopie, ale wciąż uważam, że ten domek letni byłby lepszy.

— Tak, to jest taktyka, o której mówiła pani pierwszego dnia. Jest jeszcze jedna rzecz. Mówiła pani, że ostatnim tropem jest dopisek na marginesie jednego z komiksów, które Marlene dostała, żeby się nie nudzić. Tak było, prawda?

— Tak, oczywiście.

— Proszę mi powiedzieć, czy to było coś w rodzaju: „Albert chodzi z Doreen”, „Georgie Porgie całuje się z turystkami w krzakach”, „Peter szczypie dziewczyny w kinie”?

— Nie, skądże znowu! — głos pani Oliver był nieco zszokowany. — To nie były żadne takie bzdury. Tylko prosta instrukcja: „Zajrzyj do plecaka turystki”.

— *Epatant!*¹⁸ — wykrzyknął Poirot. — *Epatant!* Oczywiście ten komiks musiał zniknąć. Mógłby dać komuś wskazówkę!

— Plecak, naturalnie, był na podłodze obok ciała

— Ale ja myślę o innym plecaku.

— Miesza mi pan w głowie. W moim scenariuszu występuje tylko jeden plecak. Nie chce pan się dowiedzieć, co było w plecaku?

— Nie interesuje mnie to. To znaczy — zreflektował się — z przyjemnością bym wysłuchał, oczywiście, ale...

Pani Oliver nie usłyszała żadnego „ale”.

— Bardzo pomysłowe — powiedziała z dumą autorki w głosie. — Widzi pan, w plecaku Marleny, który miał być plecakiem żony Jugosłowianki, rozumie pan, o czym mówię...

— Tak, tak — Poirot szykował się już do ponownego przepadnięcia we mgle.

— Tak, więc była tam buteleczka po lekarstwie zawierająca truciznę, którą ziemianin otrul swoją żonę. Widzi pan, Jugosłowianka była tu na kursie pielęgniarstwa i przebywała w domu, gdy pułkownik Blunt otrul swoją pierwszą żonę dla jej pieniędzy. A ona, pielęgniarka, zabrała tę buteleczkę, a potem wróciła, żeby go szantażować. I dlatego oczywiście on ją zabił. Czy to pasuje, panie Poirot?

— Do czego?

— Do pańskiej hipotezy?

— Ani trochę. Tym niemniej — dodał spieszenie Poirot — proszę przyjąć moje wyrazy podziwu, madame. Jestem pewien, że pani Polowanie na Mordercę było tak genialne, że nikt go nie wygrał.

¹⁸ *fr.* Nadzwyczajne

— Ależ myli się pan. Późno, bo dopiero o szóstej, wygrała zawzięta staruszka, którą wszyscy mieli za zramolałą ciapę. Odnalazła tropy, co do jednego, i wkroczyła triumfalnie do szopy, ale tam oczywiście była policja. Przypuszczam, że staruszka była ostatnią osobą na całym festynie, która dowiedziała się o morderstwie. W każdym razie dostała nagrodę. A ten obrzydliwy, piegowaty typ, który nazwał mnie moczymordą, doszedł tylko do ogrodu kameliowego.

— Któregoś dnia opowie mi pani to wszystko.

— Prawdę mówiąc myślę o zrobieniu z tego książki. Szkoda, żeby taka historia się zmarnowała.

Tu warto wspomnieć, że jakieś trzy lata później Herkules Poirot przeczytał *Kobietę w lesie* autorstwa Ariadne Oliver i zastanawiał się, dlaczego niektóre postacie i zdarzenia wydają mu się trochę znane.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Słońce zachodziło, gdy Poirot stanął nad Zatoką Lawdera przed budynkiem, który oficjalnie nazywany był Mili Cottage, ale ludzie z okolicy mówili o nim po prostu Różowy Domek. Zapukał, a drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że Poirot aż się cofnął. Młody mężczyzna z rozzłoszczoną twarzą przypatrywał mu się przez chwilę nie poznając. Potem roześmiał się krótko.

— Powitać tajniaka. Niech pan wejdzie, panie Poirot. Właśnie się pakuję.

Poirot przyjął to zaproszenie i wszedł do środka. Domek był umeblowany byle jak. Wszędzie walały się książki, gazety i przeróżne fragmenty przyodziewku Aleca Legge. Na podłodze leżała otwarta walizka.

— Ostateczny rozpad małżeństwa — zakomunikował Alec Legge. — Sally wyprowadziła się, myślę, że pan wie.

— Nie, nie wiedziałem o tym. Alec Legge zaśmiał się.

— Cieszę się, że jest jednak coś, o czym pan nie wie. Tak, miała dosyć życia małżeńskiego. Zamierza związać swoje życie z tym lalusiowatym architektem.

— Przykro mi to słyszeć.

— Nie wiem, dlaczego miałoby panu być przykro.

— Przykro mi — Poirot przesunął dwie książki i koszulę, dzięki czemu mógł usiąść na brzeżku sofy — ponieważ nie sądzę, żeby mogła być szczęśliwsza z nim niż z panem.

— Nie była szczególnie szczęśliwa ze mną w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

— Sześć miesięcy nie jest wiecznością. To mógł być tylko krótki okres w długim i szczęśliwym życiu małżeńskim.

— Coś pan traci kaznodzieją, czyż nie?

— Może. Pozwolę sobie powiedzieć, że jeśli pańska żona nic była z panem szczęśliwa, to jest w tym pewnie więcej pańskiej winy.

— Ona tak myśli na pewno. Wszystko przeze mnie, oczywiście.

— Nie wszystko, ale sporo.

— Och, niech już całość będzie na mnie. Mogłem utopić się w tej przeklętej rzece i skończyć z tym wszystkim.

Poirot popatrzył na niego w zadumie.

— Cieszę się, że obecnie jest pan mocniej wzburzony z powodu kłopotów osobistych niż problemów światowych.

— Świat może iść w diabły. Wygląda na to, że zrobiłem z siebie kompletnego durnia.

— Tak. Powiedziałbym, że postępował pan bardziej niefortunnie niż nagannie.

Alec Legge spojrzał na Poirota uważnie.

— Kto pana wynajął, żeby mnie śledzić? Sally?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— No, nic się oficjalnie nie stało. Skoro jestem jednak szpiegowany, musi to być zlecenie prywatne.

— Myli się pan. Nigdy pana nie śledziłem. Przyjeżdżając tutaj nie miałem w ogóle pojęcia o pańskim istnieniu.

— To skąd pan wie, czy postępowałem fortunnie czy niefortunnie, zrobiłem z siebie durnia czy nie zrobiłem?

— Na podstawie obserwacji i refleksji. Niech mi pan pozwoli spróbować coś odgadnąć, a potem powie pan, czy mam rację.

— A niech pan sobie zgaduje, co pan chce, tylko proszę nie oczekiwać, że będę brał w tym udział.

— Myślę, że parę lat temu interesował się pan pewną partią polityczną i sympatyzował z nią. Tak jak wielu młodych ludzi z kręgów akademickich. Jeżeli chodzi o pańską dziedzinę, takie sympatie i skłonności są traktowane ze zrozumiałą podejrzliwością. Nie sądzę, by był pan poważnie skompromitowany, a jednak wywierano na pana presję, by pan się określił. Ale pan nie chciał się w ten sposób określić. Próbował się pan wycofać i stanął w obliczu groźby. Polecono panu spotkać się z kimś. Wątpię, bym kiedykolwiek poznał nazwisko tego młodego człowieka. Zawsze zostanie dla mnie „młodzieńcem w koszulce z żółwiami”.

Alec Legge nagle wybuchnął śmiechem.

— Przypuszczam, że ta koszulka to był żart. Ale nie było mi wtedy do śmiechu.

— A co z obawami o losy świata — kontynuował Poirot — i niepokojem o własne położenie? Stał się pan, jeśli mogę tak powiedzieć, mężczyzną, z którym trudno będzie żyć szczęśliwie jakiegokolwiek kobiecie. Pan nie zwierzał się swojej żonie. Wielka szkoda, ponieważ pańska żona jest według mnie kobietą lojalną i znając pańskie desperackie położenie byłaby całym sercem po pańskiej stronie. Zamiast tego zaczęła pana porównywać ze swoim dawnym przyjacielem, Michaeliem Weymanem. I pan pewnie nie wypadł korzystnie.

Poirot podniósł się.

— Radziłbym panu, panie Legge, spakować się jak najprędzej, jechać za żoną do Londynu, opowiedzieć o wszystkim, przez co pan przeszedł, i prosić o przebaczenie.

— Taka jest pańska rada. Ale jaki do diabła ma pan w tym interes?

— Żaden — Herkules Poirot wycofał się w kierunku drzwi. — Ale ja mam zawsze rację.

Przez chwilę trwała cisza, a potem Alec Legge wybuchnął gromkim śmiechem.

— Wie pan co, chyba skorzystam z pańskiej rady. Rozwód jest cholernie kosztowny. A poza tym, jeśli mężczyzna zdobył kobietę, na której mu zależało, a potem nie umie jej zatrzymać przy sobie, to jest to upokarzające, nie sądzi pan? Pojadę do jej mieszkania w Chelsea, a jeśli zastanę tam Michaela, chwycę go za ten pedalski dziergany krawacik i dam mu łupnia. Zrobię to z chęcią. Z wielką chęcią.

Twarz miał całą roześmianą.

— Przepraszam pana za tę złość i wielkie dzięki. Klepnął Poirota w plecy tak mocno, że ten zatoczył się i omal nie upadł. Przyjaźń pana Legge z pewnością mocniej bolała niż jego wrogość.

— A teraz dokąd? — spytał Poirot samego siebie, wychodząc na obolałych nogach pod ciemniejące niebo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Obydwaj funkcjonariusze oczekiwali z wielką ciekawością na przybycie Herkulesa Poirot. Szef policji nie był w najlepszym nastroju. Spełniając uporczywą prośbę inspektora Blanda, zrezygnował z udziału w jakiejś szczególnej kolacji.

— Wiem, Bland, wiem — mówił z irytacją — może on był małym, belgijskim czarodziejem w swoich czasach, ale człowieku, one dawno minęły. W jakim on jest wieku?

Bland taktownie puścił to pytanie mimo uszu. I tak zresztą nie znał na nie odpowiedzi. Poirot przyznawał się do swoich lal bardzo niechętnie.

— Rzecz w tym, sir, że on był tam, na miejscu. Żadną inną drogą do niczego nie dojdziemy. Utknęliśmy w martwym punkcie.

Szef policji ze złością wydmuchał nos w chusteczkę.

— Wiem, wiem. Zaczynam już przez to wierzyć w morderczą perwersję pani Masterton. Posłałbym nawet bloodhoundy, gdyby było je gdzie posłać.

— Te psy nie umieją tropić nad wodą.

— Tak. Wiem, w którą stronę pan się stale kieruje, Bland. I jestem skłonny zgodzić się z panem. Ale tu nie ma żadnego motywu. Motywu ani na jotę.

— Motyw może być gdzieś na wyspach.

— Powiedzmy, że Hattie Stubbs знаła jakieś sprawy de Sousa, tam z wysp. Biorąc pod uwagę jej cechy umysłowe, to mogłoby być dla niego pewne zagrożenie. Wszyscy mówią, że ona była nie w pełni sprawna. Mogłaby więc wypaplać, co wie, przy byle okazji. To ma pan na myśli?

— Coś w tym rodzaju.

— Jeżeli tak, to długo czekał, zanim się przeprawił przez morze, by coś z tym zrobić.

— Tak, sir, ale on mógł przez lata nie wiedzieć, co się z nią stało. Sam twierdzi, że w rubryce towarzyskiej jakiejś gazety przeczytał o Nasse Housc i jego pięknej *chatelaine*¹⁹.

— A skoro się dowiedział, płynie jachtem, by ją zamordować? To jest naciągane, Bland, bardzo naciągane.

— Ale tak mogło być, sir.

— A co do licha miałyby ta kobieta wiedzieć?

— „De Sousa zabija ludzi”. Tak powiedziała mężowi.

— Zapamiętała morderstwo? Kiedy miała piętnaście lat? I przypuszczalnie jedynym świadectwem jest jej słowo? Przecież on się może śmiać z tego!

— Nie znamy faktów — upierał się Bland. — Sam pan wie, sir, że jeśli ktoś zna sprawcę, może zacząć szukać dowodów i znaleźć je.

— Hm. Informowaliśmy się dyskretnie o de Sousie, zwykłymi kanałami. Nic to nie przyniosło.

— Właśnie dlatego, sir, ten śmieszny, stary Belg mógł się na coś natknąć. Był wówczas w tym domu, to ważne. Rozmawiał z Lady Stubbs. Jakies jej słowa, rzucone tu i tam, po zebraniu w jego głowie mogą nabrać sensu. Poza tym i dzisiaj większą część dnia spędził w Nassecombe.

— I dzwonił do pana, żeby spytać, jakiego rodzaju jacht miał Etienne de Sousa?

— Tak, kiedy dzwonił po raz pierwszy, pytał o to. Za drugim razem prosił mnie o zorganizowanie tego spotkania.

— No — szef policji zerknął na zegarek — jeśli nie będzie go w ciągu pięciu minut...

Ale w tym właśnie momencie ukazał się Herkules Poirot.

¹⁹ fr. kasztelanowej

Jego powierzchowność nie była tak nieskazitelna jak zazwyczaj. Wąsy, ciężkie od wilgotnego powietrza Devonu, obwisły, a buty ze szlachetnej skóry uwalane były błotem. Poirot nieco utykał i miał zmierzwiłone włosy.

— Ach, więc jest pan, panie Poirot — szef policji wyciągnął rękę na powitanie. — Wszyscy czekamy tu niecierpliwie, podekscytowani, ciekawi, co ma pan nam do powiedzenia.

W tych słowach brzmiała lekka ironia. Choć jednak ciało Herkulesa Poirot zrobiło się nieco mdłe, to duch pozostał ochoczy.

— Nie potrafię sobie wytłumaczyć — zaczął — jak to się stało, że nie dostrzegłem prawdy wcześniej.

Szef policji przyjął ten wstęp raczej chłodno.

— Czy mamy się domyślać, że teraz już dostrzegł pan prawdę?

— Tak, brakuje jeszcze szczegółów, ale ogólny zarys jest wyraźny.

— Chcemy mieć coś więcej niż ogólny zarys — powiedział sucho szef policji. — Potrzebny jest nam dowód. Ma pan dowód, panie Poirot?

— Mogę panu powiedzieć, gdzie jest dowód.

— Jaki dowód? — spytał inspektor Bland. Poirot zwrócił się ku niemu z pytaniem:

— Czy, jak przypuszczam, Etienne de Sousa opuścił nasz kraj?

— Dwa tygodnie temu. Nie będzie łatwo ściągnąć go z powrotem — Bland był zgorzkniały.

— Można go będzie przekonać.

— Przekonać? Nie ma żadnych podstaw, żeby wystąpić o ekstradycję.

— To nie jest kwestia ekstradycji. Jeżeli przedstawi się mu fakty...

— Ale jakie fakty, panie Poirot? — spytał szef policji z pewną irytacją. — Co to za fakty, o których mówi pan tak bez zająknięcia?

— Fakt, że Etienne de Sousa przybył tutaj luksusowo wyposażonym jachtem, świadczący o wielkiej zamożności jego rodziny, fakt, że stary Merdell był dziadkiem Marleny Tucker (o czym nie wiedziałem do dzisiaj), fakt, że Lady Stubbs lubiła kapelusze w stylu chińskich kulisów, fakt, że pani Oliver przy swojej rozpasanej wyobraźni ma dar niezwykle przenikliwej oceny charakterów i o tym nie wie, fakt, że Marlene Tucker miała szminkę i perfumy schowane w tylnej części szuflady, fakt, że panna Brewis twierdzi, iż to Lady Stubbs poleciła jej zanieść ciasto i sok Marlenie do szopy.

— Fakty? — wytrzeszczył oczy szef policji. — Pan to nazywa faktami? Przecież tu nie ma nic nowego.

— Woli pan dowód, niezbity dowód, taki jak ciało Lady Stubbs?

Teraz Bland wytrzeszczył oczy.

— Znalazł pan ciało Lady Stubbs?

— Może nie tyle znalazłem, co wiem, gdzie jest ukryte. Proszę pójść na miejsce, a kiedy znajdziecie zwłoki, będziecie mieli dowód. Żaden inny dowód nie będzie już potrzebny. Bo tylko jedna osoba mogła ukryć tam zwłoki.

— Kto?

Herkules Poirot uśmiechnął się. Był to uśmiech zadowolonego kota, który wychłptał miseczkę śmietany.

— Taką osobą często jest — powiedział cicho — mąż. Sir George zabił swoją żonę.

— Ależ to niemożliwe, panie Poirot. Wiemy, że to niemożliwe.

— O nie, to wcale nie jest niemożliwe! Posłuchajcie, to wam opowiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Herkules Poirot zatrzymał się na moment przed wielką bramą z kutego żelaza. Patrzył w stronę krętej, alei dojazdowej. Ostatnie złotobrzazowe liście sfruwały z drzew. Cyklamenu już nie było.

Poirot westchnął. Skręcił w bok i zapukał delikatnie do drzwi białego domku z portykiem.

Po chwili usłyszał kroki stawiane powoli i jakby z wahaniem. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Folliat. Tym razem nie dziwił się, że wygląda na bardzo starą i wątłą.

— Poirot? Pan znowu?

— Czy mogę wejść?

— Oczywiście.

Zaproponowała mu herbatę, ale odmówił.

— Dlaczego pan przyszedł? — spytała cicho.

— Myślę, że pani się domyśla, *madame*.

— Jestem bardzo zmęczona — odpowiedziała wymijająco.

— Wiem. Mamy już trzy ofiary: Hattie Slubbs, Marlene Tucker i stary Merdell.

— Merdell? — spytała ostro. — To był wypadek. On spadł z nabrzeża. Był bardzo stary, na wpół ślepy i popijał w pubie.

— To nie był wypadek. Merdell za dużo wiedział.

— Co wiedział?

— Poznawał twarze, sposób chodzenia, głos. Rozmawiałem z nim w dniu, w którym przyjechałem tu po raz pierwszy. Opowiadał mi wtedy o rodzinie Folliatów, o teściu pani, o mężu i o synach zabitych na wojnie. Ale obaj synowie nie zginęli na wojnie, prawda? Henry zginął, bo jego okręt poszedł na dno, ale drugi syn pani, James, nie został zabity. Zdezercerował. Najpierw podawano pewnie „zaginiony, uważany za poległego”, potem mówiła pani wszystkim, że syn zginął na wojnie. Niczyj interes kwestionować tę informację. Zresztą dlaczego mieliby ludzie nic wierzyć?

Poirot przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: — Proszę nie sądzić, że nie współczuję pani, *madame*. Miała pani ciężkie życie, wiem. Nie żywiła pani złudzeń co do młodszego syna, ale kochała go pani, bo to przecież własny syn. Zrobiła pani dla niego, co tylko mogła, by dać mu nowe życie. Pod opieką pani znalazła się dziewczyna, nienormalna, ale bardzo bogata. O tak, była bogata. Ogłosiła pani, że jej rodzice stracili wszystkie pieniądze, toteż ona jest biedna i dlatego doradziła jej pani poślubienie bogatego mężczyzny, starszego o wiele lat. Dlaczego ktoś miałby wątpić w pani słowa? To niczyj interes. Rodzice dziewczyny i bliscy krewni zginęli. Paryska kancelaria adwokacka działała zgodnie z instrukcjami prawników z San Miguel. Po ślubie dziewczyna przejęła cały majątek rodowy. To była osoba — jak pani mi mówiła — potulna, uległa i wrażliwa. Podpisywała wszelkie dokumenty, jakie mąż podsuwał jej do podpisania. Papiery wartościowe były prawdopodobnie wielokrotnie sprzedane i odkupione i w końcu zamierzony efekt finansowy został osiągnięty. Sir George Stubbs, czyli pani syn ze zmienionym nazwiskiem, został bogaczem, a jego żona osobą ubogą. Nie jest przestępstwem posługiwanie się tytułem „Sir”, jeżeli nie robi się tego dla wyludzenia pieniędzy. Tytuł budzi zaufanie, sugeruje jeśli nie dobre urodzenie, to bogactwo. Tak więc bogaty Sir George Stubbs, starszy, o odmienionej prezencji, z brodą, kupił Nasse House i znowu żył w miejscu, do którego nie wracał od lat chłopięcych.

Po spustoszeniach wojennych nie było — jak się wydawało — nikogo, kto mógłby go rozpoznać. A jednak stary Merdell wiedział, kim naprawdę jest Sir George. Nie rozpowiadał o swoim odkryciu, a kiedy zapewnił mnie chytrze, że „zawsze będzie Folliat w Nasse House”, był to przewrotny żart.

— Wszystko więc dobrze się układało, tak przynajmniej pani sądziła. Pani plan — całkowicie w to wierzę — w tym punkcie się kończył. Syn był bardzo bogaty, miał dom przodków i żonę, choć niepełnosprawną, to jednak piękną i czułą. Oczekiwała pani, że będzie dla niej dobry i uczyni ją szczęśliwą.

— Myślałam, że tak właśnie będzie — powiedziała cicho pani Folliat — a sama otoczę Hattie szczególną opieką. Do głowy by mi nie przyszło...

— Do głowy by pani nie przyszło, a syn nie kwapił się poinformować, że zawierając małżeństwo z Hattie był już człowiekiem żonatym. Tak, tak, szukaliśmy dokumentów i znaleźliśmy. Syn pani poślubił w Trieście dziewczynę wywodzącą się ze świata kryminalnego podziemia. Ukrywał się z nią po dokonaniu dezerccji. Oboje nie mieli zamiaru rozstawać się. Małżeństwo z Hattie pani syn zaakceptował jako drogę do zdobycia bogactwa, ale wiedział od początku, co zrobi w stosownym momencie.

— Nie, nie, nie wierzę w to! Nie mogę uwierzyć... To ta kobieta, ta nikczemna, podła...

— On od początku planował morderstwo — ciągnął nieubłagane Poirot. — Hattie nie miała żadnych krewnych i bardzo niewiele przyjaciół. Pierwszego wieczoru po przyjeździe Hattie do Nasse służba ledwie ją widziała, a już następnego ranka u boku Sir George'a pojawiła się jego włoska żona, „zrobiona” na Hattie i pozorująca umysłową ociężałość. Wszelako dzięki „nowemu traktowaniu i leczeniu” możliwości umysłowe Hattie powinny ulegać poprawie. Sekretarka, panna Brewis, już stwierdziła, że opinie o niedostatkach mentalnych pani Stubbs są grubo przesadzone.

— Potem jednak nastąpiła rzecz zupełnie nie przewidziana. Kuzyn prawdziwej Hattie napisał, że przybywa do Anglii jachtem. Chociaż nic widział on dziewczyny od wielu lat, nie było rzeczą możliwą, by mógł dać się nabrać oszustce.

— To dziwne — Poirot przerwał wątek, by zrobić dygresję — że zastanawiałem się, czy de Sousa nie jest czasem fałszywym de Sousa, natomiast nigdy nic miałem podobnych wątpliwości co do Hattie.

— Było kilka różnych sposobów — Poirot powrócił do swojej opowieści — rozegrania tej sytuacji. Lady Stubbs mogła uniknąć spotkania tłumacząc się rzekomą chorobą, ale jeśli de Sousa pozostałby w Anglii dłużej, pomysł okazałby się dobry tylko do czasu. I następna komplikacja. Merdell zrobił się na stare lata straszną gadułą i ciągle opowiadał coś swojej wnuczce. Zdaje się, że była to jedyna osoba, która chciała go słuchać, choć nawet ona nie za bardzo wierzyła dziadkowi, bo uważała, że nie ma on całkiem dobrze w głowie. Tym niemniej niektóre rewelacje staruszka, zwłaszcza „trup kobiety w lesie” i „Sir George to naprawdę pan James”, tak Marlenę podnieciły, że nie mogła oprzeć się pokusie zrobienia wzmianki o nich... Sir George'owi. I tym sposobem podpisała na siebie wyrok śmierci. Sir George i jego żona nie mogli pozwolić na rozprzestrzenienie się takich pogłosek. Przypuszczam, że doraźnie zatkał jej usta jakąś niewielką sumą pieniędzy i przystąpił do obmyślenia planu.

— Przygotowali wszystko bardzo starannie. Znali już datę zapowiedzianego wplynięcia de Sousy do Helmmouth. Akurat zbiegło się to z terminem festynu. Tak zaplanowali mord na Marlenie i „zniknięcie” Lady Stubbs, by niejasne podejrzenia padły na de Souse. Stąd te wzmianki o nim jako o „złym człowieku”, który „zabija ludzi”. Lady Stubbs miała zniknąć na zawsze. Być może Sir George'owi udałoby się rozpoznać jakieś nieidentyfikowalne zwłoki jako ciało „zamordowanej żony”. A naprawdę „Hattie” po prostu odzyska swoją włoską osobowość. Żeby poszło to gładko, musiała występować w dwóch osobach przez czas nieco tylko dłuższy niż, jedna doba. Z pomocą Sir George'a nic trudnego. W dniu mojego przyjazdu „Lady Stubbs” miała przebywać w swoim pokoju do podwieczorku. Nikt nie widział jej oprócz Sir George'a. A naprawdę pojechała autobusem do Exeter, a stamtąd wracała w towarzystwie jakiejś studentki, której naopowiadała o przyjaciółce, co się struła cieliciną. Wracała oczywiście nie do Nasse, lecz do schroniska młodzieżowego, gdzie wynajęła pokój,

po czym wyszła „rozejrzeć się”. W salonie Nasse House pojawiła się na podwieczorku jako Lady Stubbs naturalnie. Po kolacji poszła rzekomo wcześniej do łóżka, ale panna Brewis widziała ją wymykającą się gdzieś na zewnątrz. Nocowała w schronisku, ale na śniadaniu była już w Nasse. Przedpołudnie miała spędzić w pokoju z bólem głowy. Wystąpiła w tym czasie w roli intruza, który wchodzi na teren prywatny przez płot. Sir George osobiście besztął ją z okna pokoju swojej żony i udawał, że do tej żony, rzekomo w pokoju obecnej, raz po raz, się zwraca. Zmiana kostiumu nie nastęczała większych trudności. Pod ulubionymi, okazałymi sukniami Lady Stubbs miała szorty i bluzkę. Jako Lady Stubbs nakładała na twarz gruby makijaż i kryła tę twarz pod szerokim kapeluszem chińskiego kulisa. A jako młoda Włoszka miała opaleniznę, oliwkową karnację, kolorową chustę i brązoworude loki. Nikt nie pomyślałby, że te dwie kobiety to jedna osoba.

— I przyszedł czas na finałowy dramat. Tuż przed czwartą Lady Stubbs poleciła panie Brewis zanieść tacę z ciastem i sokiem dla Marleny. Zrobiła to dlatego, że obawiała się, iż panna Brewis sama wpadnie na podobny pomysł i pojawi się w szopie w zupełnie nieodpowiednim momencie. Być może miała również złośliwą przyjemność w posyłaniu sekretarki na miejsce zbrodni niemal w momencie jej popełnienia. Potem, wybrawszy dogodną chwilę, wśliznęła się do pustego namiotu wróżki, a stamtąd wyszła w rododendrony i przecisnęła się do starego domku letniego, gdzie miała przygotowany plecak ze zmianą stroju. Zeszła nad rzekę, zawołała na Marlenę, by wpuściła ją do szopy, i natychmiast udusiła niczego nie podejrzewającą dziewczynę. Wielki kapelusz kulisa wrzuciła do rzeki, przebrała się za turystkę, a cyklamenową suknię i buty na wysokim obcasie spakowała do plecaka. Jako włoska studentka dołączyła do swojej znajomej Holenderki na głównej arenie festynu i pomaszerowały do autobusu, tak jak wcześniej zaplanowały. Gdzie jest teraz, nie wiem. Przypuszczam, że w londyńskiej Soho, gdzie pewnie ma kontakty z włoskimi przestępcami i zdobyła jakieś lewe papiery. A policja nie szuka przecież młodej Włoszki, tylko niedorozwiniętej Hattie Stubbs, pochodzenia kreolskiego.

Ale biedna Hattie Stubbs nie żyje, o czym pani, madame, wie aż nazbyt dobrze. Pani tę wiedzę ujawniła, rozmawiając ze mną w salonie w dniu festynu. Śmierć Marleny była dla pani wielkim szokiem, nie miała pani najmniejszego pojęcia o zbrodniczych planach. Ale mówiąc o Hattie, mówiła pani o dwóch osobach, czego ja jednak wówczas nie rozumiałem. O kobiecie, której pani nie lubiła, która „lepiej, by zmarła”, przestrzegała mnie pani, abym „nie wierzył nawet w jedno jej słowo”. O drugiej Hattie mówiła pani ciepło, z uczuciem — i w czasie przeszłym. Myślę, madame, że pani ogromnie lubiła biedną Hattie Stubbs.

Nastąpiła długa pauza.

Pani Folliat siedziała w całkowitym bezruchu. W końcu podniosła się z fotela i zaczęła mówić. Głos miała zimny jak lód.

— Całe to opowiadanie jest zupełnym wymysłem, panie Poirot. Pan musi być szalony... To wszystko jest tylko w pańskiej głowie, pan nie ma żadnych dowodów.

Poirot podszedł do jednego z okien i otworzył je.

— Niech pani posłucha, madame. Co pani słyszy?

— Jestem trochę głucha... Co mam słyszeć?

— To uderzenia kilofów... Rozbijają betonowy fundament gloriety... Takie dobre miejsce, by pochować ciało. Drzewo wyrwane z korzeniami, ziemia już rozdarta. Trochę później, żeby było pewniej, wyleje się beton, tam gdzie leżą zwłoki. A na betonie zostanie wzniesiona glorieta... Glorieta Sir George'a... Glorieta właściciela Nasse House.

Pani Folliat westchnęła ciężko.

— Takie piękne miejsce — powiedział Poirot. — Zło tylko w jednym... W człowieku, do którego to miejsce należy...

— Wiem — mówiła ochryple — zawsze wiedziałam... Nawet jako dziecko mnie przerażał... Bezwzględny... Bez litości... I bez sumienia... Ale to był mój syn i ja go

kochałam... Powinnam powiadomić o śmierci Hattie... Ale był moim synem. Jak mogłam go porzucić? I tak przez moje milczenie zginęło to biedne, głupie dziecko... A po niej kochany, stary Merdell... Gdzie to się skończy?

— Z mordercą nie ma końca — powiedział Poirot. Pochyliła głowę. Trwała tak przez chwilę, zakrywając oczy dłońmi.

Następnie pani Folliat z Nasse House, córka długiej linii dzielnych mężów, wyprostowała się. Patrzyła Poirotowi prosto w oczy, a jej głos brzmiał obojętnie i obco.

— Dziękuję panu, Poirot, że przyszedł pan powiedzieć mi to wszystko osobiście. Zechce mnie pan teraz pożegnać? Są takie rzeczy, w obliczu których trzeba stanąć zupełnie samotnie...